



Maciej Zdziarski

Gdy milkną oklaski

Opowieści weteranów polskiego sportu

Gdy milkną oklaski

Maciej Zdziarski

Gdy milkną oklaski

Opowieści weteranów
polskiego sportu

Kraków 2021

Gdy milkną oklaski

Opowieści weteranów polskiego sportu

Maciej Zdziarski

Współpraca

Marta Bosak, Magdalena Stokłosa, Aleksandra Wójcik

Projekt graficzny i skład

Tomasz Żyłko

Redakcja i korekta

Łukasz Mackiewicz, eKorekta24, Barbara Stępnia-Wilk,
Adrianna Hess, eKorekta24

Koloryzacja zdjęć archiwalnych na okładce

Anna Marjańska

Druk

Toruńskie Zakłady Graficzne Zapolex Sp. z o.o.

Copyright © by Maciej Zdziarski

© Copyright for this edition by Instytut Łukasiewicza, 2021

ISBN 978-83-962258-1-8

Zdjęcia na okładce:

East News (4), Newspix.pl (2)

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu w ramach Programu „Sport dla Wszystkich”

Spis treści

Przedmowa	7
Od autora	11
<i>Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”</i> Rozmowa z Jarosławą Józwiakowską	15
<i>Dopiero kiedy stanąłem na podium i usłyszałem Mazurka Dąbrowskiego, uzmysłowiłem sobie, czego dokonałem</i> Rozmowa z Egonem Frankem	41
<i>To były inne czasy. Z Rzymu przywiozłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni</i> Rozmowa z Januszem Różyckim	61
<i>Wystarczyło, że popatrzyliśmy na siebie, i każdy wiedział, co trzeba robić</i> Rozmowa z Mieczysławem Nowickim	87
<i>Zadzwoniłem do żony, powiedziała: „Jurek, musisz boksować, nie możesz oddać walki walkowerem”. Miała rację</i> Rozmowa z Jerzym Rybickim	113
<i>W Lake Placid odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił!</i> Rozmowa z ks. Pawłem Łukaszka	135
<i>Panowała taka atmosfera, że kibice bali się przełknąć ślinę</i> Rozmowa z Leszkiem Kucharskim	155
<i>Rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu publiczność była już tylko ze mną</i> Rozmowa z Renatą Mauer-Różańską	175
<i>Byłem w stanie ciągłego zachwytu nad życiem i właśnie z zachwytu rodziła się chęć do pracy</i> Rozmowa z Robertem Korzeniowskim	197
<i>Nam potrzeba było gry i zwycięstwa!</i> Rozmowa z Magdaleną Śliwą	223
<i>Gdy się wygrywa, wszyscy się cieszą. Ale siła dobrego zespołu tkwi w tym, jak reaguje on na przegraną</i> Rozmowa z Piotrem Gruszką	245
Rozmowy z ekspertami	
<i>Trzeba strzec się lenistwa</i> Rozmowa z Marią Laskowską-Szcześniak , geriatrą	267
<i>Ruch może pomóc uśmierzyć ból</i> Rozmowa z Izabelą Zajac-Gawlak , adiunktem w Instytucie Nauk o Sporcie w Akademii Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach	277



FOT. MARCIN ŁOBACZEWSKI

Szanowni Państwo!

Z ogromną przyjemnością przekazuję w ręce Czytelników zbiór wywiadów z wielkimi polskimi sportowcami. To przedstawiciele kilku pokoleń, za sprawą których Polacy przeżyli wiele wzruszeń – także w trudnych, ponurych czasach komunizmu, gdy tak bardzo potrzebowaliśmy czuć się dumnym, wielkim narodem.

Tę biało-czerwoną sztafetę zaczynamy od wybitnej sportsmenki, która przysłała na świat jeszcze w II RP, a startowała w latach 50. i 60. – znakomitych dla polskiej lekkoatletyki. Gdy myślimy o „Wunderteamie”, jednym tchem potrafimy wymienić nazwiska kilkunastu mistrzów olimpijskich i medalistów, często zapominając o tym, że historycy zaliczają do grona Cudownej Drużyny aż 300 sportowców! To pokazuje, jak wielką lekkoatletyczną potęgą była wówczas Polska. W skoku wzwyż specjalizowała się Jarosława Józwiakowska, srebrna medalistka olimpijska z Rzymu (1960). Lektura wywiadu z nią jest jak lekcja o sporcie z czasów, gdy był on pojmowany bardziej romantycznie niż obecnie...

Szlachetne oblicze sportowej rywalizacji pokazują także polscy szermierze. Cieszę się, że do książki trafiły dwa wywiady z kolegami z planszy: **Januszem Różyckim**, srebrnym medalistą z Tokio (1964), i **Egonem Frankem**, który oprócz drużynowego srebra we florecie wywalczył w Tokio złoto w rywalizacji indywidualnej, a cztery lata później do medalowej kolekcji dołożył brąz w drużynie (Meksyk 1968). Historie życia obydwu szermierzy są niezwykle. Janusz Różycki był synem jednego z trzech genialnych kryptologów, którzy przyczynili się do złamania szyfru Enigmy. Poruszająco opowiada o ojcu, którego nigdy nie poznał, i matce – wybitnej projektantce, po której odziedziczył pasję do sztuki. Egon Franke urodził się przed II wojną światową w Gliwicach – wówczas poza granicami Polski. Imponująca jest jego droga do zostania Polakiem i przyswojenia polskiego języka. Choć dziś Franke mieszka poza ojczyzną, wciąż podkreśla swoje przywiązanie do kraju. Pierwszy w historii Polski mistrz olimpijski w szermierce, ogromnie ceniony we Włoszech jako szkolenowiec i wychowawca, udziela nam wielkiej lekcji polskiego patriotyzmu.

Jedno z moich najwcześniejszych sportowych wspomnień z dzieciństwa to radość z sukcesów polskich bokserów. W poprzednim wydaniu książki „Gdy milkną oklaski...” poznaliśmy historię mistrza olimpijskiego Mariana Kasprzyka, w tym wydaniu wsłuchujemy się w słowa innego mistrza – **Jerzego Rybickiego** (złoto

w Montrealu w 1976 r. i brąz w Moskwie w 1980 r.). Miałem zaszczyt poznać osobiście ostatnich wielkich polskich bokserów. Kasprzyk to wychowanek legendarnego „Papy” Stamma, Rybicki – przedstawiciel epoki poststammowskiej. Do historii przeszły zacięte pojedynki Jerzego Rybickiego z reprezentantem ZSRS Wiktoorem Sawczenką – tak jak wszystkie powojenne sportowe potyczki polsko-sowieckie, dla Polaków mające przecież wymiar szczególny, pozasportowy.

Nie inaczej było w przypadku hokeja. Każdy, kto obejrzał mecz Polski z ZSRS rozegrany w kwietniu 1976 r. w katowickim Spodku, do dziś ma jego żywe wspomnienie. Pokonując Rosjan 6 : 4, Polacy sprawili rodakom ogromną niespodziankę, do dziś mówi się o tym zwycięstwie w kategoriach cudu... **Ksiądz Paweł Łukaszka** miał wówczas dopiero 14 lat i karierę reprezentacyjną przed sobą. Krótką, ale zdążył przecież wystąpić na igrzyskach olimpijskich (Lake Placid 1980) i zagrać w wielu ważnych dla Polski meczach. Miał zaledwie 19 lat, gdy zakończył występy na lodzie, by pójść do seminarium i zostać księdzem. Nigdy do końca nie porzucił sportu, stawał w bramce podhalańskiej drużyny jako duchowny, startował z sukcesami w zawodach weteranów. To piękny przykład tego, jak można łączyć ze sobą różne życiowe powołania.

Kolejnym bohaterem, którego sportowa emerytura się nie ima, jest **Mieczysław Nowicki** – jeden ze sprawców kolarskiego szaleństwa lat 70. Drużynowy mistrz świata (1975), srebrny w drużynie i brązowy indywidualnie medalista olimpijski z Montrealu (1976) – od lat uczy nas miłości do kolarstwa. Znany z ogromnej pogody ducha, niestrudzony działacz olimpijski, z którym mam zaszczyt współpracować w prezydium PKOl, ciągle pojawia się na rowerowych trasach. Obok śp. Ryszarda Szurkowskiego i śp. Stanisława Szozdy oraz Tadeusza Mytnika pozostaje dla nas ikoną najwspanialszych dla Polski czasów sportu rowerowego.

Symbolem innej dyscypliny – także bardzo chętnie rekreacyjnie uprawianej przez Polaków – jest **Leszek Kucharski**, najwybitniejszy obok śp. Andrzeja Grubby polski tenisista stołowy. Dwukrotny olimpijczyk, wielokrotny medalista mistrzostw świata i Europy, jest przykładem, jak konsekwentna może być droga sportowca – od zawodnika osiągającego sukcesy po trenera, który najpierw pracował z zawodowcami, a teraz zaraża miłością do pingponga amatorów: dzieci, młodzież i dorosłych.

W książce nie mogło zabraknąć wybitnych przedstawicieli narodowej dyscypliny Polaków – siatkówki. Mam wielką satysfakcję z obecności w gronie rozmówców **Magdaleny Śliwy**, dwukrotnej mistrzyni Europy (2003 2005), przedstawicielki

pokolenia uwielbianej przez polskich kibiców drużyny Złotek. Pasję do siatkówki przekazała utalentowanej córce, z którą przez pewien czas grała nawet w jednej drużynie! Dziś spełnia się jako trenerka i wciąż żyje siatkówką.

Nie inaczej jest w przypadku **Piotra Gruszki** – rekordzisty pod względem liczby meczów rozegranych w kadrze narodowej (450!). Był przedstawicielem wyjątkowego pokolenia, jednym z chłopców trenera Ireneusza Mazura, którzy w 1996 r. zdobyli mistrzostwo Europy, a w 1997 – mistrzostwo świata juniorów. W ciągu kilkunastu lat Gruszka brał udział w trzech igrzyskach olimpijskich i 11 edycjach Ligi Światowej. Został mistrzem Europy (2009) i wicemistrzem świata (2006). Był w grupie tych kadrowiczów, którzy budowali nową jakość polskiej siatkówki, przecierali szlaki przyszłym mistrzom świata. Za tę pracę i masę wzruszeń należy im się ogromna wdzięczność.

Na koniec – *last but not least!* – zostawiłem sobie dwie ikony polskiego olimpizmu. Olimpijskie początki **Renaty Mauer-Różańskiej** i **Roberta Korzeniowskiego** łatwe nie były. Z Barcelony (1992) reprezentantka mojego Wrocławia wyjeżdżała rozczarowana swoimi wynikami, zaś Korzeniowski – skrzywdzony niesprawiedliwą dyskwalifikacją, która pozbawiła go medalu. Dalsze losy obydwu sportowców są dowodem na to, że pomimo przeciwności losu nigdy nie wolno się poddawać. Kolejne igrzyska były bowiem paradą ich sukcesów, olimpijskim koncertem. Za sprawą Renaty Mauer dwukrotnie wysłuchaliśmy Mazurka Dąbrowskiego (Atlanta 1996, Sydney 2000), Robert Korzeniowski triumfował czterokrotnie i pozostaje najbardziej utytułowanym polskim sportowcem, jeśli chodzi o liczbę tytułów mistrza olimpijskiego.

Warto wsłuchać się w słowa ludzi, którzy pisali historię polskiego sportu. Dziękuję autorowi, Maciejowi Zdziarskiemu, że zapisał ich opowieści i podzielił się nimi z Czytelnikami. Jestem wdzięczny Instytutowi Łukasiewicza za kolejną publikację, która jest fascynującym świadectwem złożonym przez wybitnych sportowców, kopalnią wiedzy o kulisach wielkich imprez i sportowej codzienności. To znakomita forma uczczenia naszych rodaków, którzy przez wiele lat walczyli pod biało-czerwoną flagą, z orzelkiem na piersi – z Polską w sercach. Zapraszam do lektury!

Ryszard Czarnecki

Członek Prezydium
Polskiego Komitetu Olimpijskiego



FOT. MARCIN ŁOBACZEWSKI

Milo mi zaprosić Państwa do lektury książki, której bohaterami są współtwórcy wspaniałych sukcesów polskiego sportu po II wojnie światowej. Są wśród nich ludzie, którzy nawet po zakończeniu kariery pozostają osobami z pierwszych stron gazet, ale i tacy, którzy od lat żyją w cieniu. Jestem wdzięczny, że chcieli odpowiedzieć na moje pytania – nie tylko o momenty największych zwycięstw, lecz również o chwile najtrudniejsze w życiu sportowca.

Postanowiłem zaprezentować wywiady w kolejności wyznaczonej przez chronologię sukcesów odnoszonych przez bohaterów. Książkę rozpoczyna więc rozmowa z Jarosławą Józwiakowską, medalistką igrzysk olimpijskich w Rzymie (1960), a kończy wywiad z Piotrem Gruszką, mistrzem Europy (2009).

Dziękuję bohaterom tego zbioru za życzliwość i otwartość, za możliwość poznania kulis tego, co w pamięci kibiców zapisuje się najczęściej jako krótka chwila, jeden kadr: moment przekroczenia mety, kluczowa akcja meczu, ostatni gwizdek, uniesione w geście triumfu ręce sportowca, oczy pełne łez na olimpijskim podium... Świadectwa moich bohaterów pokazują, jak wiele trudu, determinacji i hartu ducha potrzeba, by do tych pięknych chwil doprowadzić – i co przeżywa zawodnik, któremu się to nie powiedzie.

Książka jest kontynuacją cyklu, który w latach 2015–2019 ukazywał się w ramach serii „Seniorze, trzymaj formę!”, a od 2020 r. jest wydawany pod nowym tytułem: „Gdy milkną oklaski...”. Prace nad każdym z wydań były dla mnie wspaniałą przygodą i ważnym doświadczeniem. Spotykałem medalistów igrzysk olimpijskich, zwycięzców mistrzostw kraju, Europy i świata. Moi rozmówcy udowadniają, że sport jest szkołą charakterów. W poruszający sposób mówią o tym, jak wiele mu zawdzięczają. Nie mam wątpliwości, że z dobrodziejstw sportu, w wydaniu amatorskim, korzystać może każdy z nas. Dziękuję paniom Marii Laskowskiej-Szcześniak i Izabeli Zając-Gawłak za to, że na zakończenie niniejszej książki zechciały podzielić się wiedzą na temat zbawiennej roli aktywności fizycznej w życiu.



Maciej Zdziarski

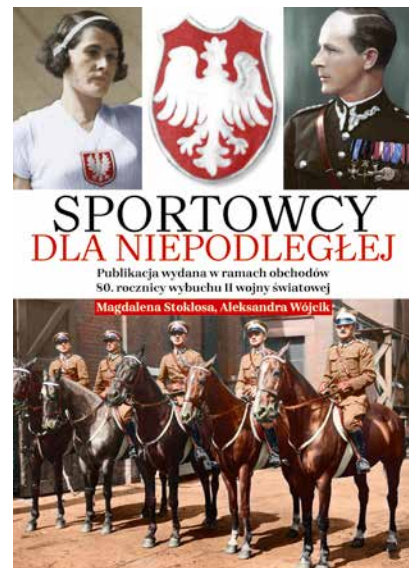
Gdy milkną oklaskiŻycie na sportowej emeryturze
– wywiady z mistrzami

Wielki udział w powstaniu książki ma Ryszard Czarnecki, który od wielu lat wspiera i inspirowa inicjatywy na rzecz upowszechniania historii sportu. Jestem wdzięczny współpracownikom z Instytutu Łukasiewicza: Marcie Bosak, Magdalenie Stokłosa i Aleksandrze Wójcik, za pomoc w organizacji pracy nad książką i dopracowaniu jej zawartości. Dziękuję Barbarze Stępnia-Wilk i Łukaszowi Mackiewiczowi za prace redakcyjne.

Wydanie publikacji nie byłoby możliwe bez znakomitej współpracy z Departamentem Sportu dla Wszystkich, z Dyrektorem Dariuszem Bużą na czele. Za zaangażowanie w projekt dziękuję partnerom: Totalizatorowi Sportowemu i PKO BP. To spółki, które mają wielkie zasługi we wspieraniu kultury fizycznej w Polsce.



Fundacja Instytut Łukasiewicza od lat stara się promować wiedzę o wielkich osobowościach polskiego sportu. Przedwojennych mistrzów przypominamy w ramach takich projektów jak „Sportowcy dla Niepodległej” (www.sportowcydlaniepodleglej.pl).



W 2021 r. wiele uwagi poświęciliśmy jednej z ulubionych dyscyplin Polaków – piłce siatkowej. W książce „Dziewczyny z brązu, chłopaki ze złota. Rozmowy o siatkówce i nie tylko z medalistami igrzysk olimpijskich z Tokio (1964), Meksyku (1968) i Montrealu (1976)” powracaliśmy do pionierskich sukcesów polskich siatkarek i siatkarzy. Wybitni sportowcy, dziś 70- i 80-latkowie, opowiedzieli mi o swojej drodze do sukcesu i udostępniłi najważniejsze pamiątki: fragmenty dzienników, listy, archiwalia, albumy z wycinkami prasowymi. Pod koniec roku ukaże się album „Piękno siatkówki”, w którym – za pomocą zdjęć – pokażemy różne oblicza tego sportu i ciągłość siatkarskich pokoleń.



Jestem przekonany, że każda dyscyplina zasługuje na swoją opowieść. Każda będzie wyjątkowa, tak jak wyjątkowi są bohaterowie aren sportowych. Mam nadzieję, że ich historie – pełne wspomnień i wzruszeń, wiary i pogody ducha – okażą się dla Państwa interesujące.

Życzę dobrej lektury!

Maciej Zdziarski

Kraków, październik 2021 r.



FOT. TOMASZ PRAŻMOWSKI / MSIT / FORUM

Lekarz mi
powiedział:
„Dziewczyno,
ty jesteś biologicznie
o 10 lat młodsza!”

Rozmowa
z **Jarosławą Józwiakowską**

Choć od lat jest pani związana z Pomorzem, to z urodzenia jest pani Wielkopolanką.

Do matury mieszkałam w Poznaniu, a na studia wyjechałam do Trójmiasta, do Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Dostałam się na Wydział Morski. Spędziłam tam cztery lata.

Rodzi się pani dwa lata przed wybuchem wojny. Czy ma pani wojenne wspomnienia z Poznania?

Gdy wybuchła wojna, wyrzucono nas z poznańskiego mieszkania i tułaliśmy się po Polsce. To było ciągle uciekanie przed kłopotami wojennymi. Byliśmy i w Krakowie, i w Bukowskiej Woli, i koło Zakopanego, i w Bukowinie. Zatrzymywaliśmy się wszędzie tam, gdzie ojcu udało się znaleźć pracę.

A czym zajmował się ojciec?

Oj, raczej czym on się nie zajmował! To był bardzo zdolny facet, do wszystkiego. Imał się różnych zajęć w czasie okupacji. A przed wojną pracował w drukarni jako zecer. Ojciec był zadziorny, charakter mam zresztą po nim.

Nasza rodzina nie doświadczyła większych tragedii w czasie okupacji, choć w domu panowała bieda. Myśmy były w domu trzy dziewczyny, do tego mama i dziadkowie. Rajzowaliśmy całą grupą, w różne miejsca. To było ciągle ganieńcie za zarobkiem,

Jarosława Józwiakowska
(po mężach Bieda, Zdunkiewicz)

Urodzona 20 stycznia 1937 r. w Poznaniu. Sportową pasję dzieliła między siatkówkę, bieg przez płotki oraz skoki w dal i wzwyż. Piętnaście razy wyrównywała i poprawiała rekord Polski w skoku wzwyż – od 160 cm w roku 1958 do 175 cm w roku 1964. Jej największym osiągnięciem jest srebrny medal igrzysk olimpijskich w Rzymie w 1960 r., który zdobyła ex aequo z Brytyjką Dorothy Shirley. W tym samym roku pokonała Shirley w meczu Polska – Anglia.

W 1954 r. ustanowiła rekord Polski junierek w skoku wzwyż (150 cm). Studiując na Wydziale Morskim Wyższej Szkoły Ekonomicznej, grała w gdańskim AZS-ie w zespole siatkarskim i uprawiała lekkoatletykę. W lipcu 1955 r. została akademicką mistrzynią Polski w skoku wzwyż i wicemistrzynią w biegu na 80 m przez płotki. W roku 1956 zdobyła brązowy medal na mistrzostwach Polski w skoku wzwyż i skoncentrowała się na tej dyscyplinie, będąc jedną z pierwszych polskich lekkoatletek stosujących styl przerzutowy, a nie nożycowy. Przed wybicciem zdejmowała z prawej stopy but, co dawało jej poczucie lekkości.

Na igrzyska olimpijskie w Rzymie w 1960 r. miała nie pojechać, włączono ją do ekipy w ostatniej chwili. Wywalczyła srebrny medal, skacząc wyżej (171 cm), niż sama mierzyła (167 cm). W roku 1964 brała udział w olimpiadzie w Tokio, w finale zajęła 10. miejsce z wynikiem 171 cm, który w Rzymie dał jej srebro. Ośmiokrotna mistrzyni kraju, brązowa medalistka mistrzostw Europy (1966). Dwa razy sięgała po brąz na uniwersjadzie (1957, 1959).

Po zakończeniu kariery sportowej wróciła na Wybrzeże, pracowała m.in. w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Cetniewie.

**Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno,
ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”**



Barbara
Janiszewska-
Sobotta
z d. Lerczak

FOT. MIECZYSLAW ŚWIDERSKI / NEWSPIX.PL

żeby wyżywić rodzinę. Jako małe dziewczę nie zwracałam na to uwagi, właściwie nie czułam żadnych braków.

Kiedy wrócili państwo do Poznania?

Po wojnie. W Poznaniu chodziłam do szkoły, a w szkole średniej zainteresowałam się sportem. Razem ze mną uczyła się Basia Lerczakówna, od początku się zaprzyjaźniłyśmy. Na szkolnych zawodach wypatryli nas trenerzy z AZS-u, podeszli do nas i spytali: „Może byście chciały, dziewczyno, potrenować?”. I tak to się zaczęło. Najpierw ćwiczyłam gimnastykę. Mieliśmy świetnych, zaangażowanych nauczycieli.

Barbara Janiszewska-Sobotta

Barbara Janiszewska-Sobotta z d. Lerczak urodziła się 4 grudnia 1936 r. w Poznaniu. Należała do najbardziej utalentowanych polskich biegaczek, była czołową sprinterką legendarnego „Wunderteamu”. Już w wieku 16 lat wyniki osiągnięte na 100 i 200 metrów dawały jej kwalifikację na igrzyska olimpijskie w Helsinkach, jednak trenerzy z AZS-u Poznań uznali, że zawodniczka jest zbyt młoda. Brązowy medal olimpijski w sztafecie 4 x 100 m zdobyła w Rzymie w 1960 r., brała udział także w igrzyskach w Melbourne (1956) i Tokio (1964). Dwadzieścia dziewięć razy biła biegowe rekordy Polski, z powodzeniem (dwa złote i dwa brązowe medale) startowała w mistrzostwach Europy. Ukończyła Akademię Wychowania Fizycznego w Krakowie, studiowała także historię sztuki. Jej kolejnymi mężami byli wybitni lekkoatleci i olimpijczycy: tyczkarz Zbigniew Janiszewski i skoczek Piotr Sobotta. Jest matką popularnego aktora i prezentera Łukasza Nowickiego, sama także wystąpiła w filmie Andrzeja Kondratiuka *Dziura w ziemi*. Zmarła 21 listopada 2000 r. w Krakowie.

Opera poznańska krótko po zakończeniu II wojny światowej.



FOT. ZE ZBIORÓW M. CZARKOWSKIEJ, CYRYL.POZNAN.PL

Jak wyglądał powojenny Poznań?

Nie da się ukryć, że był troszkę zmaltratowany. Ale poznaniacy są pracowici i odpowiedzialni, tak że od razu wzięli się do porządkowania. Poznań szybko odzyskał swój dawny wygląd.

Czy miejsce urodzenia ma znaczenie dla pani charakteru?

Rzeczywiście mam poznański charakter. Jestem okropnie zasadnicza i punktualna. Jak coś zacznę, to muszę skończyć. To typowa poznańska solidność. Ale szybko uciekłam z Poznania, bo poznaniacy są odtąd dotąd. Nie mają fantazji, polotu. Wkurzało mnie to.

Dobrze byłoby mieć i jedno, i drugie – i porządek, i fantazję.

Wyjechałam z Poznania na studia do Gdańska. Tam odżyłam. Panowała przeurocza atmosfera, cudowna dla młodych ludzi. To był '54 rok. Oprócz studiowania zaczęłam

Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”

trenować siatkówkę, troszkę bawiłam się w lekkoatletykę – bo to wszystko była zabawa, to nie był sport.

Gdy przyjechała pani na studia, miała już pani pewne sukcesy sportowe, bo jeszcze jako licealistka, w '54 roku, ustanowiła pani rekord Polski junierek w skoku wzwyż. Wynosił metr pięćdziesiąt.

Tak, tylko że na studiach zaczęłam uprawiać siatkówkę, podobał mi się sport zespołowy. Siatkówka dużo mi dała, bo pozwalała na ogólnorozwojówkę. Dopiero jak skończyłam grać w siatkówkę, zaczęłam lepiej skakać, dzięki niej byłam silna i ogólnie całkiem sprawna.

Choć wzrostu nie miała pani siatkarskiego.

Oj nie, zawsze był ze mnie najmniejszy konus na stadionie czy na skoczni. Wszyscy mówili, że skakałam charakterem, zادیornością. Zostało mi to do teraz.

Zacząła jednak pani grać w gdańskim AZS-ie. Jaka była siatkówka tamtego czasu w Trójmieście? Rozmawiałem z Krystyną Krupą, która była pani koleżanką z drużyny i ciepło panią wspominała. Również mówiła, że to był piękny czas w jej życiu.

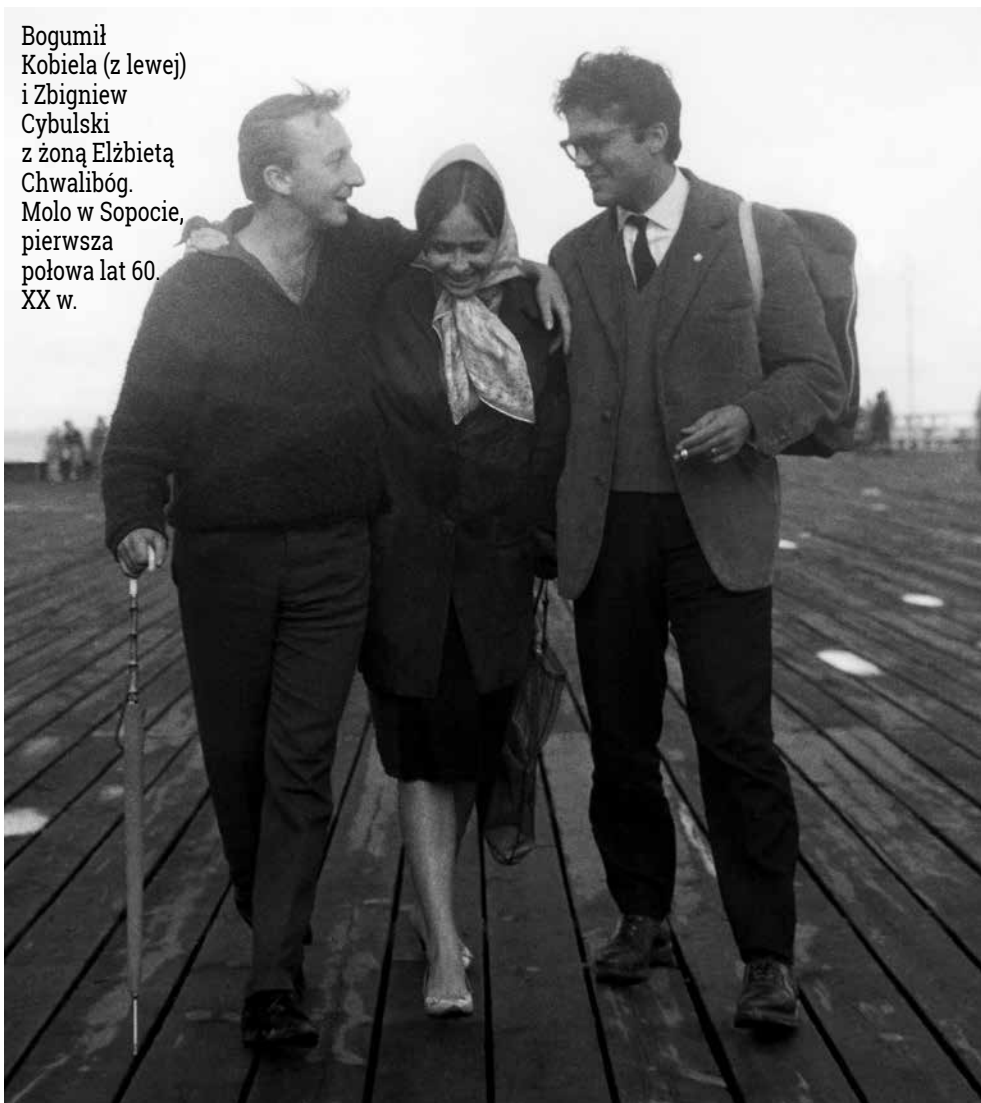
Tak, piękny, bo dla nas to była zabawa w sport. Trenował nas Janusz Badora, świetny, ambitny trener. Dawał nam w kość okropnie, ale myśmy tego nie odczuwały, bo każdy trening to było dla nas radosne spotkanie towarzyskie. Wyczuwał każdą zawodniczkę z osobna. Nie traktował nas jak jednolitą grupę. Wiedział, na co kogo stać, i przykładał się do tego, by podnieść poziom każdej zawodniczki.

Miło wspominać czas studiów. W Trójmieście działał studencki teatr Bim-Bom...

...a w nim Zbigniew Cybulski i Bogumił Kobiela!

Tak, przyjaźniliśmy się z nimi. Przychodzili do nas do akademika, śpiewali serenady pod oknami. Wieczorem czy nawet w nocy, w sobotę lub niedzielę, szło się na plażę w Sopocie, śpiewało. To było coś fantastycznego. Cudownie wspominać okres studiów i późniejszej kariery.

Bogumił Kobiela (z lewej) i Zbigniew Cybulski z żoną Elżbietą Chwalibóg. Moło w Sopocie, pierwsza połowa lat 60. XX w.



FOT. LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Sopot – polska Riwiera

W latach 60. i 70. znany z pięknych plaż Sopot nazywany był Riwierą PRL-u. Do popularyzacji tego kurortu przyczynił się kompozytor Władysław Szpilman, pomysłodawca Międzynarodowego Festiwalu Piosenki, organizowanego od roku 1961. Impreza przyciągała do miasta największe polskie, a potem także światowe gwiazdy oraz tysiące wczasowiczów. W latach 60. na ul. Bohaterów Monte Cassino, zwanej Monciakiem, i pobliskiej plaży można było spotkać Zbigniewa Cybulskiego, Kalinę Jędrusik, Stanisława Dygata czy Beatę Tyszkiewicz. Klub Non-Stop stał się kolebką polskiego rocka i bigbitu. Występowały tu zespoły Czerwone Gitary, Niebiesko-Czarni czy Czesław Niemen. W 1970 r. w sali turystycznej Grand Hotelu w Sopocie otwarto pierwszą w Polsce dyskotekę. Do ekskluzywnych rozrywek należała wizyta na sopockim torze wyścigów konnych. W pobliskim Gdańsku publiczność bawił kultowy teatr studencki i kabaret Bim-Bom z Bogumiłem Kobielą, Jackiem Fedorowiczem i Wowo Bielickim.

Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”

Jarosława Józwiakowska, zawodniczka AZS-u Gdańsk, podczas lekkoatletycznych mistrzostw Polski w Olsztynie, sierpień 1960 r.



FOT. PAP / TADEUSZ DRANKOWSKI

Gdy w drugiej połowie lat 50. gra pani w gdańskim AZS-ie, równolegle uprawia pani lekkoatletykę.

To była liga lekkoatletyczna. Ilekroć potrzebowali kogoś, a wiedzieli, że troszkę wcześniej skakała, to przychodzili i mówili: „Słuchaj, mamy ligę, może byś poskakała?”. Oczywiście, że się zgadzałam. Zresztą wtedy zaczęłam już lepiej skakać, pamiętam, że ktoś wspomniał: „Słuchaj, ty jesteś lepsza w skoku niż w siatkówce. Tam jest sześć dziewczyn, wszystkie świetne, a tu będziesz sama gwiazdą”. Do gwiazdy było mi daleko, ale polubiłam skakanie i lepiej mi to wychodziło właśnie dzięki siatkówce. Byłam sprawną, miałam silne nogi i silny charakter.

Jak wyglądały pani przygotowania do olimpiady w Rzymie? Bo sam fakt, że pani tam pojechała, był raczej niespodziewany.

To prawda. W skoku w dal miał wystąpić Henryk Grabowski, ale skrzył nogę i zwolniło się miejsce. Usłyszałam: „Niech jedzie Józwiakowska, zasłużyła sobie”. Parę razy poprawiałam rekord centymetr po centymetrze, więc postawili na mnie.

Tym samym wyjechała pani właściwie bez przygotowania?

Wtedy w ogóle nie było takich przygotowań jak dziś. Byłam na jednym obozie przed wyjazdem, i tyle. Trenowałam dwa, może trzy razy w tygodniu, po 2–3 godziny. Ale

to też nie był trening obciążający, taki jak teraz. Dziś lekkoatletyka to zawód, któremu ludzie poświęcają się przez osiem godzin dziennie. Myśmy to traktowali raczej jako zabawę i przyjemność.

Skakała pani nie tylko wżyz, ale też w dal, i biegała pani przez płotki.

Bardzo lubiłam biegać przez płotki. Ogólnie byłam dość sprawna. Na mistrzostwach akademickich dostawałam się do finałów, czy to w skoku w dal, czy w biegu przez płotki. Zawsze starałam się dobrze skakać. Nie zawsze mi to wychodziło, bo startowały też inne dobre zawodniczki, nie byłam nigdy najlepsza na zawodach. Dopiero z czasem się wyrobiłam i uzyskiwałam lepsze wyniki.

Pamięta pani moment, w którym zapadła decyzja o pani wyjeździe do Rzymu?

Nie liczyłam na to, że pojedę, ale straszliwie zachęcała mnie do tego Baśka Janiszewska, moja przyjaciółka, która świetnie biegała i która od razu dostała się do reprezentacji. Uczestniczyła w olimpiadzie w Melbourne, w Sztokholmie na mistrzostwach Europy zdobyła pierwsze miejsce na 200 metrów. Ilekroć wracała z jakichkolwiek zawodów, potrząsała mną, mówiła: „Weź się wreszcie w garść i zrób porządek z tym swoim skakaniem. Potraktuj to poważnie!”. Cały czas mnie dopingowała i to dzięki niej zaczęłam poważniej traktować skakanie. Wyrobiłam minimum olimpijskie, raz, drugi i trzeci. Miałam podstawy sądzić, że mnie wezmą, choć nikt nie liczył, że cokolwiek zdobędę. Wszystkie dziewczyny i w Europie, i na świecie skakały ode mnie wyżej.

Podczas olimpijskiego finału w pierwszej próbie skoczyła pani 168 centymetrów i tylko cztery zawodniczki pokonały jeszcze tę wysokość.

Tak. Z tym że skakałam później niż one, bo dziewczyny zaczynały od 150 lub 155 centymetrów. Ja zaczęłam bodajże od 160 i to był dla mnie handicap, bo później niż one miałam pierwsze skoki. Potem każdą wysokość przechodziłam za pierwszym razem, aż do 171 centymetrów.

Nie udało się na wysokości 173 centymetrów i zdobyła pani srebro ex aequo z inną zawodniczką.

Tak, razem z Dorothy Shirley.

Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”



Jaroslawa Józwiakowska
na zawodach
na Stadionie Dziesięciolecia
w Warszawie, 1960 r.

FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / EAST NEWS

Co ciekawe – niedługo po igrzyskach skoczyła pani 173 centymetry!

Tak, w Warszawie odbywał się mecz Polska – Anglia i wtedy wygrałam z Shirley.

Jakie to było uczucie, gdy ogłoszono, że stanie pani na podium olimpijskim?

To było niewiarygodne, nie wierzyłam w to. Śmiałam się histerycznie i wmawiałam sobie, że to nie mnie dotyczy. Nie mogłam w to uwierzyć. Gdy wróciłam do wioski olimpijskiej, była radocha, wszyscy się cieszyli. Mieliśmy własną ekipę, w tym kucharza, i okazało się, że czeka na mnie tort. Było bardzo sympatycznie!

Czyje reakcje pani zapamiętała?

W Rzymie najbardziej byłam związana z Baską Sobottową, wtedy jeszcze Janiszewską, która na tych igrzyskach także wywalczyła brąz w sztafecie 4 × 100 metrów. Dla mnie Rzym to był przebłysk formy. Pojechałam dzień przed zawodami i, co ciekawe, wcześniej kupiono mi bilet powrotny na drugi dzień po eliminacjach.

Czyli federacja nie wierzyła w panią, skoro zawczasu kupiła bilet.

A skąd! Nikt nie wierzył, a już najmniej redaktorzy. Jak wyjeżdżałam z Polski, to akurat z Rzymu wracała Daniela Walkowiak, kajakarka. Spotkałyśmy się w AWF-ie, powiedziała mi: „Ja wracam, a ty dopiero jedziesz, ale wrócisz za dwa dni”. Tak było ze względu na oszczędności – kto zaliczył swoją próbę na olimpiadzie, wracał do domu. Dopiero jak doszłam do finału, ba, dopiero jak zdobyłam medal, nasz szef Włodzimierz Reczek przyszedł do mnie, powiedział: „Kochana, za ten medal możesz zostać do końca olimpiady i wracać z ostatnią ekipą”.

Zostałam do końca igrzysk, pojechałam jeszcze na Monte Cassino, do Neapolu. W ogóle uroczy miałam czas po olimpiadzie. Poznałam troszkę Włochy i włoską atmosferę, której nie da się z niczym porównać. Zresztą sama olimpiada to jest coś niesamowitego. Człowiek, który nie bierze udziału w takich imprezach, nie zdaje sobie sprawy, jakie to są emocjonalne, pozytywne przeżycia.

Zwłaszcza w kraju ludzi otwartych, radosnych.

My, Polacy, mamy coś wspólnego z Włochami, potrafimy się cieszyć podobnie jak oni. Włosi są otwarci, radosni, rozśpiewani. My przecież też tacy jesteśmy.

Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”

Niezapomniane igrzyska w Rzymie (1960). Byliśmy „Wunderteamem”!



FOT. PAWEŁ KULA / PAP

Jarosława Józwiakowska i trener Jan Mulak, twórca „Wunderteamu”, podczas spotkania gwiazd królowej sportu w centrum olimpijskim w Warszawie (2004 r.).

Letnia olimpiada w Rzymie w 1960 r. dostarczyła polskim kibicom wielu emocji, zwłaszcza że były to pierwsze igrzyska obszernie transmitowane przez telewizję. Miłą niespodzianką stanowił srebrny medal Jarosławy Józwiakowskiej w skoku wzwyż, oczekiwane sukcesy – złoto Józefa Szmidta w trójskoku, srebro drużyny szablistów i brąz biegaczek na 5000 m z Barbarą Janiszewską. Ogółem reprezentacja Polski – ze słynnym lekkoatletycznym „Wunderteamem” – wywalczyła w Rzymie 21 medali.

Kazimierz Zimny, brązowy medalista z Rzymu w biegu na 5000 m, tak wspominał wspaniałe lata polskiej lekkoatletyki w wywiadzie do książki „Gdy milkną oklaski” (Instytut Łukasiewicza, Kraków 2020): *Sława, która za nami szła, doping kibiców tylko dodawały nam skrzydeł i mobilizowały do pracy. To było niesamowite, stanowiliśmy wówczas potęgę. Dla nas to było ogromne wyróżnienie, że możemy reprezentować Polskę, że nosimy koszulkę z godłem narodowym. Rywalizowaliśmy z państwami, które były wtedy potęgą na międzynarodowej arenie sportowej: z Niemcami, Wielką Brytanią, Włochami, NRD, Stanami Zjednoczonymi. Ale absolutnie nie mieliśmy kompleksów! Stawaliśmy do walki jak równy z równym. Wierzyliśmy, że możemy wygrać z każdym. Wierzyliśmy w siłę naszego zespołu. Każdy z nas dawał z siebie wszystko, sto procent normy, każdy każdego dopingował, drużyna była bardzo zżyta. Nie było między nami niezdrowej rywalizacji. Byliśmy „Wunderteamem”!*

Polscy medaliści olimpijscy po igrzyskach olimpijskich w Rzymie. Od lewej:
Zdzisław Krzyszkowiak, Krzysztof Beck, Kazimierz Paździor, Józef Szmidt, Elżbieta Krzesińska,
Marian Kuszewski, Emil Ochyra, Jerzy Pawłowski, Andrzej Piątkowski, Wojciech Zabłocki,
Ryszard Zub, Jarosława Józwiakowska. Stadion Dziesięciolecia, Warszawa, 1960 r.

FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / EAST NEWS





Dyskobol
Zenon Begier
i ciężarowiec
Marian Jankowski
przed wylotem
na igrzyska
olimpijskie
w Rzymie, 1960 r.

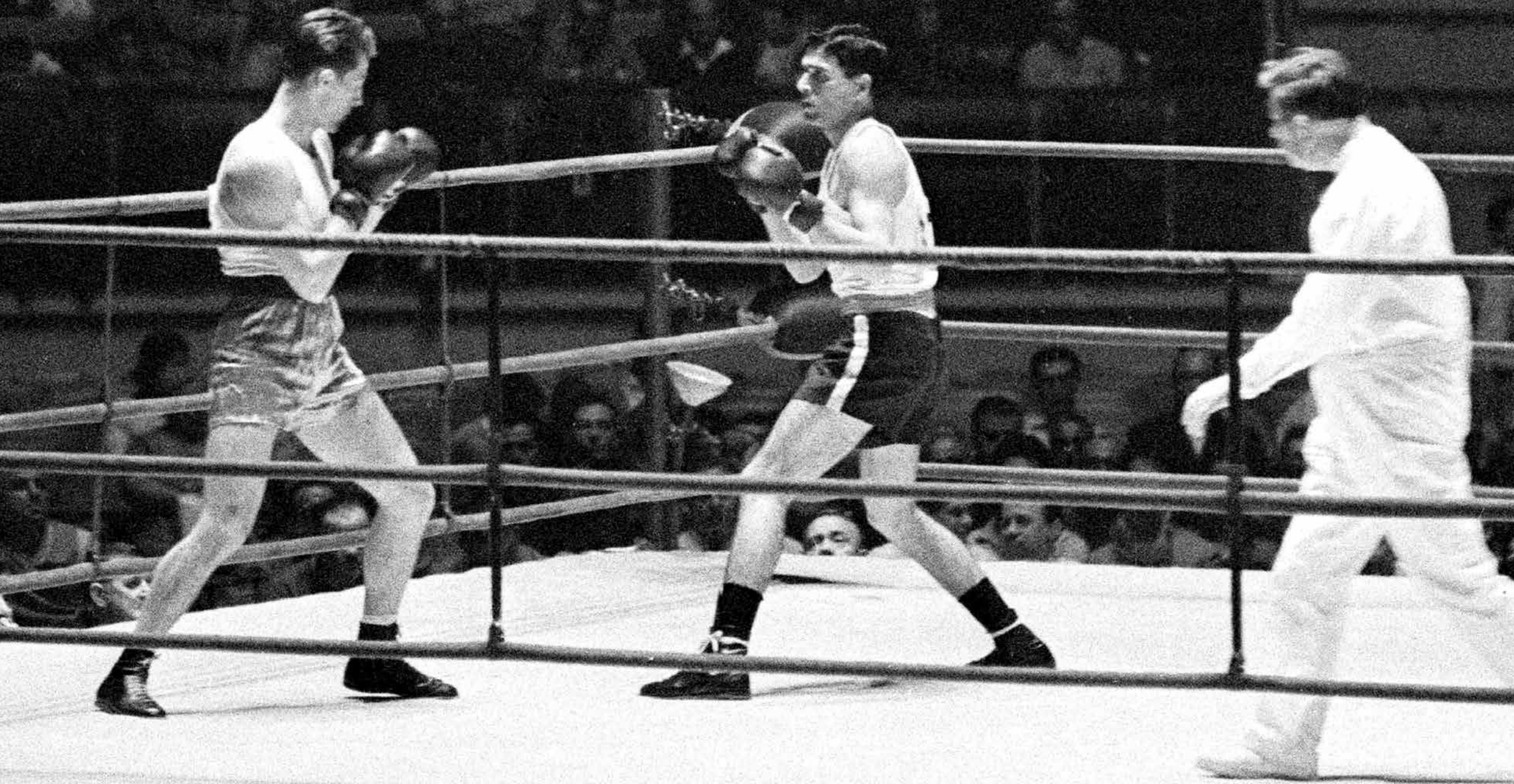
FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / EAST NEWS



Igrzyska olimpijskie w Rzymie, mecz Polska - Tunezja (6 : 1),
26 sierpnia 1960 r. W wyskoku Ernest Pol.

FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / EAST NEWS

Tadeusz Walasek (z lewej) podczas walki na igrzyskach olimpijskich w Rzymie, 5 września 1960 r.



Po powrocie z Rzymu ponownie zostaje pani mistrzynią Polski. Sięgała pani po złoto mistrzostw kraju w latach 1957, 1959–1962 i 1964–1966. Można powiedzieć, że niemal cała dekada to pani czas.

A w '66 zdobyłam brązowy medal na mistrzostwach Europy w Budapeszcie. Wtedy już kończyłam uprawianie sportu wyczynowego. Potem udzielałam się troszkę w AZS-ie, bo odbywały się różne zawody, trwała liga. Ale nie traktowałam już skakania priorytetowo.

W 1964 r. odbywają się igrzyska w Tokio. Wraca z nich pani bez medalu. Czy to było rozczarowanie? Czy po wcześniejszym srebrze miała pani apetyt na coś więcej?

Nie, to było zupełnie inne doświadczenie. Żeby wyjechać do Tokio, trzeba było na każdym zawodach udowodnić, że się jest dobrym i że osiąga się minimum olimpijskie. W roku olimpiady tokijskiej dawałam z siebie maksimum na wszystkich zawodach. Ostatecznie gdy jechałam do Tokio, byłam wykończona. Wiedziałam, że nie ma co liczyć na dobry wynik. Nie miałam w sobie świeżości, byłam wypruta z energii po eliminacjach.

To częsty problem sportowców przygotowujących się do największych imprez.

Wysokość 168 centymetrów stanowiła wtedy minimum, a ja skakałam najlepiej w swojej karierze – 173 lub 175 centymetrów. Ale gdy pojechałam do Tokio, byłam już zbyt zmęczona.

Choć powtórzyła pani swój wynik z Rzymu, okazało się, że to za mało.

Tak, nie mogłam wspiąć się wyżej, mimo że to był mój najlepszy rok, jeśli chodzi o wyniki. Gdyby olimpiada odbyła się wcześniej, może bym coś wskórała. Zorganizowano ją dość późno, na przełomie sierpnia i września. W każdym razie w Tokio nie miałam już świeżości.

Skakanie zakończyła pani rekordem 175 centymetrów?

Tak.

To był wówczas rekord Polski?

Zgadza się, to był rekord Polski.

Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”



Jarosława Józwiakowska przed wylotem na igrzyska olimpijskie w Tokio. Warszawa, 1964 r.

FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / EAST NEWS



FOT. TOMASZ PRAŻMOWSKI / MSST / FORUM

Jarosława Józwiakowska robi manicure późniejszemu mistrzowi olimpijskiemu w pchnięciu kulą, Władysławowi Komarowi. Mecz lekkoatletyczny Polska – ZSRS, Mińsk, 25 lipca 1966 r.

Wie pani, ile dzisiaj wynosi rekord Polski?

Ale, kochany, jak oni skaczą! To jest akrobatyka! Na pewno ponad 2 metry. Dla mnie to jest akrobatyka, to nie jest skakanie sportowe. W naszych czasach każda zawodniczka miała swój styl. Jedna skakała przerzutem, druga – grzbietowo, inna skakała nożycami lub stylem kalifornijskim. Dziś wszyscy skaczą flopem, przez barki,

Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”

a punkt ciężkości znajduje się poniżej ciała. Myśmy w punkcie ciężkości musiały przeskakiwać nad poprzeczką, a teraz jest on pod poprzeczką. To dla mnie akrobatyka. Oczywiście jest to widowiskowe, ale wszyscy skaczą tak samo. Nie ma w tym żadnej różnorodności.

Przestałam być kibicem, nie interesuje mnie sport zawodowy. Fascynował mnie sport akademicki, amatorski. Komeracja, wielkie pieniądze – to wszystko zniechęciło mnie do kibicowania. Kibicuje natomiast mój mąż. Ogląda atletykę, piłkę nożną. Woła mnie, jak coś się dzieje, wtedy przychodzę i patrzę, zwłaszcza jak transmitują skok wzwyż. Ale tylko z doskoku.

Wielu zawodników pani pokolenia wspomina, że komercjalizacja sportu mocno zmieniła specyfikę odbioru. Ale co ciekawe, koleżanki siatkarki są zafascynowane współczesną siatkówką. Uważają, że jest szybsza, lepsza, ciekawsza. Jaka jest pani opinia na ten temat?

Moja opinia jest podobna, bo jedyny sport, który oglądam, to właśnie siatkówka. To dyscyplina, w której zespół musi świetnie ze sobą współpracować, zawodnicy muszą być wyszkoleni w tym, co robią. Dlatego siatkówkę lubię oglądać. Ale za koszykówką już nie przepadam, jest dla mnie zbyt agresywna.

Myśli sobie pani czasem: gdybym urodziła się wiele lat później, to może zostałabym libero w siatkówce?

Nie, od zawsze byłam indywidualistką. Gdybym urodziła się raz jeszcze i miała takie możliwości, to jeździłabym w rajdach samochodowych.

Kręci panią adrenalina?

Tak, motoryzacja mnie kręci, mogłabym spać w samochodzie. Kocham jeździć samochodem i kocham szybkość.

Jeździ pani za szybko?

Cały czas! Próbuję nie dać się złapać, ale czasami policja mnie zatrzyma. Po zakończeniu kariery, gdy miałam ponad 40 lat i moje dziecko zaczynało już chodzić, zaczęłam też jeździć na nartach. Pędziłam na nich jak wariatka. Wszyscy mówili: „Ty się kiedyś zabijesz!”. Podniecała mnie szybkość i dawała mi mnóstwo

przyjemności. Na nartach jeździłam do 82. roku życia. Inni śmiali się ze mnie: „Stara baba! Co ty się wygłupiasz!”. Dziś to samo mam z jazdą samochodem, szybkość sprawia mi przyjemność.

Po zakończeniu kariery pracowała pani i w Cepelii, i w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Cetniewie, prowadziła też pani butik w Rumi. Nie miała pani poczucia, że życie posportowe jest pozbawione tej energii, która panią pchała?

Nie. Skończyłam sport z przyjemnością, mimo że ciągle miałam dobre wyniki. W życiu każdego sportowca przychodzi taki czas, kiedy trzeba skończyć. Również każda praca, której się później podejmowałam, dawała mi wiele radości. W Cepelii bardzo mi się podobało, pracowałam wśród pięknych wyrobów, lubiłam to. Do tego targi nie targi, ciągle coś się działo.

Czyli nie miała pani poczucia, że wykonuje pani jakąś pracę z obowiązku?

Nie, nigdy. Nigdy.

To duże szczęście w życiu.

Później pracowałam w Cetniewie. Na siłę wyciągnięto mnie z Cepelii. Zostałam zastępcą dyrektora do spraw ekonomicznych. W Cetniewie wszystko było na mojej głowie: i zaopatrzenie, i przyjmowanie grup. Ze wszystkim sobie radziłam, lubiłam być aktywna.

Prowadziłam także butik, ale króciusienko. Moja siostra miała zakład krawiecki, była mistrzynią krawiecką. Zachorowała, poza tym miała trójkę dzieci, powiedziała: „Wiesz co, zamknę biznes na jakiś czas”. W ten sposób przez parę lat, dopóki siostrzenica nie skończyła szkoły krawieckiej i nie mogła przejąć interesu, prowadziłam butik w miejscu, w którym siostra miała wcześniej pracownię. Bardzo sobie to chwaliłam. Miałam dobre zaopatrzenie i dobrze szły mi interesy. Zaczęłam jeździć po świecie, poznałam mojego drugiego męża. Jeździliśmy do Indii, do Tajlandii.

Po towar czy turystycznie?

Turystycznie. Podróżowaliśmy większą grupą, w 12 osób, za małe pieniądze, bo podróżowanie było wtedy tanie. Dwukrotnie byłam w Indiach, także w Tajlandii, na Bali. Zwiedziłam również Egipt i Grecję.

Lekarz mi powiedział: „Dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”



FOT. PAP / PAWEŁ KUIŁA

Robert Korzeniowski i Jarosława Józwiakowska podczas spotkania gwiazd królowej sportu w centrum olimpijskim w Warszawie, 6 listopada 2004 r.

Rzadko spotyka się ludzi tak pełnych energii jak pani, zwłaszcza po osiemdziesiątce. Czy ma pani poczucie, że jest znacznie młodsza, niż wynika to z metryki?

Oczywiście! Jak poszłam na badanie i lekarz zobaczył, jak jestem aktywna, powiedział tylko: „Matko Boska, dziewczyno, ty jesteś biologicznie o 10 lat młodsza!”. I rzeczywiście tak się czuję. Gdy mówię ludziom, że mam 84 lata, to mi nie wierzą, słyszę co rusz: „Chyba zwariowałaś!”.

Też bym tak powiedział.

Sylwetkę mam w porządku, mięśnie mam w porządku. Tylko ostatnio rozwaliłam sobie kolano, całą rękę złamałam. Stuknęłam samochód, musiałam mieć operację. To dla mnie uciążliwe, nie lubię, jak mnie coś boli. Staram się niwelować wszystkie dolegliwości. Ale po wyjęciu drutów znowu będę sprawna.

Mam ogródek przy domu, zasuwam w nim jak głupia. Jak wspomniałam, do 82. roku życia jeździłam na nartach, rok w rok. A to Pireneje, a to Alpy, również na dużych stokach. Skończyło się, gdy mąż przeszedł różne ciężkie choroby. Nie mogę

go zostawiać, muszę cały czas dbać o niego. Miał operacje serca, jest cukrzykiem insulinozależnym, bez przerwy muszę się troszczyć o jego zdrowie.

Ale pewnie sporo pani chodzi.

Chodziłam sporo, dopóki kolana nie rozwalіłam. Na rowerze nie lubię jeździć, chyba że mam towarzystwo. Po prostu nie lubię niczego robić sama. Kocham towarzystwo i kocham ludzi. Pandemia mnie wykończyła, bo przestałam mieć kontakt z przyjaciółmi.

Zawsze u nas było pełno ludzi albo myśmy sami gdzieś jeździli. Jesteśmy z mężem towarzyscy i mamy kupę znajomych. A w czasie pandemii człowiek siedział w domu, wszyscy się bali, trzęśli ze strachu. Ja nie, w ogóle się nie bałam. Mnie żadne świństwo się nie ima. Gdy poszliśmy z mężem na szczepienie, nic nie poczuliśmy, żadnych objawów. Po prostu jesteśmy odporni. Wydaje mi się, że odporności nabrałam właśnie w czasach młodości. Wojna nie wojna, ciężkie warunki...

I to panią zaszczepiło.

Wydaje mi się, że uodporniło mnie to na wiele chorób. W dalszym ciągu czuję się odporna na wszelkie świństwa.

Wspomniała pani o znajomych. Czy to są relacje z osobami jeszcze z czasów pani kariery?

Miałam dobre relacje z Basią Sobottową. Byłyśmy w stałym kontakcie. Albo ja jeździłam do Krakowa, albo ona przyjeżdżała do mnie. Gdy mieszkaliśmy w Borach Tucholskich, bez przerwy wpadała do nas na wakacje. Po śmierci Basi spotykałam się z Elką Krzesińską w Warszawie, na piknikach olimpijskich. Przyjeżdżała często do Gdańska, bo tutaj Andrzej Krzesiński miał rodzinę. Ale gdy Elka zmarła, Andrzej wyjechał do Stanów.

Mam przyjaciółkę w Krakowie, Magdę Baranowską, która też swego czasu skakała wzwyż. Przeurocza dziewczyna! Jak byłam w Krakowie, przyjaźniłyśmy się i ta relacja trwa do dzisiaj, dzwonimy regularnie do siebie. W zeszłym roku byłam króciutko na pogrzebie w Krakowie, więc się widziałyśmy z Magdą.

Jest jeszcze znana panu siatkarka Krysia Krupowa, z Gdańska, więc mieszkamy bliźniutko siebie, to również znajomość jeszcze z czasów sportowych. Zresztą cudowne

FOT. MARCIN WOŁOSZCZAK / NEWSPIX.PL

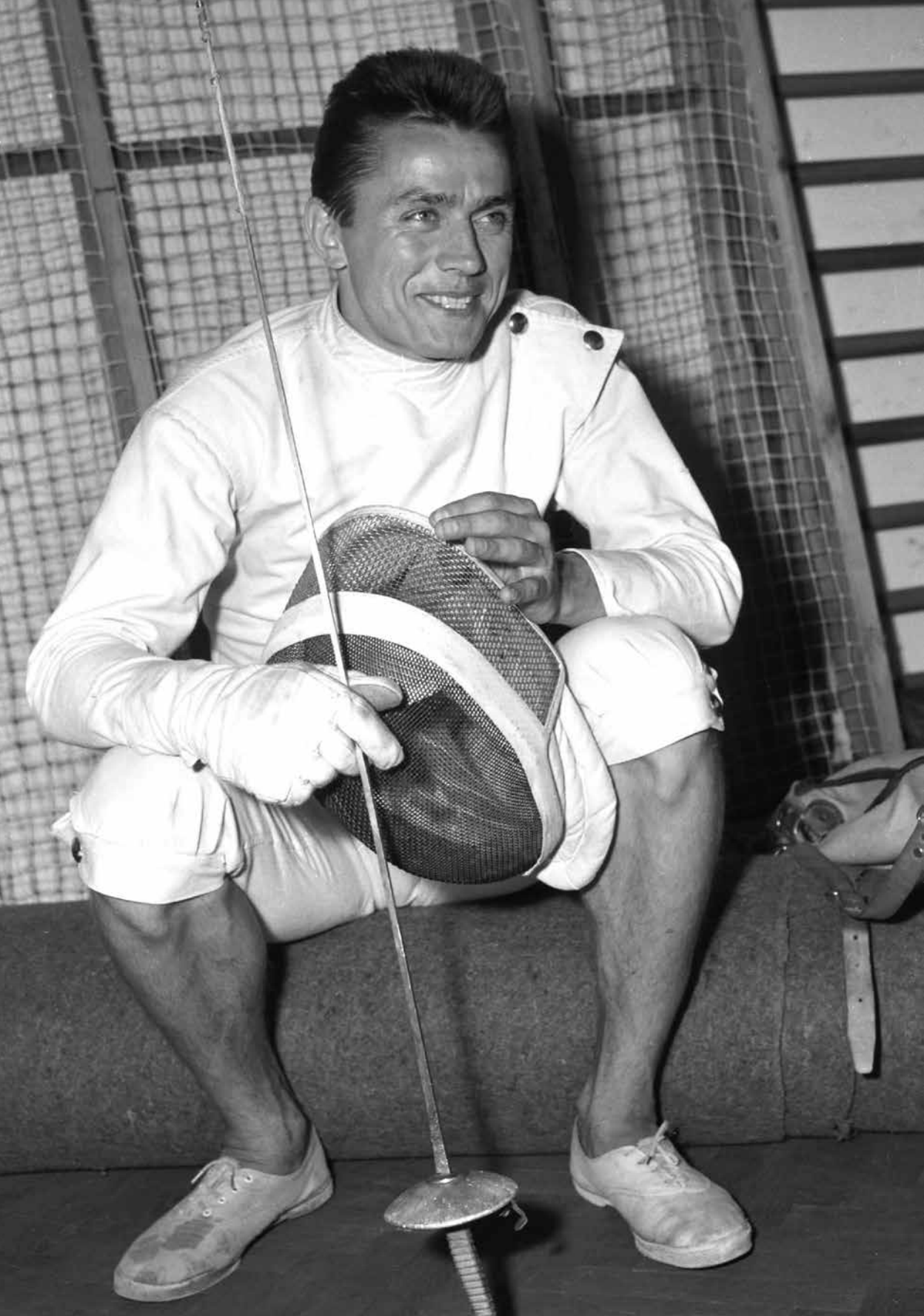


Gala plebiscytu na najlepsze zawodniczki i zawodników w historii polskiej lekkoatletyki zorganizowanego w 90. rocznicę PZLA. Na zdjęciu: Robert Korzeniowski, Ewa Kłobukowska, Elżbieta Duńska-Krzesińska, Władysław Kozakiewicz i Jarosława Józwiakowska. Warszawa, 20 listopada 2009 r.

były te coroczne spotkania na piknikach olimpijskich w Warszawie. Oby wróciły, bo lekkoatletów, a zwłaszcza lekkoatletek, jest już niewiele. Na pikniki czasami wpadały moje zaprzyjaźnione lekkoatletki: Mirka Sałacińska czy Danka Straszyńska. A siatkarki to zawsze była zwarta grupa. Bardzo je lubiłam, dosiadałam się do nich. To były sympatyczne spotkania, żałuję, że teraz ich nie ma. Zwłaszcza że wszystko zaczyna się sypać, ludzie umierają...

Ma pani poczucie, że czas płynie za szybko?

Żyję dniem dzisiejszym, terażniejszością, staram się wykorzystywać każdą chwilę. Nie myślę o jutrze, nie zastanawiam się, co może mi się przytrafić, a jeśli już, to myślę pozytywnie. W ogóle nie zakładam, że coś może potoczyć się źle. Nawet z przykrych zdarzeń, takich jak mój ostatni wypadek, wyciągam pozytywne wnioski. Myślę sobie: „No to Bozia mnie ukarała, żebym przestała wariować, żebym troszkę zastanowiła się nad sobą”. Może powinnam bardziej uważać, funkcjonować tak, jak na mój wiek przystało. Choć przyznam, że z trudem mi to przychodzi, bo wciąż się czuję świetnie, mam pozytywne nastawienie i do życia, i do ludzi.



Dopiero
kiedy stanąłem
na podium
i usłyszałem
Mazurka
Dąbrowskiego,
uzmysłowiłem sobie,
czego dokonałem

FOT. MIECZYSLAW ŚWIDERSKI / REPORTER / EAST NEWS

Rozmowa
z **Egonem Frankem**

Rozmawiamy tuż po zakończeniu igrzysk olimpijskich w Tokio, które 57 lat temu było miejscem pańskiego wielkiego triumfu. W '64 roku zdobył pan złoty medal olimpijski.

Wiadomość o tym, że igrzyska olimpijskie odbędą się znów w Tokio, przywołała bardzo przyjemne wspomnienia!

Proszę o nich opowiedzieć.

Przed startem doszło do małego zamieszania, moim zdaniem rozdmuchali je dziennikarze. Drużyna składała się z pięciu zawodników, a na olimpiadzie mogło startować trzech. Rok wcześniej walczyliśmy o złoty medal na mistrzostwach świata. Po trzech barażach wygrał Jean-Claude Magnan, drugi był Ryszard Parulski, a ja – trzeci. Poziom był tam tak wyrównany, że rozważano przyznanie medali ex aequo...

Czyli miał pan solidny fundament do tego, żeby walczyć indywidualnie w igrzyskach.

Ale dziennikarze byli z Warszawy i forowali warszawskich zawodników. Ten warunek spełniali Ryszard Parulski i Witold Woyda, których wyjazd był zresztą pewny.

Egon Franke

Urodzony 23 października 1935 r. w Gliwicach (wówczas Niemcy), pierwszy polski mistrz olimpijski w szermierce (fiolet indywidualnie w Tokio w 1964 r.) oraz wicemistrz i brązowy medalista igrzysk olimpijskich drużynowo.

Po II wojnie światowej rodzice Frankego – Franz i Elfriede – postanowili pozostać w Gliwicach, które zostały włączone do Polski. Egon do 1945 r. uczył się w niemieckiej szkole, naukę języka polskiego zaczął dopiero jako dziesięciolatek. Decyzję o pozostaniu rodziny w Polsce ułatwił fakt, że Franz Franke nie służył w niemieckim wojsku – nie został wcielony do Wehrmachtu z uwagi na niepełnosprawność.

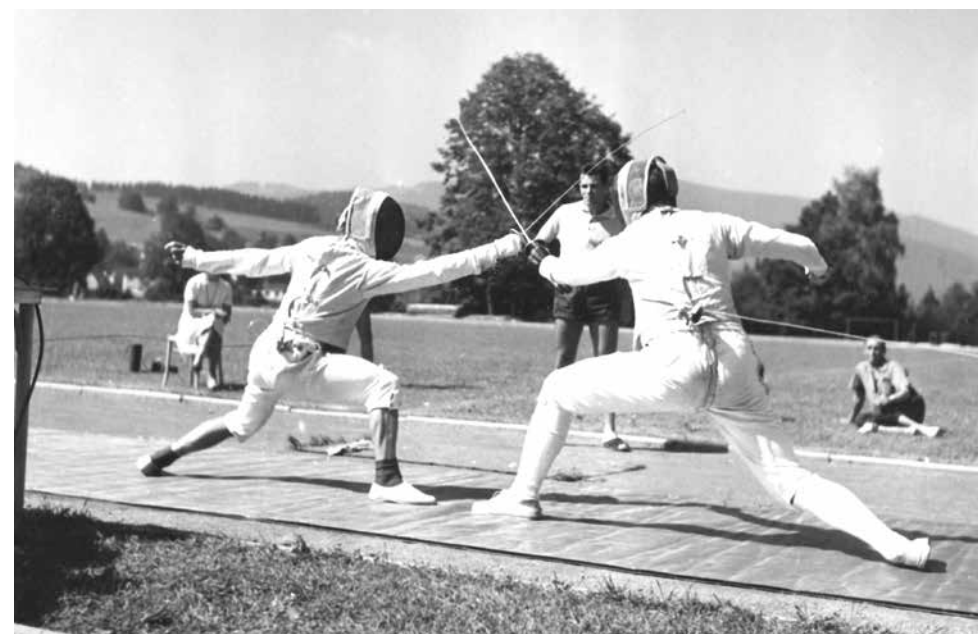
Egona od dzieciństwa pociągał sport, próbował sił w różnych dyscyplinach. Ostatecznie dzięki bratu Gerardowi, który zakładał klub szermierczy w Gliwicach, skupił się na szermierce. Pod okiem trenera Antoniego Franza opanował do perfekcji fiolet. W 1955 r. trafił do Legii Warszawa, gdzie trenowany przez Andrzeja Przeździeckiego sięgnął po tytuł wicemistrza Polski (1957 r.). Indywidualnym mistrzem kraju został w 1962 r., drużynowym – w 1960 i 1969 (fiolet) oraz 1956 r. (szabla).

Na igrzyskach w 1960 r. w Rzymie był członkiem drużyny florecistów. Dwa lata później sięgnął po drużynowe mistrzostwo świata w szabli (Buenos Aires, 1962 r.).

Podczas igrzysk w Tokio w 1964 r. został mistrzem olimpijskim we florecie indywidualnie oraz wywalczył srebrny medal w drużynie (z Ryszardem Parulskim, Januszem Różyckim, Zbigniewem Skrudlikiem i Witoldem Woydą). Cztery lata później, na igrzyskach w Meksyku w 1968 r., zdobył swój trzeci medal olimpijski – brązowy w drużynie (z Adamem Lisewskim, Parulskim, Skrudlikiem i Woydą).

Po zakończeniu kariery wyjechał z rodziną do Włoch, gdzie pracował z sukcesami jako trener, prowadząc także reprezentację narodową szermierzy. Wspólnie z małżonką, znakomitą szermierką i olimpijką Elżbietą Franke (z d. Cymerman), trenował m.in. przyszłych medalistów igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata: Marię Consolatę Collino, Laurę Chiesę, Elisę Ugę i Francesca Rossiego.

Dopiero kiedy stanąłem na podium i usłyszałem Mazurka Dąbrowskiego, uzmysłowiłem sobie, czego dokonałem



FOT. PAP / KAZIMIERZ SEKO

Witold Woyda i Ryszard Parulski podczas pojedynku treningowego, lata 60. XX w.

Ja natomiast pochodziłem ze Śląska. Zdecydowanie większe wsparcie medialne i przychylność trenera miał inny zawodnik, warszawiak. Z perspektywy czasu wiem, że późniejsze wyniki tego sportowca nie potwierdziły słuszności tamtej wstępnej decyzji.

Czy z punktu widzenia sportowców przybyłych z PRL-u Japonia jawiła się jak zupełnie inny świat?

Naturalnie. Dużo wprawdzie w tamtym czasie podróżowaliśmy, startowaliśmy w Bolonii, Moskwie, Leningradzie, wielokrotnie byliśmy w Paryżu, ale Tokio sprawiało zupełnie inne wrażenie. Dla nas to był kraj egzotyczny pod każdym względem. Widziałem, jak rano ludzie pieszo chodzili do pracy, wszyscy pod krawatem, w białych koszulach, elegancko ubrani. Takie rzeczy dotychczas widywaliśmy jedynie w filmach. Zdziwiła nas to, jak mieszkają, jak jedzą, siedząc na ziemi. Chodziliśmy do teatru kabuki, żeby lepiej poznać historię Japonii i zwyczaje mieszkańców. W samej wiosce olimpijskiej również mieszkano się bardzo przyjemnie, zakwaterowano nas w domkach wśród zieleni. W kolejnych latach wioski olimpijskie to głównie beton i drapacze chmur wokoło.

Egon Franke

Siatkarki z reprezentacji roku 1964, z którymi rozmawiałem, wspominały, że na igrzyskach panowała atmosfera przyjaźni i zabawy. Podobno niektóre z nich przebierały się za chłopaków i wjeżdżały do żeńskiego sektora wioski olimpijskiej rowerami, a strażnicy gonili je, myśląc, że to grupa chłopców próbuje wtargnąć do dziewcząt.

Tak było! Rowery to osobny temat. Przed naszym domem w polskiej sekcji wioski olimpijskiej znajdował się olbrzymi trawnik, niemal boisko. W wolnym czasie jeździliśmy po nim, grając w piłkę nożną na rowerach. Miło spędzaliśmy czas przed zawodami, relaksując się. Zresztą z moim trenerem odbywaliśmy lekcje szermiercze na świeżym powietrzu, przed domem, na ganku. Pamiętam, jak po jednym z takich treningów trener Zbigniew Czajkowski powiedział mi: „Ja medalu poniżej złota nie akceptuję, jesteś w pełnej formie”.

Jednak droga do złota nie była prosta.

W pierwszym etapie z puli sześciu zawodników przechodzi trzech. Ja miałem za przeciwników od razu dwóch mistrzów świata – Anglika Allana Jaya i Węgra Józsefa Gyuriczę. Zdawałem sobie sprawę, że to trudne zadanie wygrać z tak dobrymi zawodnikami. Ale kiedy pokonałem Gyuriczę, spokojnie wygrałem drugi mecz i przeszedłem do kolejnych eliminacji. Tu jednak miałem problem, przegrałem pierwsze dwie walki, a kolejna porażka oznaczałaby dla mnie koniec zawodów. Wyszedłem z sali, umyłem twarz zimną wodą, przebiegłem się dla otrzeźwienia. Poskutkowało, bo wygrałem następne walki i awansowałem do eliminacji bezpośredniej. Zacząłem od rozgrywki z doskonałym zawodnikiem, brązowym medalistą z Rzymu, Amerykaninem Albertem Axelrodem.

To była walka pełna nieoczekiwanych zwrotów...

Tak, Axelrod prowadził od razu 6 : 0. Musiałem zmienić taktykę. Wyrównałem na 6 : 6, ale on się zorientował i również zmienił sposób walki, doprowadzając do 9 : 6 na swoją korzyść. Przedziwna to była walka: najpierw 6 : 0, potem 6 : 6 i 9 : 6, a na koniec chodziło o jedno trafienie. Ale tego dnia miałem jakby jeden bieg więcej. Włączyłem ten bieg i wygrałem. Wyrównałem na 9 : 9 i zadałem ostatnie trafienie. Potrafiłem zmobilizować się w ciężkiej sytuacji i wyjść z niej zwycięsko.

Podobnie było następnego dnia w finale. Zostało nas czterech: Francuzi Jean-Claude Magnan i Daniel Revenu, Austriak Roland Losert i ja. Pomyślałem: „Jeśli



FOT. PIOTR BARACZ / EAST NEWS

Egon Franke prezentuje medale zdobyte na igrzyskach olimpijskich w Tokio. Gliwice, 1965 r.

nie popełnię żadnej głupoty i będę walczył, jak powinienem walczyć, to mam srebrny medal”. Wygrywałem bez problemu, aż pozostała walka z mistrzem Magnanem. Dzień wcześniej wymyśliłem sobie sposób na to, jak go trafić. Dobrze się przecież znaliśmy, trzeba było wprowadzić coś nowego. A Magnan to leworęczny zawodnik.

Pan lubił walczyć z leworęcznymi szermierzami?

Tak, tym bardziej że w naszej drużynie mieliśmy leworęcznych – Ryszarda Parulskiego i Janusza Różyckiego. Byliśmy przyzwyczajeni do takich walk. Ale tu musiałem postarać się o coś nowego, więc wymyśliłem akcję z odbiciem klingi i trafieniem z boku w plecy. Trzy razy mi się to udało! Zaczął uważać na ten swój bok, wyrównał na 4 : 4. Ostatnie trafienie to było proste pchnięcie w tułów. Prowadziłem floret do przodu, sprawdzałem reakcję Magnana, patrzyłem, co zrobi, a on wydawał się zszokowany, niezdecydowany, spodziewał się czegoś mniej oczywistego. Zawahał się, wyciągnął rękę do przodu, wykorzystałem to, trafiłem i skończyłem.

Jakie to było uczucie stanąć na najwyższym poziomie olimpijskiego podium i usłyszeć Mazurka Dąbrowskiego? W '64 roku był pan już dojrzałym, ukształtowanym mężczyzną, który dopiero stawał się Polakiem. Zaczął pan mówić po polsku, mając 10 lat.

Tak. Ciężko było na początku, kiedy nie znałem ani słowa po polsku. Ale wszystko potoczyło się dobrze. A co do podium – człowiek dopiero z czasem zdaje sobie sprawę, czego dokonał. Były gratulacje, wywiady, satysfakcja z wygranej walki, ale nie docierało do mojej świadomości, że to złoty medal olimpijski! Dopiero kiedy stanąłem na podium i usłyszałem Mazurka Dąbrowskiego, uzmysłowiłem sobie, czego dokonałem. To był bardzo przyjemny moment, ale pełna świadomość wagi sukcesu przyszła później.

Chcę podzielić się jeszcze jedną refleksją. Dziś, kiedy ktoś wygrywa olimpiadę, rzuca się na ziemię, pozuje do zdjęć i dopiero po jakimś czasie idzie pożegnać się z przeciwnikiem. Proszę zauważyć moją reakcję po zwycięstwie. Pierwsze, co należało zrobić, to podziękować zawodnikowi, który przegrał walkę i któremu było cholernie przykro z tego powodu. To człowiek, któremu należy się szacunek! Teraz tego w sporcie nie ma. Bardzo mnie to razi.

Niewiele brakowało, a z Tokio przywiózłby pan dwa złota, bo przecież odbywała się też konkurencja drużynowa. Wasza ekipa z '64 roku to zbiór znakomitych indywidualności. Na co dzień rywalizowaliście ze sobą w różnych imprezach rangi krajowej, a na igrzyskach musieliście tworzyć zgrany zespół.

O kolegach mogę mówić tylko bardzo dobrze. Najbliżej przyjaźniłem się z Woydą, z którym często na wyjazdach dzieliłem pokój. Każdy z nas zajmował się czymś

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA



Huta 1 Maja w Gliwicach.

innym. Bo ja, podobnie jak koledzy, nie byłem profesjonalnym zawodnikiem. Pracowałem codziennie osiem godzin w Hucie 1 Maja w Gliwicach. Szło się do pracy na szóstą i tylko dlatego, że byłem sportowcem i miałem treningi późnymi wieczorami, przełożony pozwalał mi przychodzić na siódmą. Z kolei Parulski był prawnikiem, Różycki – asystentem w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Byliśmy bardzo zżyli. Indywidualna rywalizacja szła na bok, kiedy dochodziło do walki drużynowej. Walczyliśmy jeden za drugiego i z pełnym zaangażowaniem. Finałowa walka z Rosjanami o złoto była dramatyczna. Prowadziliśmy 7 : 5, wystarczyło wygrać jedną walkę. I nie daliśmy rady! Ani Parulski, ani Skrudlik, ani Woyda, ani ja. Po morderczych walkach przegraliśmy mecz, choć chwilę wcześniej mieliśmy w rękę wygraną lepszymi trafieniami. To było tragiczne doświadczenie. Ta porażka sniła mi się nocami przez ładnych parę lat.





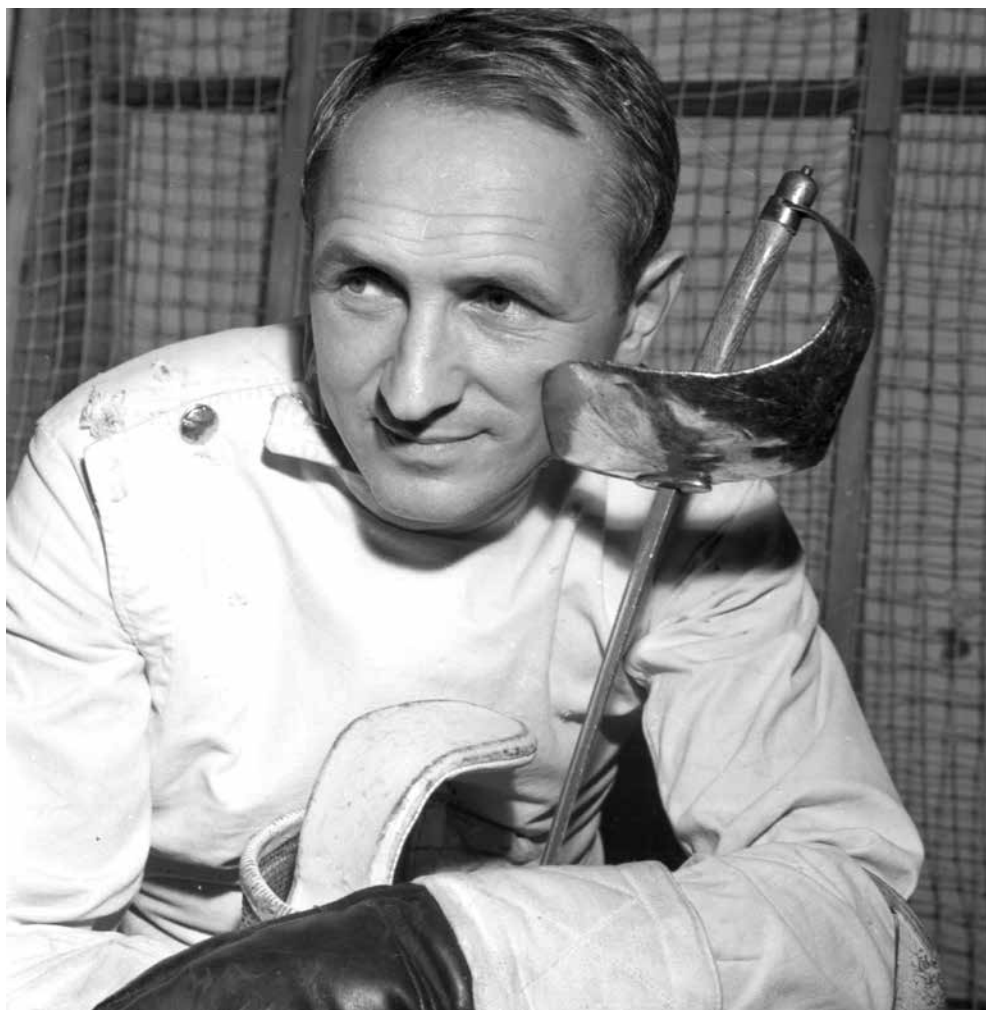
Egon Franke podczas pojedynku drużynowych mistrzostw
Polski w szermierce, Poznań, 2 listopada 1969 r.

FOT. PAP / ZBIGNIEW STASZYSZYN



Mistrzowie olimpijscy
w szermierce: Jerzy
Pawłowski i Egon Franke.

FOT. LESZEK FIDUSIEWICZ / REPORTER / EAST NEWS



Jerzy Pawłowski

FOT. MIECZYSLAW ŚWIDERSKI / NEWSPIX.PL

Jak zapamiętał pan Jerzego Pawłowskiego, znakomitego szermierza, skazanego później za szpiegostwo?

Przebywałem już wtedy za granicą. Dla mnie Pawłowski był przede wszystkim doskonałym szablistą, wielkim polskim patriotą, dzieckiem Powstania Warszawskiego. Miałem z nim bardzo miłe, koleżeńskie stosunki. Na obozach szkoleniowych często razem mieszkaliśmy, bo chciał się przy mnie podszkolić z języka niemieckiego. Był zresztą bardzo pojętny. Z jego działalności szpiegowskiej nie zdawaliśmy sobie sprawy, dla mnie było to wielkim zaskoczeniem.

Dopiero kiedy stanąłem na podium i usłyszałem Mazurka Dąbrowskiego, uzmysłowiłem sobie, czego dokonałem

Jerzy Pawłowski – szermierz wszech czasów i szpieg

Jerzy Pawłowski urodził się 25 października 1932 r. w Warszawie jako syn Władysława Pawłowskiego, żołnierza Września 1939 r. i Powstańca Warszawskiego. Sam Jerzy w 1944 r. przeniósł meldunki i żywność; był świadkiem wielu zbrodni i sam został ranny.

Trening szermierki rozpoczął w wieku 17 lat, a gdy jako 20-latek został powołany do wojska, trafił pod opiekę znakomitego trenera CWKS-u Jánosa Keveya. Sukcesy przyszły bardzo szybko, jeszcze w roku 1952 Pawłowski zdobył mistrzostwo Polski we florecie i wystartował na igrzyskach olimpijskich w Helsinkach. Jego kariera to pasmo sukcesów: wziął udział w sumie w sześciu igrzyskach i zdobył pięć medali olimpijskich: w Melbourne (srebro w szabli indywidualnie i srebro w szabli drużynowo), Rzymie (srebro w szabli drużynowo), Tokio (brąz w szabli drużynowo) i Meksyku (złoto w szabli indywidualnie). Czternastokrotnie zostawał mistrzem Polski we florecie i szabli, w drużynie – 22 razy (fiolet, szabla, szpada). Trzykrotny mistrz świata indywidualnie, czterokrotny w drużynie.

Uchodził za ulubieńca władz PRL. W latach 1950–1962 współpracował z Wojskową Służbą Wywiadowczą (po latach tłumaczył to obawą o los ojca, żołnierza AK). W 1964 r. podczas pobytu w USA został zwerbowany przez CIA. Aż do 1975 r. przekazywał Amerykanom informacje o charakterze politycznym i towarzyskim pochodzące z kręgów władzy, z którymi miał styczność jako gwiazda sportu i bywalec salonów. W 1975 r. został aresztowany (sam utrzymywał, że z własnej inicjatywy zgłosił się do służb), a rok później skazany za szpiegostwo przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie. Zwolniono go z więzienia po ponad 10 latach. Swoją wersję wydarzeń przedstawił w książce „Najdłuższy pojedynek. Spowiedź szablisty wszech czasów – agenta CIA”. Zmarł w 2005 r. w Warszawie.

Źródła:

Michał Szukała, 15 lat temu zmarł szermierz Jerzy Pawłowski, <https://dzieje.pl/aktualnosci/15-lat-temu-zmarl-szermierz-jerzy-pawlowski>, 16 stycznia 2020 r.

Jerzy Pawłowski. Szermierz, który został szpiegiem, <https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/2244316,Jerzy-Pawlowski-Szermierz-ktory-zostal-szpiegiem>, 8 kwietnia 2021 r.

Pawłowski Jerzy Władysław [w:] B. Tuszyński, H. Kurzyński, *Leksykon olimpijczyków polskich. Od Chamonix i Paryża do Soczi 1924–2014*, wyd. 3, poprawione i uzupełnione, Polski Komitet Olimpijski, Warszawa 2014, s. 986–988.

Urodził się pan jako Niemiec, później mówił pan o sobie: Ślązak, a medale zdobywał dla Polski. Ma pan polskie obywatelstwo, a za sobą wiele lat życia we Włoszech...

Po olimpiadzie w Meksyku, gdzie zdobyliśmy drużynowo brązowy medal, zakończyłem karierę zawodniczą. Potem prowadziliśmy razem z Bronisławem Borowskim floret kobiet. Szkoliłem florecistki, wśród których była moja żona Elżbieta. W '75 roku wyjechalśmy do Włoch. Pojechałem na roczny kontrakt do Florencji. Poprosiłem ministra sportu o taką możliwość. Nie było to proste, ale dostaliśmy paszport turystyczny. Potem przedłużaliśmy jego ważność przez ładnych parę lat.

Zrobiło się z nich 40 lat...

Tak. Kiedy nie dało się już przedłużyć ważności paszportu turystycznego, wróciłem do Polski i postarałem się o paszport konsularny. Później zmieniła się sytuacja polityczna i nie mieliśmy już podobnych problemów. Ale chcę podkreślić, że nie mam

Egon Franke

obywatelstwa włoskiego. Jestem obywatelem polskim i mam tylko jeden paszport – polski. Jestem Polakiem.

Dużo zrobił pan dla włoskiego sportu, trenował pan znakomite zawodniczki. Wrócił pan na igrzyska olimpijskie w Montrealu, w Atlancie – już jako trener.

Po roku we Florencji prezes klubu szermierczego w Turynie zaprosił mnie do współpracy. Wiedzieli, że od 25 lat pracuję z florecistkami, że trenowałem żonę, która odnosiła sukcesy. W Turynie ćwiczyła wtedy Maria Consolata Collino, którą poznałem jeszcze w Polsce, kiedy Włosi przyjeżdżali na obozy do Zakopanego, a my jeździliśmy w ramach wymiany do Savony. Collino była pracowitą florecistką. Po trzech latach trenowania w Turynie zdobyłem z nią srebrny medal w Montrealu w '76 roku. Zresztą tylko jednego trafienia zabrakło do złota.

Igrzyska olimpijskie w Montrealu to był bardzo udany występ Polaków, zdobyli sporo złotych i srebrnych medali, a jeszcze więcej brązowych. Złoto dla lekkoatletów, złoto dla Janusza Peciaka w pięcioboju, złoto dla siatkarzy Wagnera. Miał pan czas obserwować sukcesy polskich zawodników?

Oczywiście, igrzyska zawsze są okazją do spotkań, a w Montrealu startowali naprawdę znakomici reprezentanci!

W 2021 r. w Tokio nie było polskiej męskiej reprezentacji w szermierce.

Niestety. Polski Związek Szermierczy powinien kontynuować podjętą przez nas pracę, wszystko jest kwestią szkolenia. Jeśli chodzi o szpadzistki, to są doskonałe.

Szermierka to dyscyplina, która generuje wiele kontuzji. Pan był ranny w oko, przebity złamanym floretem... Czy odczuwa pan po latach konsekwencje tych zdarzeń?

Rosjanka, która dowiedziała się, że zostałem przebity, dała mi plaster pod dres szermierczy, żebym mógł nadal spokojnie walczyć. Teraz bez tego zabezpieczenia nie wolno wychodzić na planszę, a wtedy było ono niedostępne. Ta florecistka pomogła mi wówczas także psychicznie, zatrzymała powstającą po wypadku traumę. Wtedy floretty bardzo często się łamały. Dziś są wykonane z innej stali, dresy produkuje się z wytrzymałego kevlaru, dobrze mocuje się maski. Sprzęt szermierczy jest w tej chwili właściwie niezawodny.



FOT. MIECZYSLAW SZYMKOWSKI / NEWSPIX.PL

Elżbieta Franke

Powiedział pan w jednym z wywiadów: „Czuję się spełniony i jako sportowiec, i jako trener, i jako człowiek”. To piękne słowa, w dodatku wypowiedziane przez kogoś, kto w zaawansowanym wieku pozostaje w znakomitej formie!

Za to trzeba Bogu dziękować. Ale uważam też, że w pewnej chwili należy pożegnać się ze sportem, nawet z trenowaniem – mimo wszystko. Mamy wyrobione stawy, mięśnie, ścięgna. Jeśli człowiek rezygnuje w porę z dalszych przeciążeń, to ma większą szansę zachować dobrą formę. Wielu sportowców nie umie się zatrzymać. A my z żoną chodzimy często na spacer, staramy się być w ruchu, spędzamy czas z przyjaciółmi.

Do rozmowy włącza się Elżbieta Franke.

Muszę się wtrącić. Mąż jest człowiekiem nieprawdopodobnie skromnym, dlatego o wielu rzeczach publicznie nawet nie wspomina. Tymczasem gdy o Egonie

mówią we Włoszech, to ludzie wstają z miejsc! Mąż osiągnął wspaniałe wyniki ze swoimi zawodnikami. Collino wywalczyła srebrny medal olimpijski w Montrealu. Laura Chiesa, którą Egon wychował od dziecka w szpadzie, zdobyła srebrny medal w Atlancie i brązowy na mistrzostwach Europy. Później cała masa zwycięzców Coppa del Mondo, czyli zawodów światowej rangi, które odbywają się kilka razy w roku, do tego srebrny i brązowy medal na mistrzostwach kadetów, ponad 20 tytułów krajowych – indywidualnych i drużynowych. Ponadto trzy medale brązowe drużynowe we florecie, a to jest tak, jak gdyby zdobyć mistrzostwo Włoch, bo pierwsze dwa miejsca zajęły drużyny wojskowe, w których walczą najlepsi zawodnicy. Czterokrotnie klub prowadzony przez Egona był mistrzem Włoch w kategorii młodzieżowej. Przez lata było tak, że kiedy wychodziliśmy na planszę, inni trenerzy mówili, że przed nami trzeba zdejmować czapki z głów.

Egon pracował niewiarygodnie ciężko. Nieraz, gdy obóz kadry narodowej odbywał się w Mediolanie, mąż jechał dawać lekcje przed południem, później wsiadał w samochód, wracał do Turynu i od piętnastej do dwudziestej nie zdejmował maski z głowy, trenował, ile trzeba było.

Pani Elżbieto, dziękuję za to dopowiedzenie. Myślę, że po pierwsze to wspaniale mieć taką żonę jak pani, pamiętającą o sukcesach męża, a po drugie wspaniale być żoną kogoś takiego jak Egon Franke!

Egon nie lubi, kiedy przypominam jego dokonania, ale uważam, że jemu się to należy. Dwa lata temu mieliśmy pięćdziesiątą rocznicę ślubu i z tej okazji zjechali nasi włoscy uczniowie. Do Łabęd koło Gliwic! Było takie świętowanie, że trudno to wyrazić słowami. Jesteśmy naprawdę bardzo kochani przez szermierzy we Włoszech. Kiedyś usłyszałam: „O każdym można powiedzieć dobrze i źle, tylko o jednym mówi się wyłącznie dobrze. O maestro Franke”.

Elżbieta Franke – florecistka i trenerka

Żona Egona Franke, Elżbieta (z domu Cymerman), urodziła się 10 marca 1940 r. w Klimontowie. W latach 60. i 70. XX wieku uznawana była za jedną z najbardziej utalentowanych florecistek w Polsce, zdobyła m.in. osiem tytułów indywidualnej mistrzyni kraju. Reprezentowała Polskę na igrzyskach olimpijskich w Meksyku (1968) i Monachium (1972). Jest brązową medalistką mistrzostw świata w Wiedniu (1971, w drużynie) oraz trzykrotną drużynową finalistką mistrzostw świata w Montrealu (1967), Hawanie (1969) i Ankarze (1970). Absolwentka AWF-u, po zakończeniu kariery zawodniczej wyjechała wraz z mężem do Włoch, gdzie wspólnie rozpoczęli pracę w charakterze trenerów szermierki.

Dopiero kiedy stanąłem na podium i usłyszałem Mazurka Dąbrowskiego, uzmysłowiłem sobie, czego dokonałem



FOT. PAP / LESZEK SZYMAŃSKI

Egon Franke podczas uroczystości odsłonięcia tablic Złotego Kręgu, poświęconych wybitnym osobowościom polskiego sportu, na dziedzińcu warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego.



To były inne czasy.
Z Rzymu
przywiozłem
butelkę coca-coli,
wszyscy byli
zachwyceni

Rozmowa
z **Januszem Różyckim**

Przyszedł pan na świat trzy miesiące przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Tak. Byłem sam z matką, ojciec wyjechał do Francji. Mam po nim różne pamiątki, zdjęcia, choć masa ludzi wzięła już sporo rzeczy. O ojcu nakręcono film, pułkownik Władysław Kozaczuk napisał książkę, jeszcze w czasach komuny.

Miał pan dwa i pół roku, kiedy ojciec zginął w dość tajemniczych okolicznościach.

Niestety, nie mam żadnych wspomnień związanych z ojcem.

Nie sposób jednak przejść do porządku dziennego nad tym, że jest pan synem genialnego matematyka.

Ojciec był jedną z trzech osób, które złamały kod Enigmy. Był najlepiej wykształcony z ich trójki. Miał dwa fakultety, mówił świetną niemiecką.

Janusz Różycki

Urodzony 10 maja 1939 r. w Warszawie, szermierz, medalista olimpijski z Tokio (1964 r.), malarz. Syn Jerzego Różyckiego, jednego z kryptologów, którzy rozpracowali Enigmę.

Ukończył warszawskie liceum plastyczne, a następnie stołeczną Akademię Sztuk Pięknych. Trafił pod opiekę znakomitego trenera szermierki Zygmunta Fokta. W mistrzostwach Polski w latach 1959–1967 zdobył medale wszystkich kolorów we florecie indywidualnie, drużynowo wraz z kolegami z Legii Warszawa siedmiokrotnie sięgał po złoto (we florecie i w szabli).

Dwukrotnie startował w igrzyskach olimpijskich. W Rzymie w 1960 r. w rywalizacji indywidualnej dotarł do półfinału. W Tokio w 1964 r. zdobył srebrny medal w turnieju drużynowym (wraz z Egonem Frankem, Ryszardem Parulskim, Zbigniewem Skrudlikiem i Witoldem Woydą).

Był drużynowym wicemistrzem świata w drużynie floretowej z Gdańska (1963 r.) i czterokrotnym brązowym medalistą (1961, 1962, 1966, 1967), a także dwukrotnym mistrzem uniwersjady w Porto Alegre (1963) w drużynowym turnieju floretu i szpady.

W latach 1968–1975 pełnił funkcję asystenta i starszego asystenta na Wydziale Malarstwa ASP. Na organizowanym przez MKOl międzynarodowym biennale w Barcelonie w 1995 r. zdobył nagrodę za „Pejzaż”, a rok później – pierwszą nagrodę za obraz kubistyczny „Sześcian”.

Szczególnie dumny jest z nagrody, którą otrzymał w 2013 r. To medal Kalos Kagathos (dosł. „piękny i dobry”), przyznawany wybitnym sportowcom, którzy osiągnęli sukcesy również w innych dziedzinach.

To były inne czasy. Z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni

Genialny kryptolog

Jerzy Różycki, ojciec Janusza, był jednym z najzdolniejszych polskich matematyków i kryptologów międzywojnia. W roku 1932 razem z Henrykiem Zygalskim i Marianem Rejewskim złamał kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. Polacy zaprojektowali kopię maszyny szyfrującej. Kilka połączonych ze sobą urządzeń było w stanie automatycznie łamać niemiecki szyfr. Jeszcze latem 1939 r. polskie władze wojskowe udostępniły Francuzom i Brytyjczykom egzemplarze kopii Enigmy z informacjami dotyczącymi szyfru. Zdaniem historyków dzięki złamaniu szyfru Enigmy II wojna światowa trwała krócej o 2–3 lata.

W lipcu 1938 r. Jerzy Różycki, pracownik Uniwersytetu Poznańskiego i członek Biura Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego, ożenił się z Marią Barbarą Majką. W maju następnego roku urodził się ich jedyny syn Janusz. Po klęsce wrześniowej kryptolog trafił do Francji. Zginął w tajemniczych okolicznościach 9 stycznia 1942 r. w katastrofie na Morzu Śródziemnym, powracając z Algierii do zakonspirowanego ośrodka „Cadix”, zlokalizowanego w Uzès na południu Francji (w pobliżu Nimes i Marsylii). Ciało polskiego kryptologa nigdy nie odnaleziono.



REPR. PAP

Od lewej: Henryk Zygalski, Jerzy Różycki i Marian Rejewski.

Jak dziś, jako człowiek 82-letni, wyobraża pan sobie swojego ojca? Czy był jakimś punktem odniesienia w pańskim życiu?

Działalność ojca była głęboko skrywaną tajemnicą. Nigdy się nie dowiedziałem, co naprawdę się z nim stało, gdzie i w jakiej misji brał udział. Po wojnie matka pracowała w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego i ujawnienie faktu, że w czasach II RP ojciec działał w kontrwywiadzie, byłoby dla niej niebezpieczne. Matka nie wysłała za mąż po raz drugi. Dbała o to, żebym przeżył w tych trudnych czasach.

Żeby ochronić siebie i syna, dawkowała panu pamięć o ojcu?

Zgadza się. Dopiero gdy pułkownik Kozaczuk wydał książkę, wszystko zaczęło się zmieniać. Ojciec został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Pamiętam, że wręczał go Jerzy Buzek. A wcześniej wszystko to było ukryte. Każdy przyznawał się do Enigmy, tylko nikt nie wspominał, że to Polacy za tym stali.

Trzeba było wielu lat, by odzyskać sprawiedliwość w tej sprawie.

To prawda. Wkład Polaków w złamanie kodu Enigmy docenił Alan Turing, wybitny brytyjski matematyk i kryptolog. W trakcie wojny pracował w Bletchley Parku,



FOT. JOANNA BOROWSKA / AGENCJA FORUM

Spotkanie z potomkami polskich kryptologów i inżynierów odpowiedzialnych za prace nad łamaniem niemieckich szyfrów. Wydarzeniu zorganizowanemu w Domu Polonii w Warszawie towarzyszyło otwarcie wystawy pt. „Służby specjalne II Rzeczypospolitej (1918–1939). Blaski i cienie”. Od lewej: Janina Sylwestrzak – córka Mariana Rejewskiego, Jerzy Bombczyński – prezes Stowarzyszenia Saski 2018, Agnieszka Bogucka – prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska, Jerzy Palluth – syn Antoniego Pallutha, i Janusz Różycki – syn Jerzego Różyckiego. Warszawa, 23 lutego 2017 r.

gdzie wojsko korzystało z odkryć Polaków. Niestety Turing zginął tragicznie, popełnił samobójstwo. Po latach doceniono jego prace, postawiono mu pomnik. Byłem na tej uroczystości, widziałem rodzinę królewską. Wtedy prawda ostatecznie wyszła na jaw. Również potomek Turinga wydał książkę. Dziś publikacji na temat ojca i całej ich trójki jest już chyba z pięćdziesiąt. Dzięki złamaniu szyfru Enigmy wojna skończyła się dwa lata wcześniej.

To były inne czasy. Z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni

Siedzimy w symbolicznym miejscu, w Hotelu Europejskim. Parę kroków stąd znajdowało się biuro, w którym pracował pański ojciec.

Tak. Stoi tam tablica upamiętniająca ich trójkę.

Być może w przyszłości odbudowany zostanie też Pałac Saski.

Idea, żeby ponownie go wznieść, jest moim zdaniem wspianiała.

Byłoby to symbolicznym aktem przywrócenia miejsca, w którym kryptolodzy odkryli coś, co zadecydowało o losach wojny.

Tak, oczywiście.

Pańska matka również była niebanalną postacią. Można powiedzieć, że ubierała pokolenia polskich dzieci.

Matka pracowała w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, projektowała ubrania dla dzieci. Była solidnym pracownikiem, nie należała do żadnej partii. W głębokiej tajemnicy ukrywała działalność ojca – nie tylko przede mną, ale również przed całą rodziną. Bo co tu dużo mówić, jego praca nie była sprawą popularną, szczególnie w czasie rządów ubeckich.

Wzornictwo przemysłowe w PRL-u, przy wszystkich zastrzeżeniach do systemu, było dziedziną sztuki. Można powiedzieć, że pana matka była artystką.

Bez wątplenia. Niedawno w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego odbyła się wystawa poświęcona jej pracy.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Tablica upamiętniająca złamanie kodu Enigmy przez Mariana Rejewskiego, Henryka Zygalskiego i Jerzego Różyckiego na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

Projektantka i łuczniczka

Maria Barbara Różycka (w PRL-u używała drugiego imienia) była jedną z najbardziej utalentowanych projektantek odzieży dziecięcej w Polsce. Pracowała w warszawskim Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, gdzie stworzyła ponad 200 modeli ubrań i dodatków dla dzieci i młodzieży. Jej wyróżniające się prostotą i elegancją projekty były rozchwytywane na rynku. Jest również autorką poradników dotyczących tego, jak ubierać dzieci w różnym wieku, oraz publikacji „Od ściegu do haftu”. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Co ciekawe, Barbara Różycka także kochała sport – wywalczyła mistrzostwo Polski w strzelaniu z łuku.



Ubrania dla dzieci, młodzieży i dorosłych zaprojektowane przez Marię Barbarę Różycką.

Janusz Różycki
w pracowni.



FOT. TOMASZ PRAŻMOWSKI / FORUM

Czy matka testowała na panu swoje pomysły?

Ze dwa razy pojechałem z nią na imprezy. Akurat jedna z nich przypadła na czas rozruchów w Poznaniu w '56 roku. Miałem wtedy 17 lat. Pojechałem z mamą jako model. Znalazłem się w samym środku wydarzeń i o mało nie zostałem pobity. Impreza, na którą przyjechaliśmy, została przerwana, bo jak wiadomo, wydarzenia potoczyły się tragicznie.

Dzisiaj historycy mówią, że był to rodzaj rewolucji. A jakie ma pan wspomnienia z Czerwca '56 roku z Poznania?

Niewielkie, praktycznie żadne. Mam 82 lata i mało już pamiętam.

Wychowywał się pan bez ojca. Czy to wpłynęło na pana wybory życiowe, na pana wrażliwość?

Nie. Matka dbała o mnie, o moje wykształcenie. Skończyłem podstawową edukację, zdałem maturę. Miałem inklinacje artystyczne, uczyłem się w liceum, a później dostałem się do akademii sztuk pięknych. Byłem tam asystentem znanego profesora i wspianego malarza, Tadeusza Dominika. Do dziś mam emeryturę właśnie dzięki pracy w akademii.

Kiedy zainteresował się pan sztuką? Czy to mama rozbudziła w panu tę pasję? Myślał pan jako 17-latek: „Będę malarzem”?

Miałem to szczęście, że matka miała w sobie naturę artysty i żyliśmy w otoczeniu ludzi, którzy zajmowali się sztuką. Profesor Tadeusz Łodziana, ten, który zbudował pomnik Piłsudskiego w Warszawie, był naszym sąsiadem na Starym Mieście.

Początkowo mieliśmy mieszkanie służbowe. To była klitka w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, zaledwie dwa pokoje. Warszawa dopiero się odbudowywała. Gdy przyjechali repatrianci ze Związku Sowieckiego, zabrano nam jeden pokój. Proszę sobie wyobrazić, że zamieszkała w nim świętej pamięci Irena Szewińska, wówczas Kirszenstein, wraz z matką! Rodzice Ireny byli rozwiedzeni, wrócili jako repatrianci z ZSRS. Zaprzyjaźniliśmy się. Nie miało znaczenia to, że ona była Żydówką, a ja Polakiem. Byliśmy razem na dwóch olimpiadach, w Rzymie i w Tokio. Irena startowała łącznie na pięciu igrzyskach, zrobiła niesamowitą karierę jako sportsmenka. Ja też dawałem sobie radę, byłem jednym z lepszych szermierzy.

Czy szedł pan do akademii sztuk pięknych z przekonaniem, że zostanie pan malarzem?

Z pewnością nie miałem zdolności matematycznych jak ojciec, od zawsze interesowała mnie sztuka. Skończyłem architekturę wnętrz, pasjonował mnie ten zawód. Moim profesorem był Jerzy Sołtan, wybitny architekt, który na tamte czasy osiągnął całkiem sporo, między innymi zaprojektował wnętrza dworca Warszawa-Śródmieście.

Któregoś razu kolega z drużyny, Wojtek Zabłocki – swoją drogą bardzo dobry architekt – zachęcił mnie, żebym wysłał swój obraz na ogólnoeuropejski konkurs. Dałem się namówić – i wygrałem! Dostałem nagrodę pieniężną. Odebrał ją w Barcelonie Zabłocki, bo on jeździł po świecie, ja nie mogłem wyjechać. Tamta wygrana to było dla mnie duże osiągnięcie. Później miałem szereg wystaw w Polsce, w tym jedną dużą – w warszawskiej Kordegardzie.

Szermierze to sportowcy niebanalni, ludzie wielu talentów, czego jest pan przykładem. Inny pański kolega z drużyny, Ryszard Parulski, był świetnym adwokatem.

Szermierka wymaga nie tylko siły fizycznej i sprawności, ale też sprytu i intelektu.

To były inne czasy. Z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni



Przyjaciele z dzieciństwa Irena Szewińska i Janusz Różycki podczas zwiedzania wystawy.

I po trosze predyspozycji artystycznej, jak widać w pana przypadku.

Można to ze sobą połączyć. Mam wycinki zdjęć, na których w jednej ręce trzymam floret, a w drugiej – paletę z pędzlami.

Przeczytałem, że sport to był pomysł mamy na to, by okiełznać pana trudny charakter.

Trafiłem do Legii, czyli dawnego CWKS-u. Był tam przedwojenny pułkownik, Zygmunt Fokt, który angażował do swojego teamu szermierzy. Chodził po okolicznych szkołach i wylapał między innymi mnie. Zaciekawiał mnie szermierką i tak dostałem się do Legii. Przez całe życie byłem jej członkiem, mimo że nie miałem nic wspólnego z wojskiem.

Kiedy pan poczuł, że floret to jest to?

To pułkownik Fokt zaszczepił we mnie przeświadczenie, że powinienem uprawiać szermierkę. Najpierw odbywały się próby, by sprawdzić, kto się nadaje do tego sportu, a kto nie. Okazało się, że nieźle dają sobie radę, i w rezultacie nie zostałem bokserem, zapaśnikiem czy ciężarowcem, tylko właśnie szermierzem.

Dość szybko sięga pan po laury sportowe, już pod koniec lat 50. Na mistrzostwach Polski zdobywa pan medale wszystkich kolorów – i brąz, i srebro, i złoto.

Zgadza się, a przecież we florecie walczyli wtedy wybitni zawodnicy!

Trafił pan na niezwykły czas.

To prawda. Dość wymienić Ryszarda Parulskiego, Witolda Woydę czy Egona Frankego. To ludzie, którzy zdobyli tytuły mistrzów świata i mistrzów olimpijskich. Wszyscy byli moimi kolegami. Żeby zostać mistrzem Polski, musiałem wygrać z każdym z nich. Udało mi się w '60 roku. Bardzo dobrze radziłem sobie także w drużynie, wystąpiłem drużynowo na dwóch olimpiadach i w licznych mistrzostwach świata.

To ciekawe, bo są sporty klasycznie indywidualne i klasycznie drużynowe, a w tym wypadku trzeba mieć predyspozycje do sportu indywidualnego, ale i umiejętności pracy w drużynie. Srebro olimpijskie zdobył pan w konkurencji drużynowej.

Tak, byłem mocnym punktem w drużynie.

Współpraca była niezbędna, tymczasem drużyna składała się z indywidualności, jak Franke, Parulski, Woyda i pan.

Oczywiście, że tak. Myśmy się przyjaźnili. Różnie bywało z wykształceniem. Parulski był adwokatem, miał głowę na karku, Woyda też nie był głupi facet. Najmniej wykształcony był Franke, ale to nie miało znaczenia, ponieważ wszyscy odnosiliśmy sukcesy. Poza tym Franke miał powiązania niemieckie, to również się liczyło.

FOT. TOMASZ PRAŻMOWSKI / FORUM



Mistrzostwa świata w szermierce w Gdańsku, lipiec 1963 r. W białych strojach Ryszard Parulski i Janusz Różycki.

Szermierka – sport niezwykłych talentów

W latach 60. i 70. reprezentacja Polski w szermierce była zespołem nietuzinkowych osobowości. Odkrywcą talentów został m.in. mjr Władysław Dobrowolski, medalista olimpijski z Los Angeles (1932), legionista, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, dowódca batalionu w wojnie obronnej '39, a także twórca polskiej gimnastyki radiowej i autor podręczników sportowych.

Reprezentacyjny kolega Janusza Różyckiego i Egona Frankego, mistrz świata i czterokrotny mistrz Polski we florecie Ryszard Parulski studiował prawo i jeszcze w trakcie kariery sportowej został adwokatem. Ze względu na swoją pasję często reprezentował przed sądem sportowców i dziennikarzy sportowych. Zaszły jako obrońca osób pokrzywdzonych w stanie wojennym, znajdował czas także na działalność społeczną, jest współzałożycielem fundacji „Gloria Victis”, „Olimpiada 2012” i Towarzystwa Olimpijczyków Polskich.

Prawnikiem z wykształcenia był także Witold Woyda, czterokrotny medalista olimpijski, który w 1972 r. w Monachium wywalczył dwa złote medale (w turnieju indywidualnym i drużynowym).

A jak wspomina pan Jerzego Pawłowskiego? Dopiero po latach dowiedzieliśmy się, że był amerykańskim szpiegiem.

Nie bardzo w to wierzę, szczerze mówiąc. Mało tego, była swego rodzaju nagonka na jego postać. Nigdy nie zapomnę, jak po tych wszystkich perypetiach wsadzono go do więzienia. Nic mu specjalnie nie udowodniono, a ludzie nagle przestali się z nim kontaktować, co wydawało mi się obrzydliwe.

Z wielkiego bohatera, któremu gratulowano, stał się wrogiem systemu.

Byłem z nim w bliskiej relacji, należeliśmy do tego samego klubu, z tym że on był wojskowym, a ja z wojskiem nigdy nie miałem nic wspólnego. Dobrze się znałem również z jego żoną Teresą Szmigielówną, aktorką.

Pawłowski był jednym z dwóch polskich sportowców, którzy sześciokrotnie wystąpili na igrzyskach olimpijskich.

Tak, to był wspaniały szermierz, absolutny geniusz. Takiego szermierza jak on nie było i nie będzie. Miał wyjątkowy talent.

Igrzyska olimpijskie są czymś, co rozpala wyobraźnię. Jak pan wspomina wyjazd do Rzymu? Nie zdobył pan medalu, ale z pewnością było to przetarcie drogi dla 21-letniego chłopaka.

W Rzymie zająłem indywidualnie ósme miejsce, czyli dość wysoką lokatę. To był dla mnie duży sukces. Sama olimpiada, Rzym to coś wspaniałego, nie ma o czym mówić!

Były też różne śmieszne historie. Nasz oszczepnik, Janusz Sidło, to był wyjątkowy cwaniak. Pamiętam, że z wyposażenia stołówki zbierał keczupy i wysyłał je do Polski. Po prostu na tym zarabiał.

Wszyscy sportowcy przywozili coś z Zachodu.

To były inne czasy. Pamiętam, że z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni. Mówili: „A Jancyk – bo takie miałem przydomki – ma coca-cola, przywiózł z Rzymu!”. Kiedy indziej, gdy policjanci zatrzymali mnie za przekroczenie prędkości, dałem im pończochy nylonowe i mnie puścili. Takie to były smutne czasy, co tu dużo mówić.

To były inne czasy. Z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni



FOT. MIECZYSLAW ŚWIDERSKI / NEWSPIX.PL

Drużyna polskich szermierzy na igrzyskach olimpijskich w Tokio w 1964 r. Od lewej: Egon Franke, Ryszard Parulski, Janusz Różycki, Zbigniew Skrudlik, Witold Woyda, Henryk Nielaba.

Później rok '64 i olimpiada w Tokio. Jak pan zapamiętał podróż do Japonii?

Podróż była bardzo ciężka. Jechaliśmy przez Rosję, później rejs statkiem, cała logistyka okazała się dość skomplikowana.

Wiedział pan, że jedzie pan po medal? Czy było w drużynie takie poczucie, że możecie zawalczyć o najwyższą stawkę?

Nie mieliśmy takiego poczucia. Startowałem w drużynie, bo obowiązywał limit startujących indywidualnie, tylko trzy osoby mogły wystąpić. Pamiętam, że Franke wywalczył złoto.



FOT. AP PHOTO / EAST NEWS

Egon Franke, Henryk
Nielaba, Janusz
Różycki i Witold
Woyda na igrzyskach
olimpijskich w Tokio.

Henryk Nielaba i Janusz Różycki.



FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / NEWSPIX.PL

Sędzia sprawdza strój
Janusza Różyckiego przed
zawodami.



FOT. MIECZYSLAW SZYMKOWSKI / NEWSPIX.PL

Jakie to było uczucie stanąć na podium?

Wspaniałe! Myśmy tylko jednym trafieniem przegrali z Rosjanami, niewiele brakowało do złota. Zawiodł nieco Franke. Choć zwyciężył we florecie indywidualnie, tak się złożyło, że drużynowo wygrał bodajże tylko jedną walkę. Ale taki jest sport.

Wtedy sport bardzo nobilitował. Pozwalał na inne życie, dawał większe pieniądze. Kraj był biedny, a życie siermiężne. Sportowcy, którzy odnieśli sukces, mogli czuć się wyróżnieni. Wtedy nie miałem też świadomości, czego dokonał mój ojciec, bo w czasie mojej kariery sportowej pozostawało to jeszcze w głębokiej tajemnicy.

Czyli stając na podium w '64 roku, nie miał pan pojęcia, kim był pański ojciec?

Tak. Matka nie mówiła mi, co działo się z ojcem ani na czym polegała jego działalność. Bała się, że mogłoby to nam potwornie zaszkodzić, obawiała się utraty pracy.

Dlaczego nie pojechał pan na igrzyska do Meksyku?

Byłem na turnieju przedolimpijskim w Meksyku i wywalczyłem kwalifikację olimpijską. Niestety miałem tragiczny wypadek na mistrzostwach Polski. Mojemu przeciwnikowi Ryszardowi Kunzemu złamała się klinga i trafił mnie tą częścią, która została mu przy rękojeści. Przebiło mnie na wylot. Od razu trafiłem do szpitala, zoperowano mnie, do dzisiaj mam potężną szramę. Do igrzysk było już niewiele czasu, kontuzja okazała się na tyle poważna, że musiałem zrezygnować z wyjazdu.

To w zasadzie zakończyło pańską karierę sportową.

Zgadza się. Specjalnie się tym nie przejmowałem. Od '68 roku pracowałem na ASP jako asystent Tadeusza Dominika. Pensję miałem dobrą, towarzystwo było sympatyczne. A że nie miałem predyspozycji trenerskich, to po zakończeniu kariery sportowej nie zostałem trenerem ani działaczem. Miałem swoje życie, przyjaźniłem się z Dominikiem. Spotykaliśmy się właśnie tym w hotelu, w którym teraz siedzimy.

To były inne czasy. Z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni

Malarski mistrz szermierza

Prof. Tadeusz Dominik (1928–2014) był wszechstronnym artystą – malarzem, rzeźbiarzem, ceramikiem, twórcą tkanin artystycznych, grafikiem warsztatowym i komputerowym. Jego prace można oglądać w wielu polskich muzeach, a także w najśłynniejszych światowych świątyniach sztuki: MoMA w Nowym Jorku, wiedeńskiej Albertinie, Stedelijk w Amsterdamie.

Pochodził z chłopskiej rodziny. Studiował na warszawskiej ASP w latach 1946–1951. Miał wówczas okazję zetknąć się z czołowymi przedstawicielami polskiej awangardy. Sam został cenionym dydaktykiem, przez dwie kadencje pełnił funkcję dziekana Wydziału Malarstwa warszawskiej ASP. Po śmierci w roku 2014 został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu na Powązkach w Warszawie

Wpływ profesora Tadeusza Dominika – m.in. kontynuacja polskiego koloryzmu, zamiłowanie do pejzażu z pogranicza abstrakcji – widoczny jest w pracach jego asystenta Janusza Różyckiego. Obaj intensywnie uczestniczyli w życiu towarzyskim Warszawy lat 60.: spotkaniach artystów, literatów i ludzi związanych z filmem w Hotelu Europejskim, SPATiF-ie czy kawiarni Czytelnik.



FOT. GRAŻYNA JAWORSKA / AGENCJA GAZETA

W czasach jego świetności, w PRL-u, to był kawałek innego świata.

Tak, zupełnie inny świat. Tam na rogu był barek, przychodzili sami artyści.

Czy to był czas, kiedy intensywnie pan malował?

Nie, dopiero zaczynałem.

Dramaturg Ireneusz Iredyński napisał o panu tak: „Mówi się nieraz o pisarzach, że piszą jedną powieść, jeden wiersz, jedną sztukę. Mówią tak o pisarzach wybitnych, którzy są wierni swojej wizji. Myślę, że Janusz Różycki maluje ten sam obraz, przetworzony mazowiecki krajobraz. Obrazy Różyckiego to szarości, zgaszone błękity i zimne zielenie”.

Iredyński napisał recenzję mojej wystawy w Kordegardzie, w dzisiejszym Ministerstwie Kultury. Wtedy wszyscy się przyjaźniliśmy.

Iredyński zmarł tragicznie, zapił się.

Ano tak, był alkoholikiem. Ale to wybitnie zdolny człowiek, podobnie zresztą jak Marek Nowakowski.

Zmarł kilka lat temu.

To był mój bardzo bliski przyjaciel. Również się tutaj spotykaliśmy.

Jego żona Jolanta była adwokatem. Czy ta Warszawa artystyczna, towarzyska stanowiła odskocznnię od rzeczywistości PRL-u?

Jak najbardziej, to był inny świat. Oczywiście wiązało się to poniekąd z tym, że myśmy mieli pieniądze – ja jako były sportowiec, oni jako wybitni artyści. Spędzałyśmy czas albo tutaj, albo w Bristolu.

To dwa miejsca w sercu Warszawy, gdzie toczyło się życie jak przed wojną, w sensie życia artystycznego, wymiany myśli.

Oczywiście.

Kiedy wyjechał pan z Polski i w jakich okolicznościach?

Wyjechałem chyba w '74 roku. Poznałem w Anglii swoją pierwszą żonę, Krystynę Podleską. Była aktorką, grała w „Misiu”. Ale życie w Anglii niespecjalnie mi odpowiadało.

Mimo to spędził pan tam sporo czasu.

Tak, dość długo byłem. Jakoś dawałem sobie radę.

I ciągle pan tam żyje.

Ciągle, tak, z kolejną żoną i dziećmi.

Można powiedzieć, że spędził pan większą część życia poza Polską?

Czy ja wiem... Bardzo często odwiedzałem nasz kraj.

To były inne czasy. Z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni

W ostatnich latach pańska obecność w Polsce wiąże się też z próbą upamiętnienia dokonań ojca.

Tak, bo mam pretensje do ówczesnej władzy. Moja matka, która przez całe życie ciężko pracowała i była szalenie ostrożna w sprawach polityki, bała się wypowiadać na temat działalności ojca. Nigdy nie została za to uhonorowana, nie otrzymała żadnego wsparcia finansowego. A przecież mój ojciec to nie był biedny człowiek! Francuzi go ściągnęli, by pracował przy rozszyfrowaniu Enigmy. Niestety zginął tragicznie na statku na Morzu Śródziemnym, gdy przewoził ich osiągnięcia. Niemcy byli coraz bliżej i statek zatonał. To niemożliwe, żeby ojciec nie zostawił jakiegos konta bankowego lub innych wartościowych rzeczy. To byli ludzie, którzy bardzo dobrze zarabiali. Już przed wojną Polacy sporo im płacili, potem również Francuzi. Nagle człowiek ginie i nikt się tym nie zainteresował! Nie chodzi tu nawet o mnie, bo całe życie dawałem sobie radę, ale że zostawili matkę bez pomocy finansowej, to jest skandal.

Kiedy zmarła pańska matka?

W 1991 r.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pomnik polskich kryptologów w Poznaniu.



Ławeczka Jerzego Różyckiego w Wyszki.

Kiedy kilkanaście lat temu pojawił się pomysł odbudowy Pałacu Saskiego, był pan jedną z osób, które się w tę inicjatywę angażowały.

Tak. Ale nie spodziewam się w związku z tym żadnych apanaży. Wystarczy mi, że pielęgnuje się pamięć o moim ojcu.

W Poznaniu przed Zamkiem Cesarskim stoi pomnik kryptologów upamiętniający między innymi pana ojca.

Tak, pomnik znajduje się również w Bletchley Parku, gdzie działał Turing. Alianci wykorzystali osiągnięcia Polaków, nie zatrudnili ich. Wszystko to sprawia, że świat przez długi czas niespecjalnie wiedział o wkładzie Polaków w rozpracowanie Enigmy.

Jednym z miejsc, gdzie bywa pan w Polsce, jest Wyszki. Tam pana ojciec również został upamiętniony.

Tak, ojciec skończył szkołę w Wyszki. Dziś znajduje się tam pomnik w postaci ławeczki, na której siedzi mój ojciec.

Jak dzisiaj wygląda pana życie, 82-latek?

Nie narzekam, jakoś sobie żyję.

Bardziej w Polsce czy bardziej w Anglii?

Bardziej w Anglii, ale wygląda na to, że przeniosę się do Polski, to są kwestie czysto finansowe. Trzeba mieć mieszkanie.

To były inne czasy. Z Rzymu przywoziłem butelkę coca-coli, wszyscy byli zachwyceni

Czym zajmował się pan zawodowo po wyjeździe do Anglii?

Dosłownie wszystkim. Ze sztuki bardzo mało żyłem. Sprzedawałem samochody i różne inne rzeczy, zupełnie nietypowe. Przyjeżdżałem do Polski, reperowałem samochody, wracałem do Anglii, sprzedawałem i tak dalej. Nie dorobiłem się fortuny, ale zawsze dawałem sobie radę w biznesie.

Czy z perspektywy czasu żałuje pan czegoś albo coś szczególnie pana cieszy?

Wydaje mi się, że zbyt mało czasu poświęciłem na malowanie. Na stare lata wróciłem do tego, czerpię satysfakcję z pracy artystycznej. Namalowałem parę nowych obrazów. Szkoda, że wcześniej nie potraktowałem tego poważniej, dopiero teraz.

A co pan maluje?

Pejzaż jako taki, niekoniecznie mazowiecki.

Jest pan wierny swoim ulubionym kolorom, o których wiele lat temu pisał Iredyński?

Tak. Zieleń to mój ulubiony kolor.

Czy chętnie wraca pan do wspomnień sportowych czy tych związanych z akademią, ze sztuką, z malarstwem, z Tadeuszem Dominikiem?

Wszystko razem, po prostu czas ucieka. Jak człowiek ma osiemdziesiąt parę lat, to wspomnień jest coraz mniej. Staram się, żeby mój syn również osiągnął coś w życiu, to zdolny człowiek.

Czy z perspektywy lat uważa pan, że życie szybko upłynęło?

Tak, bardzo szybko. Wielu moich przyjaciół nie ma już na tym świecie, taka prawda. Ale trzeba żyć, bo jeszcze część przyjaciół ciągle mnie odwiedza.

Ma pan więc po co wracać do Polski?

Tak, oczywiście.



Wystarczyło,
że popatrzyliśmy
na siebie,
i każdy wiedział,
co trzeba robić

Rozmowa
z **Mieczysławem Nowickim**

Skończył pan w tym roku 70 lat. Jakie to uczucie?

Mój tato dożył 97 lat, ale nie ma go już z nami piąty rok. W kwietniu skończyłby 102 lata. Ojciec nie miał znaczącego wykształcenia, za to wiele doświadczył w życiu. Pochodził z wielodzietnej rodziny. Babcia urodziła czternaścioro dzieci, a dwunastka wychowała się na dorosłych. Bodajże dwie siostry i brat trafili do armii Andersa.

Przez ostatnich pięć lat ojciec mieszkał ze mną i powtarzał: „Zobaczysz, jak czas szybko mija”. Wspominał, że poparzył się, jak był dzieckiem. Utkwiło mu to w pamięci, bo to przecież szok dla dziecka. „Od tego momentu – mówił mi – minęło ponad 90 lat, nie wiadomo kiedy”. Miał rację.

Jak sięgnę wspomnieniami do swoich przygód sportowych, to niestety tak jest, że nim człowiek się obejrzy, wszystko przemija. Szybko czas leci, na szczęście wspomnienia pozostają.

Mieczysław Nowicki

Urodzony 26 stycznia 1951 r. w Piątku, kolarz szosowy i torowy, dwukrotny medalista olimpijski oraz dwukrotny medalista szosowych mistrzostw świata.

Na początku kariery specjalizował się w kolarstwie torowym. W tej dyscyplinie wystąpił na igrzyskach olimpijskich w Monachium w 1972 r., gdzie wraz z drużyną zajął czwarte miejsce w wyścigu na dochodzenie.

Następnie przekwalifikował się i szybko awansował do reprezentacji narodowej w kolarstwie szosowym. W roku 1976 drużyna w składzie: Tadeusz Mytnik, Mieczysław Nowicki, Stanisław Szozda, Ryszard Szurkowski zdobyła srebrny medal podczas igrzysk olimpijskich w Montrealu. Nowicki dołożył do tego brąz w wyścigu indywidualnym. Był jedynym kolarzem igrzysk, który zdobył dwa medale: w jeździe indywidualnej i drużynowej.

W 1975 r. w Mettet został drużynowym mistrzem świata, a w 1977 r. na mistrzostwach świata w Wenezueli sięgnął po brązowy medal. Trzykrotnie startował w Wyścigu Pokoju. W 1975 r. zwyciężył w wyścigu dookoła Szkocji, a w 1976 r. – w wyścigu dookoła Nadrenii. Czterokrotny mistrz Polski na torze (dwa razy indywidualnie i dwa razy w drużynie).

Po zakończeniu kariery sportowej prowadził w latach 1981–1995 prywatny zakład wytwórczy wykładzin podłogowych. Powrócił do sportu jako dyrektor wyścigu kolarskiego Solidarności i olimpijczyków (1995–2000), organizowanego przez NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej.

Był prezesem Urzędu Kultury Fizycznej i Sportu (czyli ministrem sportu), podsekretarzem stanu w MEN (2000–2001). Obecnie szef Towarzystwa Olimpijczyków Polskich i wiceprezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Wystarczyło, że popatrzyliśmy na siebie, i każdy wiedział, co trzeba zrobić



Mieczysław Nowicki (z prawej) i Ryszard Szurkowski na trasie. FOT. EUGENIUSZ WARMIŃSKI / NEWSPIX.PL

Dla pana przełom roku 2020 i 2021 musiał być szczególnie przykry, bo zmarł Ryszard Szurkowski, a kilkanaście tygodni wcześniej odszedł Ed Borysewicz. Szurkowski był pańskim przyjacielem, mentorem, starszym kolegą, a pan był dla niego kimś, kto zwłaszcza w ostatnich latach jego życia pięknie zdał egzamin z przyjaźni.

Poznaliśmy się, kiedy byliśmy piękni i młodzi, rodziły nam się dzieci, potem dorastały. Przez cały ten czas utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Nasza przyjaźń była głębsza i dojralsza niż relacje w niejednej rodzinie. Odwiedzaliśmy się nawzajem, w czasach doli i niedoli. Owszem, czasami różniliśmy się w poglądach, ale nie w kwestiach sportowych. To było coś, co nas łączyło, a po zakończeniu kariery pozwoliło nam udzielać się społecznie na rzecz Towarzystwa Olimpijczyków Polskich czy Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Ciągłe byliśmy w gotowości. Jak zaszła potrzeba, to on się pojawiał, a jak sam potrzebował wsparcia, żebyśmy na przykład wspólnie wzięli udział w jakimś spotkaniu, to też nigdy nie odmawiałem.

To była głęboka przyjaźń i wierna do końca. Na dowód tego powiem, że o wypadku Ryszarda w Kolonii dowiedziałem się od jego żony Iwony. Poprosiła mnie o dyskrecję,

o to, żebym nikomu nie opowiadał. Przeszło przez miesiąc cała sprawa pozostawała w tajemnicy. To był okres wakacyjny i rehabilitacja w Kolonii przebiegała dość niemrawo. Iwona zdecydowała, by przewieźć Ryszarda do Polski. Pomógł nam dyrektor Filip Nowak z Narodowego Funduszu Zdrowia. Z dnia na dzień zorganizowano transport i specjalnym samolotem przewieziono Ryszarda do Konstancina. Narastało jednak ciśnienie medialne, więc w końcu uznano, że czas poinformować o wszystkim szersze grono.

Do tego momentu był pan jednak na tyle dyskretny, że nawet Tadeusz Mytnik, wasz kolega z drużyny, o niczym nie wiedział.

To prawda, był niczego nieświadomy, mimo że nie mamy przed sobą tajemnic. Jak trzeba, to o wszystkim sobie mówimy, ale uszanowałem wolę żony Ryszarda. Niestety rehabilitacja nie przynosiła oczekiwanych efektów. Coraz więcej osób słyssało o sprawie, najróżniejsi ludzie dzielili się pomysłami. Wtedy odsunąłem się w cień, bo nie jestem lekarzem ani specjalistą, który będzie doradzał. Z perspektywy czasu nie wiem, czy słusznie trzymaliśmy to w tajemnicy.

Był pan pięć lat młodszy od Szurkowskiego. Czasem między młodymi sportowcami wywiązuje się rywalizacja, co jest zupełnie naturalne. Wasza relacja zamieniła się jednak w przyjaźń...

Zgadza się. Początkowo niektórzy nazywali mnie dla żartu kolarzem wąskotorowym, bo przygodę ze sportem zaczynałem jako kolarz torowy. Jeszcze na igrzyskach w Monachium wystąpiłem w takiej roli. Zajęliśmy wtedy najgorsze miejsce, czyli czwarte. Przegraliśmy z powodu defektu technicznego i niedopatrzenia mechanika, który powinien był sprawdzić stan przyklejenia opon do kół. Wtedy opony kleiło się na różne sposoby, bo nie było w Polsce dostępu do takich rozwiązań, z jakich korzystali sportowcy na Zachodzie. W każdym razie wzajemnie sobie kibicowaliśmy.

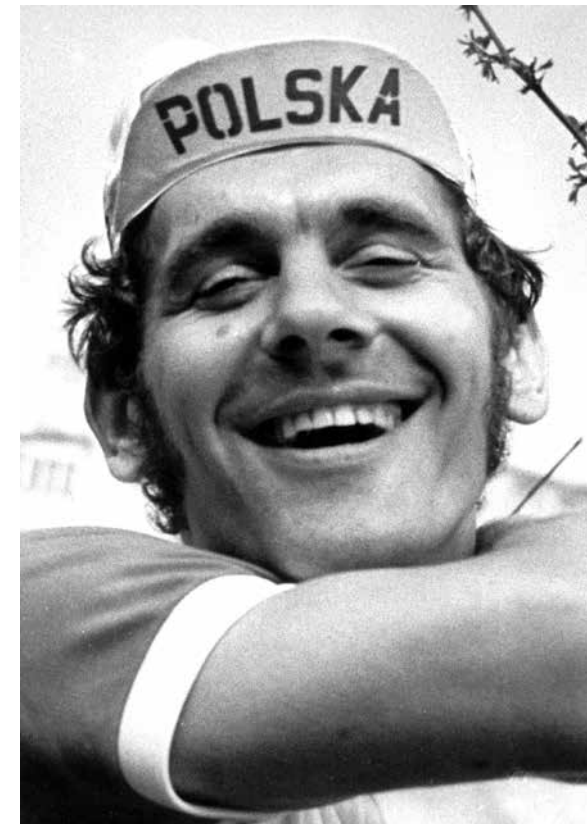
Później była seria różnych wyścigów, kryteria uliczne były modne w tamtym okresie, nazywały się Szlakami Budowy Socjalizmu. Wyścigi odbywały się w Płocku, w Skarżysku-Kamiennej, Starachowicach, Nowej Hucie, wszędzie tam, gdzie były wielkie przemysłowe inwestycje PRL-u. Miałem doświadczenia jako torowiec, byłem średniodystansowcem, jeździłem indywidualnie i drużynowo, ale na szosie dawałem sobie niezłe radę. Radziłem sobie z innymi jak z dziećmi, jakbym miał jakieś turboprzyspieszenie. Dzięki temu całe pokolenie starszych kolarzy – wśród nich Szurkowski – nabrało do mnie, młodziaka, szacunku. Tak to wszystko się zaczęło.

Wystarczyło, że popatrzyliśmy na siebie, i każdy wiedział, co trzeba robić

Po igrzyskach w Monachium trener Henryk Łasak postanowił wypróbować mnie jako szosowca. Miałem zaszczyt brać udział w dwóch zgrupowaniach. Potem zdarzył się tragiczny wypadek w Skomielnej Białej, w którym zginął Łasak.

W '73 roku wystartowałem w Wyścigu Pokoju. Wygrał Szurkowski, wszyscy zgodnie mu pomagali. Od tamtej pory współpraca układała się znakomicie. Tworzyliśmy zespół, który rozumiał się bez słów. Wystarczyło, że popatrzyliśmy na siebie, i każdy wiedział, co trzeba robić.

Ryszard Szurkowski (1946–2021)



FOT. JANUSZ SZEWIŃSKI / NEWSPIX.PL

„Czasami zastanawiam się, dlaczego właśnie ja. Wszyscy wyrastaliśmy przecież z tego samego środowiska, żyliśmy tak samo. Co było w mojej głowie, że pchało mnie w kierunku kolarstwa? W rodzinie nikt się tym nie zajmował” – mówi Ryszard Szurkowski w wywiadzie udzielonym Maciejowi Zdziarskiemu do książki „Seniorze, trzymaj formę!” (Kraków 2015). Pierwszy w historii Polski indywidualny mistrz świata na szosie, czterokrotny triumfator Wyścigu Pokoju, dwukrotny srebrny medalista olimpijski w drużynie. Był samoukiem. To dzięki niemu i kolegom z drużyny (m.in. Lucjanowi Lisowi, Tadeuszowi Mytnikowi, Mieczysławowi Nowickiemu, Stanisławowi Szózdzie) polskie kolarstwo wkroczyło do światowej czołówki, a na rowerze chcieli się ścigać każde polskie dziecko.

Po zakończeniu czynnej kariery Szurkowski chętnie uczestniczył w wydarzeniach promujących sport i aktywność fizyczną. „Wiem, że wszystko, co było możliwe do osiągnięcia, jest już za mną. Mam tego świadomość, choć nie lubię o tym myśleć” – podkreślał. Uczestniczył w wielu wyścigach dla weteranów. W trakcie jednego z nich, w czerwcu 2018 r. w Kolonii, został ciężko ranny na skutek kraksy z innymi zawodnikami. Aż do śmierci walczył o odzyskanie sprawności. Zmarł 1 lutego 2021 r.

Dość powiedzieć, że po nieudanym olimpijskim debiucie, kiedy zdobył pan wspomniane czwarte miejsce, kolejne igrzyska pokazały, że panów współpraca ma przełożenie na wyniki medalowe.

Tak. W kolejnych igrzyskach, w Montrealu, startowałem już nie jako wąskotorowiec, tylko jako kolarz szosowy pełną gębą. Wyścig drużynowy odbywał się akurat na rozpoczęcie igrzysk. Jako pierwsi zdobyliśmy medal dla Polski, pierwszy z łącznie 26 medali przywiezionych przez Polaków z Montrealu. W drużynowej jeździe na czas wywalczyliśmy wicemistrzostwo olimpijskie. A przypomnę, że rok wcześniej w Belgii pokonaliśmy Wielkiego Brata ze Wschodu o 4,5 sekundy. Na igrzyskach niestety zrewanżowali się nam różnicą dwudziestu paru sekund. Po latach doszliśmy do wniosku z Mytnikiem, że zabrakło dobrej komunikacji, nie mieliśmy takiej łączności jak dzisiejsi kolarze. Gdyby informowano nas na bieżąco, jakie różnice nas dzielą, z pewnością zostalibyśmy mistrzami olimpijskimi. Mówiono nam tylko, że jedziemy po złoto i nie musimy się spieszyć. Okazało się, że to był błąd. Wtedy stało się z ółwkiem i sekundnikiem, ktoś dokonał złych obliczeń. Takie to były czasy.

Przypomnijmy jednak, że zapisał się pan w historii jako ten, który w Montrealu zdobył dwa medale, drużynowo, ale też indywidualnie. Wywalczył pan brąz w dość dramatycznych okolicznościach.

Założenia od początku były inne. Startowała nas czwórka. Oprócz mnie także Janek Brzeźny, ówczesny mistrz Polski, ja byłem wicemistrzem, oraz Szurkowski i Szozda. Scenariusz był taki, że razem z Brzeźnym mamy pomagać Szurkowskiemu i Szozdzie. Innego wariantu trener Madaj nie brał pod uwagę. A rzeczywistość okazała się taka, że odjechała ucieczka, która przedwcześnie zaczęła rozgrywać wyścig. Specjalnie nie angażowałem się we współpracę, bo takie były założenia i trzeba było je wykonywać. Ale meta się zbliżała, ucieczka miała przewagę, a reszta gdzieś w peletonie. Ostatecznie zdobyłem brązowy medal, choć mogło być różnie. Mam zdjęcie z tego finiszu. Wraz ze mną na metę wjeżdżał Szwed Johansson, zaraz obok Włoch i Belg, dzieliły nas dosłownie centymetry. W każdym razie moja pasywna jazda w ucieczce spowodowała, że byłem nieco uspioiny. W grupce uciekającej było dwóch Włochów. Gdy Szwed zaatakował na 3-4 kilometry przed metą, sądziłem, że któryś z Włochów zacznie go gonić – i wtedy rezultat byłby całkiem inny. Ale oni stonowali i finał był, jaki był.

Wystarczyło, że popatrzyliśmy na siebie, i każdy wiedział, co trzeba zrobić



Igrzyska olimpijskie w Montrealu, 1976 r. Od lewej: Stanisław Szozda, Mieczysław Nowicki, Ryszard Szurkowski, Tadeusz Mytnik.

FOT. JANUSZ SZEWIŃSKI / REPORTER

Powróćmy do Ryszarda Szurkowskiego, jego wypadek w 2018 roku dla wszystkich był szokiem. Jak wyglądała relacja panów w ostatnich latach?

Czułem wielki smutek, gdy odwiedzałem Ryśka. Pamiętałem go inaczej, jako pełnego życia, aktywnego człowieka. Po wypadku leżał przykuty do łóżka, nieustannie ktoś musiał być przy nim, bo sam nie mógł pić ani jeść. Miał porażenie obukonczynowe, nie ruszał palcami. To był przygnębiający widok. W trakcie kariery wszyscy mieliśmy przecież wypadki, one są wkalkulowane w ten sport. Zawsze jednak podnosiliśmy się, nic się nie działo, a tutaj taki niefortunny upadek – i tragedia!

Owiedziłem Ryśka w dzień jego urodzin – 12 stycznia kończył 75 lat – razem z Kajetanem Broniewskim, sekretarzem Towarzystwa Olimpijczyków Polskich. Pojechaliśmy do Ryszarda pod koniec dnia, ciemno się robiło, bo w styczniu dni są krótkie. Zawieźliśmy mu dobrą whisky. Bardzo się ucieszył, ale wyczuliśmy, że coś jest na rzeczy. Specjalnie się nie skarżył. Próbowaliśmy wydobyć od żony jakieś informacje, ale też była oszczędna w słowach, choć zawsze, ilekroć potrzebowała natychmiastowej pomocy, wydzwaniała do mnie.



Reprezentanci Polski w kolarstwie, trzeci od lewej Mieczysław Nowicki.

FOT. MIECZYSLAW
SWIDERSKI /
REPORTER / EAST NEWS

Polska kadra kolarska, Mieczysław Nowicki drugi od lewej, 1972 r.

FOT. MIECZYSLAW
SWIDERSKI /
REPORTER / EAST NEWS





Mieczysław Nowicki podczas
wścigu (pierwszy z lewej).

FOT. JANUSZ SZEWIŃSKI / REPORTER/EAST NEWS

Okazało się tymczasem, że tamtego dnia Rysiek miał już poważne kłopoty. Nikt się tego nie spodziewał, bo lekarze skupiali się bardziej na rehabilitacji, a mniej na profilaktyce. Może troszkę to zbagatelizowali, a może on sam się nie skarżył, więc uznali, że wszystko jest w porządku. Tyle że wiadomo, że jak człowiek leży w łóżku przez dłuższy czas, to w końcu może mieć kłopoty. Przecież ten problem nie pojawił się z dnia na dzień, ale dużo, dużo wcześniej. Z perspektywy czasu trudno jednak kogoś winić.

Czy to urodzinowe spotkanie było pańską ostatnią rozmową z Ryszardem Szurkowskim?

Tak.

Chciałem zapytać o Eda Borysewicza. Gdy rozmawiałem z nim latem roku 2020, opowiadał o swoim życiu, miał wiele planów i bardzo ciepło mówił o panu. Niedługo później okazało się, że zmarł na COVID.

Gdy go poznałem, byłem młodym chłopakiem. Urodziłem się w Piątku, miejscowości znanej z tego, że stanowi geometryczny środek Polski. W '66 lub '67 roku przebiegał przez Piątek jeden z etapów Wyścigu Pokoju. Zaczynał się w Kutnie, a kończył bodajże w Poznaniu. Postanowiliśmy wybrać się z kolegami na start etapu do Kutna.

Panowała wtedy moda na rowery marki Jaguar, które można było kupić w sklepach GS-u. Rodziców nie było stać na to, żeby zafundować mi taki sprzęt, więc pojechałem na swoim rowerze z wygiętą kierownicą, bez przerzutek. W każdym razie jedziemy sobie, nagle mija nas peleton, a w nim 15–20 kolarzy, między innymi Edek Borysewicz i wielu innych starszych zawodników, których później miałem okazję poznać, gdy zostałem mistrzem Polski. Jak zobaczyli, że jadą młodzi ludzie, to podkręcili tempo, by nas zgubić. Niektórzy ze starszych szybko odpadli, a ja się nie dałem. Borysewicz zobaczył, że nie pękam, i to na rowerze turystycznym, więc pyta mnie, skąd jestem. I tak się zaczęło. Do dziś mam przed oczyma ten dzień, w którym Ed namówił mnie na kolarstwo.

Akurat w tym samym czasie „Dziennik Łódzki” organizował Mały Wyścig Pokoju, bo przez lata wyścig odbywał się właśnie w dwóch kategoriach. Każde zgłoszenie punktowano w prasie, więc koledzy zgłosili również mnie, nawet o tym nie wiedziałem. Potem kupili gazetę, patrzą, a tam moje nazwisko. Okazało się, że startuję w Wyścigu Pokoju! Niektórzy z chłopaków mi zazdrościli.



Tadeusz Mytnik, Mieczysław Nowicki i Ryszard Szurkowski
na pikniku olimpijskim w Warszawie, 2015 r.

FOT. MAREK BICZYK / NEWSPIX.PL

Gdy przyjechałem na wyścig, trafiłem do Klubu Sportowego Społem Łódź. Ed zbliżał się do końca kariery i zaczął angażować się w pomoc młodym. Upatrzył mnie sobie. W rezultacie zająłem drugie miejsce, ale tylko dlatego, że zabrakło mi doświadczenia i odpowiedniego przygotowania. Nie miałem pojęcia o jeździe na kole ani o zmianach, tylko jechałem tak długo, na ile starczyło mi sił. Zostaliśmy tylko ja i Andrzej Bek. On nie dawał zmian, jechał na kole, dlatego mnie ograł. Natomiast jeden z etapów stanowiła jazda na czas – i to ją wygrałem! Z czasem nauczyłem się, jak współpracować na trasie, i niebawem role się odwróciły – Bek wjeżdżał na metę za mną.

Edek po kilku sytuacjach w Społem, które mu się nie spodobały, przeszedł do Klubu Sportowego Włókniarz. Został tam trenerem. A skoro trener poszedł gdzie indziej,

Edward Borysewicz (1939–2020)



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE EDWARDA BORYSEWICZA

Edward Borysewicz (w środku) i dwukrotny mistrz świata Greg LeMond (z lewej).

Edward Borysewicz urodził się 18 marca 1939 r. w Kisielewsczyźnie. Był zawodnikiem Społem Łódź, dwukrotnym mistrzem Polski w wyścigu drużynowym na 100 km (1962, 1964). Od 1968 r. pracował jako trener m.in. Społem Łódź i Włókniarza Łódź. Od 1977 r. trener olimpijskiej kadry kolarskiej Stanów Zjednoczonych (jego zawodnikiem był m.in. Greg LeMond – dwukrotny mistrz świata i trzykrotny zwycięzca Tour de France). Po latach tak wspominał początki swojej kariery trenerskiej w USA:

Pamiętam, jak któregoś razu pojechaliśmy razem do sklepu, bo kolega potrzebował jakiejś części do roweru. To było w New Jersey. Rozglądam się po sklepie, podchodzi do mnie starszy pan i pyta: „Can I help you?”. Ja na to: „I don't speak English”.

Rozmówcą okazał się wiceprezydent amerykańskiej federacji kolarskiej, który zaproponował, by Borysewicz przyszedł na trening najlepszego z klubów kolarskich.

Przyjeżdżam, a na miejscu 150 osób – mężczyźni, kobiety, dzieci, młodzież, brzuchaci, wąsaci. Zastanawiam się, co to ma być. Kiedy ci kolarze przyjadą? W końcu pojawiło się kilku juniorów, wybija dziesiąta, Mike podnosi rękę i krzyczy: „Let's go!”. Ruszyła cała ta banda, droga wiodła wokół jeziora. Żeby się nie przewrócić w takim tłumie, szybko pogałem na przód. Tam dwóch młodych dyktowało tempo, a ja, stary cwaniaczek, jadę razem z nimi. Przejechaliśmy z 80 kilometrów, zostało nas kilku. Gdy dojechaliśmy na miejsce, pytają mnie, ile trenuję. Ja na to, że przestałem trenować cztery lata temu i jeżdżę turystycznie. Tamci wyjaśniają, że nieźle mi poszło na ich treningu. Trudno mi ukryć zdziwienie: „To był trening? To była przejażdżka!”. I zaraz dodają: „Zobacz, masz złą pozycję. Męczysz się na rowerze, bo siedzisz jak na nocniku”. Zaczęli się śmiać, ale koniec końców ustawiłem pozycję tym dwóm juniorom. Gdy za tydzień znów przyjechałem, wszyscy ci ludzie chcieli, żeby im ustawić pozycję. Nie było szans, tam przyjechało 150 osób, a każdemu musiałbym poświęcić z 15 minut. Mówię więc: „Słuchajcie, dajcie mi tłumacza, salę, tablicę, kredę, a ja opowiem wam wszystko, co wiem o kolarstwie”.

Wkrótce Borysewicz podpisał swój pierwszy kontrakt.

Wystarczyło, że popatrzyliśmy na siebie, i każdy wiedział, co trzeba zrobić

to my, młodzi, wszyscy za nim! Było nas sześciu albo siedmiu. Klub postanowił nas jednak zawiesić. Przez pół roku nie mogliśmy startować, aż w końcu ktoś mądry puknął się w głowę i stwierdził, że wyrządzają nam krzywdę.

Można powiedzieć, że pańskie kolarstwo zaczęło się od Borysewicza. Miał oko do kolarzy. Wypatrzył pana, ale też Armstronga czy LeMonda.

Tak, wspomina o tym w swoich książkach, które wydał w Stanach. Swego czasu przyjechała redaktorka ze Stanów, w Łodzi spotkała się i ze mną, i z Janem Kudrą, z kolegami. Nie widziałem tej książki, ale może już się ukazała. Ta dziennikarka również interesowała się karierą sportową i trenerską Borysewicza.

Nasza przyjaźń zaczęła się w '76 roku. Gdy startowały igrzyska, Edek wyjechał do Stanów. Trafił do środowiska kolarskiego, do prezesa tamtejszej federacji, a w niedługim czasie odkrył LeMonda i innych. W Polsce był gnębiony przez ówczesne władze związkowe, bo miał doświadczenie, jako pierwszy z kolarzy skończył akademię wychowania fizycznego.

Historia jego pobytu w USA była zdumiewająca. Przyjeżdża z Polski człowiek, który nie mówi po angielsku. Ma pojechać na igrzyska w Montrealu, ale nie udaje mu się dotrzeć. Trafia do sklepu rowerowego, a później na trening. I mówi Amerykanom: „Słuchajcie, to, jak wy jeździcie, to w ogóle nie jest kolarstwo. Ja was nauczę, jak trzeba to robić”. Przyzna pan, że brzmi to jak niewiarygodna historia?

Ale naprawdę tak było! Pamiętam, jak LeMond przyjechał na wyścig do Kluczborka. Drobny był z niego chłopaczyna, skarpetki miał pod same kolana, jakby do komunii szedł. Po latach widać, że miał zdrowy organizm i z czasem pojawiły się wyniki. Słuchał Borysewicza i to zaowocowało.

Również moje późniejsze sukcesy są jego sukcesami. Wiele razy rozmawialiśmy z Edkiem i jego wskazówki, które wzięłem sobie głęboko do serca, okazały się pomocne. Był bez reszty zaangażowany w każdą współpracę. To dawało niesamowite efekty w przypadku wszystkich jego podopiecznych.

Latem roku 2020 miał pan kontakt z Edem Borysewiczem?

Byliśmy cały czas w łączności. Chciał przylecieć z USA wcześniej, ale przez COVID wstrzymano loty. Gdy pojawiła się szansa na powrót, od razu z niej skorzystał.



FOT. JANUSZ SZEWIŃSKI / REPORTER / EAST NEWS

Od lewej: Stanisław Szozda, Zbigniew Krzeszowiec, Mieczysław Nowicki, Jan Jankiewicz, Ryszard Szurkowski. Wyścig Pokoju, 1973 r.

Sądził, że tutaj, z dala od ludzi, nic mu nie będzie. Zaczęło się od tego, że miejscowy rolnik miał mu ściąć drzewa na działce. Nie pojawił się w umówionym terminie, więc Edek do niego dzwoni i pyta, co się dzieje. On na to, że nie mógł przyjść, bo ma koronawirusa. Niedługo potem rozmawiam z Edkiem przez telefon i słyszę, że ciężko oddycha. Pytam, co mu jest, a on na to: „Chory jestem. Prawdopodobnie ten rolnik mnie zaraził”.

Wszystko potoczyło się dość szybko, mimo że Edek miał dobrą pomoc. Zaprzyjaźniony lekarz, który od lat jest zaangażowany w opiekę nad kolarzami, zresztą przyjaźnił się z Edem, przepisał mu sterydy, które pomagają w takich sytuacjach. Wiem, że był pod respiratorem, miał osocze. Ściągnęliśmy specjalistów do pomocy, lekarze byli w stałym kontakcie ze szpitalem w Drezdenku, gdzie Ed leżał, ale niestety nie udało się pomóc. Pozostały wspomnienia.

Swego czasu udało się panom zorganizować wyścig na dwóch kontynentach.

Tak. Byłem dyrektorem wyścigu Solidarności i olimpijczyków. W '97 roku, podczas dziewiątej edycji, postanowiliśmy z Edkiem zorganizować wyścig na dwóch kontynentach – cztery etapy w Polsce i cztery w Stanach Zjednoczonych. Borysewicz miał wtedy niezwykłą pozycję w Stanach, mimo to dziennikarze z pewnej gazety kpili sobie z tego pomysłu.

Nam się jednak udało! Wyścig przyciągnął ponad 800 tysięcy widzów. Startowali wielcy Amerykanie, a także grupy z Polski i z Europy. Logistycznie było to wielkim wyzwaniem i nie wiem, czy dzisiaj by się udało. Dla tych myślących inaczej dziennikarzy trudności pewnie wydawały się zbyt duże. Ale my dopięliśmy swego, w dużej mierze właśnie dzięki Edkowi. Warto o tym przypominać, bo takie są fakty.

Powróćmy do pana kariery zawodniczej. Zniknął pan ze sportu bardzo szybko. Mówiło się po latach, że to z powodu pewnej niepokorności, zadawania niewłaściwych pytań o pieniądze...

Tak, szybko skończyłem przygodę ze sportem. Przyczynili się do tego działacze, prezesi związku. W '77 roku, gdy miałem 26 lat, uznali, że jestem za stary. Roznieśli plotkę, że byłem chory na zapalenie płuc i nie ma co we mnie inwestować, co było nieprawdą.

Los zrządził, że po zakończonej przygodzie ze sportem jeden ze starszych kolegów zwrócił się do mnie z pomysłem, powiedział: „Chodź, zajmiemy się jakimś



FOT. JACEK BARCZ / EAST NEWS

Mieczysław Nowicki podczas prologu Tour de Pologne. Warszawa, 1978 r.

biznesem”. Był kierowcą ciężarówki, woził surowce do producenta wykładzin podłogowych. Wybudowaliśmy małą fabryczkę, w której zaczęliśmy produkować wykładzinę. To był czas, gdy można było produkować guziki lub szpilki, a i tak wszystko znikало w mgnieniu oka.

Czas wiecznych niedoborów. Każdy, kto coś produkował, mógł liczyć na zbyt. W ten sposób z młodego, dobrze zapowiadającego się kolarza stał się pan prywatniakiem na całe lata 80.

Trwało to ileś lat, aż w końcu mecenas Ryszard Parulski, który był twórcą Towarzystwa Olimpijczyków Polskich, namówił mnie na współpracę. Przez wiele lat byłem dyrektorem wspomnianego wyścigu Solidarności i olimpijczyków. Miałem okazję poznać wielu polityków na poziomie samorządowym, którzy później zasiedli w ławach poselskich. Po jakimś czasie zastąpiłem Jacka Dębskiego na stanowisku prezesa Urzędu Kultury Fizycznej i Sportu w Warszawie. Ironia losu sprawiła, że ci sami działacze, którzy dawniej przyczynili się do tego, że zakończyłem karierę kolarską, po latach przyszli do mnie po pieniądze z urzędu.

Przyszli do ministra Nowickiego, którego 20 lat wcześniej pozbawili szansy na rozwój kariery.

Nie zamierzałem wytykać im tego, co zrobili, czy żalić się, że gdyby nie oni, mógłbym kontynuować karierę. Powiedziałem im: „Spokojnie, panowie!”, bo widziałem, że przeżywali to spotkanie, cali purpurowi się zrobili. „Czego potrzebujecie?” – spytałem. Okazało się, że ma powstać nowa pływalnia dla niepełnosprawnych sportowców. Obiekt powstał. Myślę więc, że zachowałem się w porządku.

A z pewnością inaczej, niż spodziewali się ci, którzy mieli powody wstydzić się tego, co panu zrobili.

Ci ludzie pewnie wstydu nie mieli. Zrobiłem, co uważałem za słuszne, bo to przecież obiekty nie dla nas, ale dla sportowców, to oni będą z nich korzystać.

Widać, że ma pan w sobie żyłkę organizatora, kogoś, kto lubi tworzyć coś nowego.

Istotnie tak jest. Pełniłem łącznie trzy różne funkcje społeczne, najpierw jako szef Regionalnej Rady Olimpijskiej w Łodzi, potem szef Towarzystwa Olimpijczyków Polskich i wiceprezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Wszystko to były działania społeczne.

Miałem bardzo dobre relacje z dyrektorem szpitala klinicznego Leszkiem Markuszewskim. Z czasem zrodziła się idea, by zorganizować profilaktyczne badania

Wystarczyło, że popatrzyliśmy na siebie, i każdy wiedział, co trzeba zrobić



FOT. PIOTR NOWAK / NEWSPIX.PL

W latach 2000–2001 Mieczysław Nowicki był prezesem Urzędu Kultury Fizycznej i Sportu (czyli ministrem sportu) oraz podsekretarzem stanu w MEN-ie.

lekarskie dla medalistów olimpijskich, którzy w swoim miejscu zamieszkania mają utrudniony dostęp do służby zdrowia. Prowadziliśmy te badania przez 13 albo 14 lat. Gdy zmienił się dyrektor w Łodzi, przenieśliśmy akcję do Radomia.

To tylko jeden przykład, a podobnych inicjatyw mamy mnóstwo. Realizujemy chociażby projekt Dotknij Medalu Olimpijskiego. Polega on na tym, że medaliści olimpijscy spotykają się z uczniami w szkołach, opowiadają o swoich dokonaniach, dzieciaki mogą wziąć medal do ręki, zrobić zdjęcia z olimpijczykami. To dla nich niesamowite przeżycie. Pomaga nam resort sportu, otrzymujemy pieniądze na organizację spotkań, na pokrycie kosztów dojazdu. W projekcie brali

udział między innymi Renata Mauer, Leszek Blanik czy Tomek Kucharski. Sam pamiętam, jak za młodu na zgrupowaniach zobaczyłem Zdzisia Krzyszkowiaka czy Marię Kwaśniewską-Maleszewską. To byli nasi idole! Inspirowali nas i motywowali do dalszej pracy.

Inny projekt to lekcje wychowania fizycznego z udziałem olimpijczyków. Kilku z nich, pięciu czy sześciu, przyjeżdża do szkoły i ćwiczy razem z uczniami. Zachęcamy dzieci do uprawiania sportu i widzimy, że młodzież się otwiera na to. Tworzymy podwaliny dla przyszłych sportowców. Oczywiście nie każdy zostanie medalistą, ale chodzi o to, by aktywnie spędzali czas, by odciągnąć ich od pokus, które funduje cywilizacja. Owszem, wszystko jest dla ludzi, ale w pierwszej kolejności trzeba zadbać o stan zdrowia.

Gdy ostatnio po pandemii mieliśmy dwa albo trzy spotkania, jeszcze przed wakacjami, widzieliśmy, że coraz więcej chłopców boryka się z nadwagą. Lubią sobie pojeść i to jest problem. Delikatnie próbowaliśmy im wskazać inną drogę, pokazać, że trzeba o siebie dbać. W ten sposób spłacamy po części dług zaciągnięty przed laty u ludzi, którzy nam pomagali.

Jaki ma pan plan na siebie po siedemdziesiątce? Czy ta okrągła rocznica coś zmienia?

Kondycyjnie czuję się nie najgorzej, mentalnie też. Jestem cały czas szefem Towarzystwa Olimpijczyków Polskich. Kiedy mecenas Parulski był prezesem tej organizacji, wybudowaliśmy wspólnie w Michałowicach pod Warszawą ośrodek rehabilitacyjny dla sportowców. Mamy podpisane umowy z dwiema prywatnymi instytucjami medycznymi. Pracują tam chirurdzy, ortopedzi. Gdy trzeba komuś zoperować kolano, robi się to od ręki. Ostatnio Jurek Pietrzyk, lekkoatleta, miał taki zabieg. W Warszawie musiałby czekać rok lub półtora.

Jest też Centrum Medycyny Sportowej w Warszawie. Tam można zgłosić się na rezonans, tomografię, pomagamy z dnia na dzień. To placówki dla sportowców, którzy zakończyli już karierę. Jeżeli nie będziemy pomagać sobie nawzajem, to nie liczymy na to, że ktoś inny nam pomoże. Mamy świadomość, że młode pokolenia mogą już o nas nie pamiętać. To naturalne, ale jakoś sobie radzimy.



Maria Kwaśniewska-Maleszewska i Mieczysław Nowicki podczas uroczystości nadania jednej z łódzkich szkół imienia Olimpijczyków Polskich.

FOT. GRZEGORZ MICHAŁOWSKI / NEWSPIX.PL



Zadzwońiłem
do żony, powiedziała:
„Jurek, musisz
boksować,
nie możesz oddać
walki walkowerem”.
Miała rację

FOT. MIECZYSLAW SZYMKOWSKI / NEWSPIX.PL

Rozmowa
z **Jerzym Rybickim**

Dobrze widzieć pana w świetnej formie! Wiem, że zachorował pan na COVID i że nie przeszedł pan tej choroby lekko.

Trafiłem na dwa tygodnie do szpitala. Przyjechało po mnie pogotowie, bo czułem się fatalnie. Ale lekarze cały czas mnie podbudowywali, że mam silny organizm.

Jakie miał pan objawy?

Zaczęło się raptownie. Nawet nie wiem, gdzie się zaraziłem, bo wcześniej byłem i w Zakopanem, i we Włocławku. W każdym razie słabiutko się czułem. Miałem gorączkę, brakowało mi sił na cokolwiek.

Był pan pod tlenem?

Chyba tak. Gdy lepiej się poczułem, chciałem wypisać się ze szpitala, pytałem lekarzy, po co mnie trzymają. Usłyszałem tylko: „Musi pan jeszcze zostać. Widać, że organizm cały czas walczy”.

Walczy jak jego właściciel.

O tak, przyzwyczajony do walki.

Jerzy Rybicki

Urodzony 6 czerwca 1953 r. w Warszawie, pięściarz warszawskiej Gwardii, złoty medalista olimpijski z Montrealu (1976) i brązowy z Moskwy (1980). Medalista mistrzostw świata (brąz w 1978 r.) i Europy (brąz w 1975 i 1977 r.). Nazywany ostatnim z wielkich polskich bokserów XX w. – jako ostatni pięściarz z Polski sięgnął po tytuł mistrza olimpijskiego w XX stuleciu.

Sześciokrotny mistrz Polski w wadze półśredniej, lekkośredniej i średniej, sześciokrotny drużynowy mistrz kraju, 15-krotny reprezentant Polski w meczach międzypaństwowych w latach 1972–1980 (sześć zwycięstw i dziewięć porażek). W sezonach 1974–1980 zdobył medale podczas wszystkich wielkich imprez bokserskich. Do legendy przeszła jego rywalizacja z Wiktorem Sawczenką, reprezentantem ZSRS.

Po zakończeniu kariery zawodniczej trener pięściarzy, m.in. kadry narodowej (1989–1993).

Popularyzator sportu, laureat wielu wyróżnień, m.in. Nagrody im. Aleksandra Rekszy, przyznawanej osobom zasłużonym dla polskiego pięściarstwa. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W latach 2008–2012 był prezesem Polskiego Związku Bokserskiego.

Zadzwoń do żony, powiedziała: „Jurek, musisz boksować, nie możesz oddać walki walkowerem”. Miała rację



Jerzy Rybicki podczas otwarcia sali jego imienia w Łądeckiej Geovicie, 29 sierpnia 2020 r.

FOT. MACIEJ SERGEL / 24KLÓDZKO.PL

W 2020 roku w Łądku-Zdroju w Kotlinie Kłodzkiej otwarto salę pańskiego imienia. Rzadko się to zdarza za życia danej osoby. Jak do tego doszło?

To był pomysł pani Marzeny Jankiewicz z ośrodka Geovita. To właśnie kierownictwo ośrodka zdecydowało, by powstała ta sala. Zaproszono mnie na spotkanie z młodzieżą, żebym osobiście uhonorował to miejsce i jako autorytet przyciągnął dzieciaki. To są młodzi, inteligentni ludzie, nie dadzą sobie wcisnąć kitu. Muszą wiedzieć, co jest grane.

Czy rzeczywiście miał pan poczucie, że jako mistrz olimpijski z '76 roku, jedna z legend polskiego boks, stanowi pan dla nich autorytet?

Myszę, że tak. Bardzo mnie tam szanowano, do tego stopnia, że nadal mnie zapraszają, żebym przyjechał i poprowadził trening, spotkał się z młodymi chłopakami. Ale wiadomo, jak jest – w czasach pandemii trochę boję się tam jechać.

Lądek-Zdrój to małe miasteczko w Kotlinie Kłodzkiej, najbardziej znane z filmu *Miś* i słynnej sceny, że nie ma takiej miejscowości jak Londyn, za to jest Lądek i właśnie Lądek-Zdrój.

Piękne miasteczko i bardzo mili ludzie, zwłaszcza kierownictwo ośrodka. Myślę, że tytuł mistrza olimpijskiego robi wrażenie. Oznak sympatii dostaję teraz nawet więcej, niż gdy byłem młody. Miałem 23 lata, kiedy zostałem mistrzem olimpijskim. To dość wcześnie. Oczywiście składano mi gratulacje, odnoszono się do mnie z szacunkiem. Ale teraz jest inaczej. Ludzie pytają mnie: „Czy pan wie, że jest pan legendą polskiego boksu?”. Odpowiadam: „Oczywiście, że wiem!”. Bo przecież mało kto taki tytuł zdobył. Czy pan wie, ilu jest polskich mistrzów olimpijskich w boksie?

Żyje tylko dwóch.

Tak: Marian Kasprzyk i ja. Ale w sumie było siedmiu. I to wszystko! A z Kasprzykiem boksowałem w wieku 19 lat, podczas gdy on miał 30.

Jakie to było uczucie wygrać z mistrzem olimpijskim z '64 roku?

Byłem młodym chłopakiem, zaskoczonym, że tak lekko mi idzie. Trochę się tym podnieciłem. Myślę sobie: „Kurczę, co tak łatwo mi wszystko wychodzi!”. I jak mi wtedy przyłożył, to nie wiedziałem, w którym kierunku iść do narożnika. Dobrze, że zaraz był gong. Usłyszałem krzyk trenera Michała Szczepana: „Jurek, tutaj! Gdzie ty idziesz?!”. Bo szedłem w innym kierunku, tak mnie trafił mocnym prawym sierpowym. A jeszcze chwilę wcześniej wydawało mi się, że tak lekko mi idzie.

Mam ze sobą zdjęcie z '64 roku, na którym widać Jerzego Kuleja, Mariana Kasprzyka i Józefa Grudnia.

To wspaniali pięściarze. Muszę powiedzieć, że każdego osobiście znałem. Każdego! To byli wielcy bokserzy, ale też wspaniali ludzie. Warto było ich poznać.

Jak zapamiętał pan Jerzego Kuleja?

To był bardzo inteligentny człowiek. Wspaniale komentował walki w telewizji. W tej chwili nie ma człowieka, który mógłby tak dobrze poprowadzić walkę bokserską.



Polscy medaliści olimpijscy igrzysk w Tokio (1964 r.).

Od lewej: Jerzy Kulej, Marian Kasprzyk i Józef Grudzień.

FOT. MIECZYSLAW ŚWIDERSKI / NEWSPIX.PL

A co pan może powiedzieć o Marianie Kasprzyku? Sięgnął po złoto olimpijskie po bardzo długiej przerwie w trenowaniu, którą spędził w więzieniu.

Zawsze byłem zaskoczony tym, że tak wielki zawodnik, podwójny medalista olimpijski, brązowy medalista mistrzostw Europy, nigdy nie zdobył mistrzostwa Polski. A to Kulej mu przeszkodził, a to Drogosz. Oszukali go w walce ze Zbigniewem Zakrzewskim z Wybrzeża Gdańsk. Po pierwszej rundzie pękł łuk brwiowy, już nie pamiętam, czy Zakrzewskiemu, czy Marianowi. Sędziowie ogłosili zwycięstwo Zakrzewskiego, zamiast dać je Marianowi, bo sobie na to zasłużył. Owszem, w tamtym czasie Zakrzewski wyrastał na bardzo dobrego pięściarza, mówiono o nim „bombardier z Wybrzeża”. Ale to za mało, to nie ta klasa co Marian. Z tego płynie też jeszcze jeden wniosek: jak wysoki był poziom polskiego boksu, że mistrz olimpijski nie był w stanie zdobyć tytułu mistrza Polski!

Z celi na olimpiadę

Marian Kasprzyk (ur. 22 września 1939 r. w Kołomani) – jeden z najwybitniejszych polskich pięściarzy. Wywalczył brązowy medal olimpijski w Rzymie w 1960 r. i złoty w Tokio w roku 1964. W sumie stoczył 270 walk i wygrał 232 z nich. Po zakończeniu kariery zawodniczej był cenionym trenerem. Historia dyskwalifikacji Mariana Kasprzyka za udział w bójkę z milicjantem, a potem przywrócenia mu możliwości występów tuż przed igrzyskami w Tokio posłużyła za kanwę filmu *Bokser*. Mariana Kasprzyka zagrał Daniel Olbrychski. Kasprzyk opowiedział o okolicznościach bójki Maciejowi Zdziarskiemu w wywiadzie udzielonym w 2020 r.:

W restauracji zaczął mnie milicjant po cywilu. Nawet mnie nie znał, ale był niezłe wypity. Dałem się sprowokować i przyłożyłem jemu i jego dwóm kolegom. (...) Dostałem wyrok bez zawiasów – rok pozbawienia wolności. Mam poczucie, że niesprawiedliwie mnie wtedy potraktowano. Trafilem do więzienia na Mikołowskiej w Katowicach. Tam też mnie prowokowano. Pamiętam, jak rozmawiałem z jednym z więźniów, coś mu powiedziałem i już szukał zaczepki. Tylko czekał na to, żeby go uderzyć. Na drugi dzień wzięli tego faceta do innej celi. Podpuszczali mnie i gdybym dał się sprowokować, dorobiłbym się jeszcze dłuższego wyroku.

Dla młodego zawodnika kara więzienia, a także będąca jej konsekwencją dożywotnia dyskwalifikacja były wielkim dramatem. Byłem młody, dopiero co zacząłem boksować na poważnie. I nagle kryminał, nie mogę trenować. Zawzięłem się jednak i jeszcze w więzieniu mówiłem wszystkim, że pojedę na kolejną olimpiadę.

Marzenie Mariana Kasprzyka spełniło się – wrócił do treningów, wziął udział w przygotowaniach do kolejnych igrzysk. Dyskwalifikacja została cofnięta, bokser wrócił z Tokio ze złotym medalem.

Źródło:
Maciej Zdziarski, *Gdy milkną oklaski. Życie na sportowej emeryturze – wywiady z mistrzami*, Kraków 2020.

Ostatni na zdjęciu, Józef Grudzień, wygląda jak rodzaj piękniśa koło tych dwóch mocnych chłopaków!

To był szalenie mądry człowiek. Przyznam, że nawet nie pasował mi na boksera ze względu na swoją inteligencję, aparycję. Jednak to był świetny zawodnik.

W '64 roku, kiedy Polacy spektakularnie wygrywali z Rosjanami, miał pan 11 lat. Czy boks już wtedy pana interesował?

Poznałem boks dzięki koledze, który trenował u Antoniego Komudy. Przynosił rękawice ze sobą i okładał wszystkich chłopaków na podwórku. Któregoś razu dał mi rękawice, zaczęliśmy boksować i okazało się, że nie mógł mnie trafić. Powiedział: „Chodź, zobaczysz, jak będzie na sali bokserskiej”. Namówił mnie i poszedłem. Trener Komuda od razu zwrócił na mnie uwagę.

Podobno powiedział: „Ten chłopak będzie mistrzem olimpijskim”.

Tak było!

Zadzwoniłem do żony, powiedziała: „Jurek, musisz boksować, nie możesz oddać walki walkowerem”. Miała rację



Jerzy Rybicki (drugi od prawej) i trener Andrzej Komuda (pierwszy od lewej).

FOT. MIECZYSLAW ŚWIDERSKI / NEWSPIX.PL

Szczyście na wagę złota

Józef Grudzień (ur. 1 kwietnia 1939 r. w Piasku Wielkim, zm. 17 czerwca 2017 r. w Pułtusku) to złoty medalista olimpijski wagi lekkiej z Tokio (1964) i srebrny z Meksyku (1968). Co ciekawe, początkowo to nie Grudzień miał wystąpić w wadze lekkiej na igrzyskach w Tokio. Miejsce w kadrze należało do Jana Szczepańskiego, u którego lekarze wykryli jednak arytmie serca. Grudzień – mniej doświadczony w zawodach międzynarodowych i borykający się z kłopotami powodowanymi przez złamany kciuk – dostał szansę i wykorzystał ją w stu procentach. Pewnie wygrywał kolejne walki, w tym finałowe starcie z przedstawicielem ZSRS Wiliktonem Barannikowem, z którym spotykał się na ringu także w późniejszej karierze.

Józef Grudzień z powodzeniem startował także w mistrzostwach Europy: w Berlinie (1965) zdobył srebro, a w Rzymie (1967) – złoto. Po zakończeniu kariery zawodniczej został trenerem, a jako członek Polskiego Komitetu Olimpijskiego zajmował się pomocą byłym olimpijczykom.

Źródła:
Szymon Szczepanik, *Złoty medal, na który nikt nie liczył. Historia Józefa Grudnia*, <https://kierunektokio.pl/zloty-medal-na-ktory-nikt-nie-liczył-historia-jozefa-grudnia/>, 22 lutego 2021 r.
Grudzień Józef [w:] B. Tuszyński, H. Kurzyński, *Leksykon olimpijczyków polskich. Od Chamonix i Paryża do Soczi 1924–2014*, wyd. 3, poprawione i uzupełnione, Polski Komitet Olimpijski, Warszawa 2014, s. 47.



Feliks „Papa” Stamm, 1963 r.

FOT. PAP / ZBIGNIEW MATUSZEWSKI

A czy panu zdarzyło się dostrzec kiedykolwiek kogoś tak zdolnego, żeby powiedzieć: „Chłopcze, zrobisz karierę”?

Nie zdarzyło mi się. Do boksu trzeba mieć wielki zapał, być cholernie ambitnym i upartym. Nie chodzi tylko o to, że ktoś umie złać każdego na podwórku. To nie na tym polega. Do boksu trzeba mieć smykałkę, trzeba lubić się bić i umieć pokonać innych, równie mocnych zawodników. A to nie jest proste. Boks to ciężka dyscyplina. Ptasi mózdzek niewiele w niej zdziała. Każdy ma wrażenie, że bokser to jest taki zabijaka. A pięściarze to bardzo inteligentni ludzie. Nikt mistrzostwa nie zdobędzie, jeśli zabraknie mu oleju w głowie. Może odniesie przypadkiem sukces, ale żeby być takim Kulejem, Grudniem czy Kasprzykiem, trzeba być bardzo inteligentnym człowiekiem.

Zadzwoniłem do żony, powiedziała: „Jurek, musisz boksować, nie możesz oddać walki walkowerem”. Miała rację

Mawiał pan przez całe życie, podobnie jak Marian Kasprzyk, że w boksie nie chodzi tylko o bicie się, ale o to, żeby nie dać się trafić, prawda?

To są słowa Stamma.

Odwoływaliście się do nich obydwaj.

Tak. On mówił, że cała sztuka w boksie polega na tym, by trafić przeciwnika, ale nie oberwać z powrotem. Jeżeli zawodnik ma zadać cios i samemu przy tym dostać, to lepiej, żeby w ogóle nie uderzał. Poza tym u boksera najważniejsza jest głowa, później nogi i dopiero na końcu ręce.

Czy tacy bokserzy jak Grudzień, Kasprzyk, Kulej odnieśliby sukcesy, gdyby nie było Stamma?

Ciężko by było. Brak dobrych trenerów to zresztą powód, dla którego polski boks upadł. O tym się nie mówi, ale zamiast naszych trenować, promowano, za prośbieniem, dwóch Rusków. A przecież u nas boksowali choćby bracia Kliczko w Gwardii Warszawa.

Ten problem wystąpił w wielu dyscyplinach. Podobnie Paweł Łukaszką, olimpijczyk z '80 roku, wypowiada się o hokeju. Zniszczono polski hokej tym, że jest w nim pełno zagranicznych trenerów.

Bo to prawda. Przyjeżdżają zawodnicy z zagranicy, pod żadnym względem nie są lepsi od naszych, ale mają pieniądze. Niestety za sukces trzeba płacić. Nasi tego nie rozumieją. Były czasy, gdy trenerzy byli na etatach, wtedy mogli podróżować po całej Polsce, trenować. W tej chwili chłopakom jest ciężiej.

Druga, często wymieniana przyczyna upadku polskiego boksu to boks zawodowy.

Nie jestem przeciwko boksowi zawodowemu. Uważam, że powinno się promować najlepszych zawodników amatorskich, bo w amatorstwie nie ma pieniędzy, a w zawodowstwie – już są.

Zawodowstwo powinno być bardziej urozmaicone. Po likwidacji ligi sprowadzono zagranicznych trenerów. W tej chwili nawet nie wiem, kto trenuje kadrę. Nie znam tych ludzi, chociaż jestem zapraszany. Nadal mnie szanują, doceniają, ale ja ich

nie znam. A przedtem w każdej kategorii mogłem wymienić z imienia dziesięciu najlepszych.

Wróćmy zatem do czasów, kiedy odnosił pan sukcesy. Czy przydarzały się panu takie sytuacje, które Kasprzyka doprowadziły do więzienia? Czy prowokowano pana, żeby sprawdzić, jak to jest zmierzyć się ze sławnym bokserem?

Raczej nie, zawsze byłem darzony szacunkiem. Gdziekolwiek poszedłem, ustępowano mi, słyszałem szept: „Ćśś, to mistrz olimpijski”. Byłem rozpoznawany. Poza tym nie wdawałem się w żadne pijackie burdy. Jeśli ktoś mnie zawołał, mówił: „Chodź do nas, siadaj. Bierz kielicha i napij się”, to grzecznie odmawiałem. Nie pozwalałem sobie na takie rzeczy.

To miał pan charakter! Dla wielu sportowców, a szczególnie bokserów, takie zaczepki stanowią wyzwanie.

Owszem, i ja miałem takie propozycje. Ale zawsze grzecznie odmawiałem, tłumaczyłem, że nie piję. Przyznam jednak, że pamiętam, jak niektórzy przed walką wypijali kielicha. Uważam, że to był rodzaj dopingu. Czasem to przeszkodzi, ale czasem pomoże. Nie oszukujmy się, alkohol pobudza człowieka, wzmacnia agresję.

Czy wśród zawodników, z którymi pan boksował albo których pan trenował, są tacy, z którymi utrzymuje pan dzisiaj kontakt? Marian Kasprzyk?

Tak. Na święta zawsze staram się do niego zadzwonić. Z okazji imienin również telefonuję. Marian to spokojny, wyważony, kulturalny człowiek. Miałem bardzo dobry kontakt z Andrzejem Biegalskim, niestety już zmarł. Znam się z Adamem Koźlikiem.

A z ostatnim naszym medalistą, czyli z Wojciechem Bartnikiem?

Oczywiście, również. Muszę mu osobiście podziękować, bo bardzo przychylnie się o mnie wypowiada. A był moment, gdy jako trener nie bardzo w Wojtka wierzyłem. To było przed Barceloną, gdzie zdobył brązowy medal. Miał za przeciwnika chłopaka ze Słupska, nie pamiętam, jak się nazywa. Bartnik powiedział mi: „Ja pana nie zawiodę! Proszę na mnie postawić”. Po tej rozmowie zdecydowałem się na Wojtka.



Igrzyska olimpijskie w Moskwie, 1980 r. Na podium od lewej: Wiktor Sawczenko (ZSRS), José Gómez (Kuba) i Jerzy Rybicki.

FOT. PAP/ITAR-TASS

Czyli trzeba chcieć, trzeba wierzyć. Boks to jest trochę gra psychologiczna?

Trochę tak. Podczas prezentacji bokserzy się prężą, a jak podają sobie dłoń, to jakby w imadło rękę włożyć.

Czy między panem a Wiktorem Sawczenką była jakaś gra?

Raczej nie. Na igrzyskach w Moskwie w ostatniej rundzie uderzył mnie głową, pękł mi łuk brwiowy. Sędziowie ogłosili zwycięstwo Sawczenki. Szkoda, że tak się skończyło, bo miałem znowu wielką szansę powalczyć o złoto. Złapałem niesamowitą formę. Jeszcze jadąc do Moskwy, nie czułem się najlepiej przygotowany, ale później nabrałem wiatru w żagle i zacząłem świetnie boksować. Sawczenko w finale przegrał z kretesem.



Igrzyska olimpijskie
w Montrealu:
Jerzy Rybicki
w zwycięskiej walce
z Tadiją Kačarem
(Jugosławia), 31 lipca
1976 r.



Polscy medaliści w boksie na igrzyskach olimpijskich w Montrealu, od lewej: Janusz Gortat (brąz, waga półciężka), Kazimierz Szczerba (brąz, waga lekkopółśrednia), Jerzy Rybicki (złoto, waga lekkośrednia), Leszek Błażyński (brąz, waga musza), Leszek Kosedowski (brąz, waga piórkowa).



Uroczystość z okazji 30-lecia zdobycia przez Jerzego Rybickiego złotego medalu na igrzyskach olimpijskich w Montrealu, Konstancin-Jeziorna, 7 października 2006 r.

Często powtarza pan, że pod pewnym względem Moskwa to były dla pana ważniejsze igrzyska niż Montreal.

To prawda. Jak doszedłem do półfinału, niektórzy radzili, żebym już nie boksował. Mówili: „Przecież masz już brązowy medal, daj sobie spokój, wystarczy”. Mieli w pamięci moją ciężką porażkę z Sawczenką na mistrzostwach świata. Zadzwoiłem do żony, powiedziała mi jedno: „Jurek, musisz boksować, nie możesz oddać walki walkowerem”. Miała rację. Pomyślałem, że mogę przegrać z nim raz, drugi, trzeci, jednak na ring muszę wyjść. Gdy poszedłem na wagę, ludzie pytali ze zdziwieniem: „Jurek, boksujesz dalej?”. Nawet Sawczenko był zaskoczony.

Pamięta pan przebieg tej walki?

Pierwszą rundę przegrałem, drugą u wszystkich sędziów wygrałem. W trzeciej chciałem go skończyć przed czasem. Widziałem, że był słaby, szedłem na niego, żeby skasować go całkowicie. Niewiele mi zabrakło. Została niecała minuta do końca walki i wtedy dostałem w głowę. Całe życie bez kasku boksowałem, a stoczyłem ponad 300 walk. Łuk mi pękł, rosyjski lekarz wysłał mnie do narożnika.

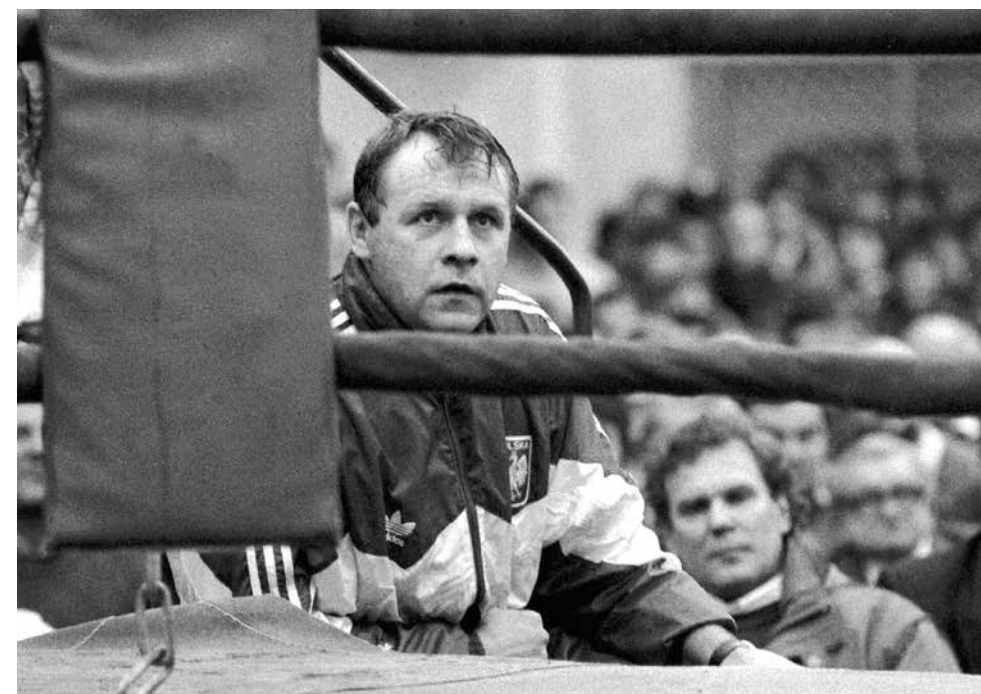
Po walce wszyscy przychodzili do mnie do szatni, nawet trenerzy rosyjscy gratulowali mi postawy. Sam Sawczenko się zjawił, zresztą mam w domu piękny plakat, który mi podarował, z dedykacją „dla Jerzego Rybickiego”. Dowiedziałem się też, że moje zdjęcie wisi na sali bokserskiej w Moskwie, jako jedyne zdjęcie Polaka.

Trochę żał mi tego finału. Nagrodą jest to, że wszyscy pogratulowali mi postawy, tego, że wyszedłem na ring i nie bałem się boksować.

Na igrzyska wrócił pan w roku '92 już jako trener. Czy po tych 12 latach igrzyska się zmieniły?

Myślę, że boks, przynajmniej amatorski, nie jest już tak popularną dyscypliną. Przedtem wszyscy znali każdego zawodnika z imienia, z nazwiska, śledzili nawzajem swoje wyniki. Tak jak wspominałem, był taki okres, gdy w każdej kategorii mogłem podać nazwiska dziesięciu najlepszych zawodników. Dziś miałbym problem, by w każdej kategorii wymienić choćby dwóch czy trzech pierwszych. Boks amatorski mocno podupadł.

Zadzwoiłem do żony, powiedziała: „Jurek, musisz boksować, nie możesz oddać walki walkowerem”. Miała rację



Jerzy Rybicki jako trener reprezentacji Polski, 1992 r. FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER / EAST NEWS

Pański wychowanek, o którym rozmawialiśmy, i zarazem nasz ostatni medalista olimpijski również wybrał później zawodowstwo.

Tak. Wszystko rozbija się o pieniądze. Całe szczęście, że najlepsi zawodnicy byli w jakimś stopniu na etatach, mogli boksować pod okiem trenerów. Teraz jest ciężko. Są stypendia, ale nie za duże. A żeby je otrzymać, trzeba wystartować tu i tu, zdobyć to i to. Tak że jest bardzo ciężko.

Jak kończyłem akademię wychowania fizycznego i rektor wręczał mi dyplom, powiedział do mnie: „Panie Jurku, pan jest ostatnim zawodnikiem, który odnosił sukcesy. Na panu skończył się polski boks”.

Lubi pan opowiadać historię o spotkaniu z Feliksem Stammem, który był twórcą wielkich sukcesów w tej dyscyplinie.

To był wspaniały człowiek. Nazywali go „Papą” Stammem. I rzeczywiście był dla zawodników jak ojciec, stanowił dla nich autorytet. Przyjeżdżał na obozy juniorów, a ja

Jerzy Rybicki

w '71 roku byłem na jednym z nich. Do dziś pamiętam, jak Feliks Stamm podszedł do mnie, gdy pracowałem na worku. Pokazywał innym, jak powinienem uderzać. Miałem z tego wielką satysfakcję.

Nie wiem, czy dziś jakkolwiek trener w dowolnej dyscyplinie cieszy się takim autorytetem. Nie widzę takiego drugiego człowieka. Kazio Górski mógł się równać ze Stammem, ale Kazia też od dawna z nami nie ma.

Poza tym to dobrze pokazuje różnice między dawnym boksem a tym, co jest dzisiaj. Wychowankowie wielkich trenerów sami zostawali trenerami i kontynuowali myśl mistrzów. Sam przez lata współpracowałem ze Szczepanem. Od każdego trenera bierze się to, co najlepsze, a samemu można dołożyć jeszcze to i owo. Wszyscy wielcy pięściarze zostawali trenerami. Czy Kulej, czy Pietrzykowski, śmiało mogliby prowadzić kadrę seniorów. Mieli do tego dar.

Jak dzisiaj wygląda pana codzienność?

Jestem emerytem.

To przyjemne uczucie?

Myślę, że tak. Oczywiście pod warunkiem, że ma się zapewnione odpowiednie warunki i nie trzeba latać od jednego do drugiego, żeby parę groszy zarobić.

W tym sensie jako mistrz olimpijski jest pan szczęściarzem. Wielu sportowców zostało z niczym.

Oczywiście, bardzo sobie cenię, że dostaliśmy świadczenie olimpijskie. To pomogło wielu medalistom. Pamiętam, jak Jerzy Adamski z Bydgoszczy mówił mi: „Jurek, słuchaj, odkąd mam to świadczenie, nareszcie stać mnie, żeby komuś kawę czy piwo postawić, a nie że to ciągle inni za mnie płacą!”. Mimo wszystko to nie są duże pieniądze, 2600 złotych miesięcznie. To nie jest aż tak wiele za tak wielki sukces. Ale niejednemu uratowały życie, każdy medalista igrzysk je dostaje.

Niezależnie od liczby medali i kruszcu.

A tak nie powinno być. Bo złoto różni się od brązu, nie oszukujmy się. Brąz a złoto to dwa różne światy. Nie wiem, dlaczego tak jest. Niektórzy mi mówią: „Nie odzywaj

” **Mam żal do siebie, że nie zdobyłem mistrzostwa Europy. Boli mnie to, nie daje spokoju.**



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/EAST NEWS

się, bo jeszcze nam zabiorą”. Dla nas to są dobre pieniądze, bo sportowcy nie mają wysokich emerytur. Zawodnicy po zakończeniu kariery nie mają zbyt wiele czasu na to, żeby wypracować emeryturę.

Pan miał to szczęście, dlatego że odsłużył pan kilkanaście lat w państwowej służbie.

Tak, łącznie 17 lat, a jeszcze byłem na etacie w Gwardii. To było moje szczęście. Ale do wszystkiego trzeba było dojść ciężką pracą. Nic z nieba samo nie spada. Sport to harówka każdego dnia. Nieraz trenowaliśmy nawet dwa razy dziennie: pierwszy trening, na rozruch, o dziesiątej, a drugi – o szesnastej. Bywało i tak, że robiono nam trening jeszcze o dziewiętnastej. Było to dosyć męczące, ale żeby odnieść sukces, trzeba wszystko postawić na sport.

Czy ma pan dzisiaj poczucie, że dobrze przeżył życie?

Mam żal do siebie, że nie zdobyłem mistrzostwa Europy. Boli mnie to, nie daje spokoju.

Ale jest pan mistrzem olimpijskim! Wielu zamieniłoby pięć tytułów mistrza kontynentu na mistrza olimpijskiego.

Oczywiście. Bogdan Gajda ma mistrza Europy, zdobył go w pięknym stylu. Jest dziewięciokrotnym mistrzem Polski. A mówił mi: „Jurek, oddałbym wszystko za medal olimpijski!”. Medalu olimpijskiego nie ma też Henio Średnicki.

Również świetny bokser.

Uważam, że znakomity. Jeden z najlepszych polskich bokserów, a nie ma medalu olimpijskiego. Ja z kolei nie mam mistrza Europy, chociaż zdobyłem dwa brązowe medale. W Katowicach w półfinale przegrałem z Kalevim Marjamaa, a dwa lata później w Halle – z Sawczenką. Tylko tego jednego tytułu brakuje mi do szczęścia. Jednak mam dwa medale olimpijskie zdobyte w pięknym stylu.



W Lake Placid
odmówiłem
różaniec,
żeby mnie
tylko trener
nie wystawił!

Rozmowa
z **ks. Pawłem Łukaszka**

Kiedy zetknął się ksiądz z hokejem po raz pierwszy?

W roku milenium chrztu Polski, czyli w '66, kiedy klub Podhale Nowy Targ zdobył pierwszy raz mistrzostwo kraju. Miałem cztery lata, mój tato był mistrzem w zakładach przemysłu skórzanego w Nowym Targu. Zakład zatrudniał kilkanaście tysięcy ludzi z Nowego Targu i okolicy. Wszyscy wspierali klub. Z pensji szły jakieś złotówki, w zamian pracownicy dostawali bilety na mecze. Mieszkaliśmy 100 metrów od lodowiska, które nie było kryte, było na wolnym powietrzu. Tato mówił: „Będziesz starszy, to pójdziesz”. I chodził z wujkiem Tadkiem, bratem mamy. Ja czekałem w domu. Każdy mecz był wydarzeniem. Jak się rozległ wielki ryk, to wiadomo było, że bramka...

Dla Szarotek.

...dla Szarotek. Kiedy miałem 7–8 lat, zacząłem rozpoznawać zawodników. Słyszałem: „O, to jest Józef Słowakiewicz, to Walenty Ziętara, a to Mieczysław Jaskierski”. Moje zainteresowanie rosło. Jeździliśmy na łyżwach na Dunajcu albo na – polanym wcześniej wodą – zamrażniętym boisku do piłki ręcznej obok szkoły.

Od razu stawiano mnie do bramki, rzadko do ataku. W obronie też trudno by mi było, bo koledzy byli o 5–6 lat starsi, roślejsi. Wtedy przy lodowisku otworzono klasę sportową dla utalentowanych chłopaków z Nowego Targu. To była fajna i mądra idea. Zaczął ćwiczyć mój starszy o trzy lata brat, Staszek. Raz wciągnął mnie do szkolnej drużyny, bo brakowało bramkarza. Byłem w drugiej klasie, oni byli w piątej.

Ksiądz Paweł Łukaszka

Urodzony 6 lutego 1962 r., bramkarz popularnych Szarotek z Nowego Targu, mistrz i reprezentant Polski, olimpijczyk z Lake Placid (1980 r.).

W wieku 16 lat zadebiutował w ekstraklasie, wystąpił w 69 meczach. W roku 1979 został wybrany najlepszym bramkarzem mistrzostw Europy juniorów, szybko awansował również do drużyny narodowej, w której rozegrał 30 spotkań. Podczas igrzysk olimpijskich w Lake Placid (1980 r.) wystąpił w meczach z ZSRS i Japonią.

Podczas mistrzostw świata w Val Gardena w 1981 r. był podstawowym bramkarzem Biało-Czerwonych. Kilka miesięcy później żegnano go oficjalnie jako zawodnika reprezentacji ze względu na podjętą wcześniej decyzję o wstąpieniu do seminarium duchownego w Krakowie i rozpoczęciu studiów w Papieskiej Akademii Teologicznej. Kleryk Paweł Łukaszka otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1987. Już po tym, jak został księdzem, zagrał ponownie w Podhalu – po raz pierwszy w meczu ligowym z Naprzodem Janów (21 września 1990 r.). Nie pobierał wynagrodzenia za grę.

Przez blisko 20 lat był trenerem hokeja i prezesem Małopolskiego Związku Parafialnych Klubów Sportowych w Krakowie.

Ksiądz Paweł Łukaszka jest proboszczem parafii Narodzenia św. Jana Chrzciciela w Korzkwi, nauczycielem religii, a także autorem książki „Prawo łaski i łaska wolności. Ojciec Bernhard Häring CSsR jako człowiek i teolog”.

W Lake Placid odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił!

Trener zauważył, że radzę sobie w bramce, i tak w zasadzie zacząłem. Potem już tylko czekałem, która drużyna nie ma bramkarza. Nawet ci starsi wołali: „Załóż sprzęt”. Bo bramkarz jaki jest, taki jest, ale stoi. Miałem 13 lat, kiedy trener wziął mnie do drużyny starszych juniorów i wystawił na trzecią tercję meczu z Cracovią. Mówili: „Tego Pawełka to zabijają, zabijają”. W Cracovii grał Bogdan Pawlik. Strzelił z daleka tak mocno, że mi łapaczkę porwało. Taki właśnie był mój debiut. A do pierwszej drużyny zostałem zapisany w '76 roku. Zachowałem powiadomienie: „We wrześniu Podhale Nowy Targ jedzie do Kijowa na 3 tygodnie przygotowania przed sezonem pierwszej ligi”. Mnie wzięli jako trzeciego bramkarza. Byłem w ósmej klasie, dyrektorka napisała zwolnienie i pojechałem.

Hokej po góralsku

Podhale Nowy Targ jest tym dla polskiego hokeja, co CSKA Moskwa dla hokeja rosyjskiego lub Montreal Canadiens dla hokeja kanadyjskiego – napisał René Fasel, szef Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie. Klub z szarotką w herbie należy do najstarszych w Polsce (powstał w 1932 r.). Jest też jednym z najbardziej utytułowanych: jego zawodnicy 19 razy zdobywali mistrzostwo Polski, a wojny o prymat z hokeistami Cracovii, nieistniejącego dziś Baildonu Katowice i Unii Oświęcim obrosły legendą.

Klub od początku był też czymś więcej niż sekcją sportową – długie i mroźne podhalańskie zimy sprzyjały rozwojowi tego sportu, bieganie za krążkiem było alternatywą dla kopania piłki. W szatni zawiązywały się przyjaźnie, rodziły pomysły i doskonaliła taktyka. Ranga klubu rosła, a złote czasy Podhala Nowy Targ przypadły na przełom lat 70. i 80. To okres niezwykłej popularności polskiego hokeja, która wybuchła po słynnym meczu mistrzostw świata, rozgrywanym w katowickim Spodku 8 kwietnia 1976 r. Biało-Czerwoni pokonali wówczas ZSRS po raz pierwszy i – jak się okazało – jedyny w historii. Dla synów górali i sądeckich Lachów hokej stał się wówczas szansą na życiowy sukces. Pozwalał się wybić, zyskać finansową niezależność, zdobyć popularność i zobaczyć świat (a w niektórych przypadkach wyjechać z Polski i pozostać za granicą). Podhale Nowy Targ w kraju nie miało sobie równych, więc jego wychowankowie cieszyli się największą popularnością na hokejowym rynku.



FOT. MICHAŁ CHWIEDUK / FOKUSMEDIA.COM.PL / NEWSPIX.PL

To musiało być wydarzenie – 14-latek, który wyjeżdża na obóz przygotowawczy ligowców!

Wielkie przeżycie i wielka trema, bo tam na meczach trener już mnie wystawiał. Potem cofnął mnie do juniorów, ale dziś myślę, że chodziło o to, by nie pozbawić pensji drugiego bramkarza, Stasia Dąbrowskiego. Był 10 lat starszy ode mnie, miał żonę, dziecko, potem drugie, trudno, żeby był trzecim bramkarzem. Pierwszym był Tadek Słowakiewicz. Przed meczem z Baidonem w Katowicach Tadek zachorował na grypę, no i mnie zawieziono taksówką. Tam broniłem po raz pierwszy w lidze.

Od razu przeciwko klubowi z wielkimi aspiracjami, Baidon był wtedy wicemistrzem Polski.

Pamiętam, że do Baidonu poszło dwóch braci Mrowców, Wiesiek i Adam z Gronkowa, spod Nowego Targu. To byli jedyni hokeiści, którzy przebili się z wioski i doszli do pierwszej ligi. Ale z Nowego Targu odeszli. W Baidonie dostali duże pieniądze.

Tadek Słowakiewicz ostrzegał mnie: „Uważaj na nich. Jak Adam mnie trafił krążkiem, straciłem prawie przytomność”. Zacząłem się rozgrzewać, ale odtąd obserwowałem tylko Mrowców. Zawsze gdy graliśmy z Baidonem, któryś z nich strzelił mi bramkę. I to taką głupią – między nogami albo z boku. Gdyby Tadek mnie nie nastraszył, nie wpadałbym w kompleksy z ich powodu. Przecież byli w Katowicach dużo lepsi zawodnicy – Jasiu Piecko, Tadek Obłój...

Jakie predyspozycje musi mieć bramkarz w hokeju?

Musi być przede wszystkim szóstym zawodnikiem – bronić, ale też grać. I wypracować sobie coś, co jest cechą flegmatyka, o czym wspominał kiedyś w kontekście swojej dyscypliny Michael Schumacher. W hokeju bramkarz jest tym, który powinien zrobić ostatni ruch. Jeżeli napastnik robi ruch, bramkarz powinien przecze-kać, co jest bardzo trudne.

Nie wyrwać się za szybko?

Tak. Ma być flegmatykiem w sferze decyzji. Nie może reagować odruchowo, musi mieć nad reakcją kontrolę. To też elementy techniki gry bramkarza. Oczywiście również pozycja, czyli ustawienie tułowia, rąk, kąta uchwycenia kija, ugięcie kolan stosownie do wzrostu zawodnika, wycucie dystansu. Niesłychanie ważne jest,

W Lake Placid odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił!

żeby nie być ani za daleko, ani za blisko. Trzeba wyczuwać krążek, nie zawodnika. Jeden czy drugi zawodnik może wpadać do bramki, a gola nie ma. Trzeba się ustawiać do krążka. I następna rzecz – jazda, poruszanie się. Bramkarz hokejowy musi poruszać się bez odrywania nóg od lodu. To jest całkiem inna specyfika jazdy.

Inna niż zawodnika w polu?

Teraz bramkarze bronią w stylu zwanym butterfly, czyli na klęcząco. W moich czasach to było niedopuszczalne, ośmieszające zawodnika – że nie umie ustać. Dzisiaj mówią, że ta metoda jest bardziej sprawdzona, bo wcześniej dużo bramek wpadało po lodzie. Ale teraz bramkarze puszczają górą! Dużo się zmieniło od moich czasów. Sprzęt jest inny, lekki, bardziej dopasowany, można powiedzieć – ortopedyczny. Przedtem trzeba go było 2–3 tygodnie rozbijać, wyrabiać, żeby dobrze służył.

Z perspektywy czasu myślę, że jeżeli chodzi o podejście psychologiczne, a także pracę nad sprawnością, giętkością, rozciąganiem, nie byłem prowadzony od dziecka przez właściwych szkoleniowców. Wiele dała mi późniejsza obserwacja takich bramkarzy jak Jiri Holeczek czy Władysław Tretiak. Jako 14-latek nie wiedziałem, że będę kiedyś z nimi grał, ale to od nich chciałem przejmować elementy techniki.

Czy już jako młody zawodnik miał książkę skłonność do tak szczegółowego analizowania swojej roli?

To przychodzi z czasem. Nie myślałem o tym, fizycznie byłem lepiej przygotowany niż psychicznie. Skończyłem karierę, mając 19 lat. Gdybym grał dalej i miał profesjonalnych trenerów, byłbym bardziej skuteczny. Zrozumiałem to, kiedy sam zacząłem trenować bramkarzy, już jako ksiądz. Szkoliłem chociażby Marka Batkiewicza, który zdobył Złoty Kij redakcji „Sportu”. Ja nigdy Złotego Kija nie zdobyłem.



Władysław Tretiak, reprezentant ZSRS, czterokrotny olimpijczyk, uznawany za jednego z najlepszych bramkarzy w historii hokeja.

FOT. PAP / EPA / YURI KOCHETKOV

A jednak był ksiądz w '79 roku najlepszym bramkarzem w mistrzostwach Europy juniorów!

To były mistrzostwa dla mnie bardzo udane. Odbywały się w Tychach. Rano modlitwa, potem stretching, rozjazd i przed meczem prawie 40 minut skupienia. Miałem wysoki procent skuteczności. Rzadko bramkarz drużyny, która kończy turniej na piątym miejscu, jest wybierany najlepszym. W pierwszym meczu z Czechami, którzy zdobyli wtedy mistrzostwo, przez dwie tercje nie puściliśmy bramki. A mogło być nawet ponad 50 strzałów.

Czy taka dyspozycja to był rezultat reżimu treningowego?

Miałem świadomość, że muszę nieustannie trenować, minimum dwa treningi dziennie, i tak pracowałem. Udział w rywalizacji ze starszymi, lepszymi, też był dobrą szkołą.

Igrzyska w Lake Placid

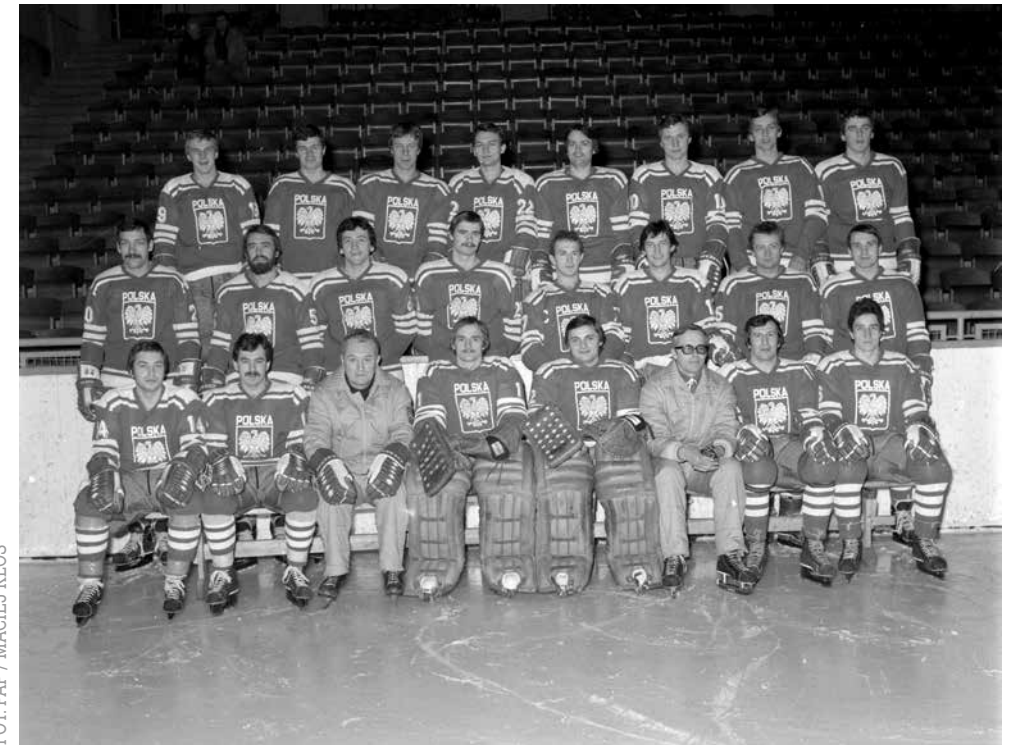
Największym wydarzeniem zimowych igrzysk w Lake Placid w roku 1980 był tzw. cud na lodzie – medalowy mecz rozegrany pomiędzy niekwestionowanymi faworytami – reprezentacją hokejową ZSRS a drużyną USA składającą się ze studentów prowadzonych przez trenera Herba Brooksa. Amerykańscy amatorzy teoretycznie nie mieli żadnych szans – od 1956 r. ZSRS z jednym wyjątkiem regularnie sięgał po olimpijskie złoto w hokeju. Tym razem, w Lake Placid, zwyciężyła reprezentacja USA. W reakcji na to wydarzenie sowiecka agencja prasowa TASS została zamknięta na całą dobę. Sowieci woleli nie informować o niespodziewanej porażce, zwłaszcza że w tle zmagani sportowych rozgrywały się kolejne gorące wydarzenia zimnej wojny. Mecz stał się kanwą dramatu w reżyserii Gavina O'Connora „Cud w Lake Placid” (ang. „Miracle”).

Polscy kibice hokeja również nie mogli narzekać na brak emocji. Nasza reprezentacja zaczęła olimpijską rywalizację od pokonania wyżej notowanych Finów. Mecz był dynamiczny, szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Na 30 sekund przed końcem Finowie zdjęli nawet z tafli bramkarza, zamieniając go na dodatkowego napastnika. Podopieczni trenera Czesława Borowicza nie dali sobie jednak odebrać zwycięstwa. W drugim meczu Polska uległa Kanadzie. W kolejnej potyczce na drodze Biało-Czerwonych stanęła drużyna ZSRS – wynik 1 : 8 nie był dla nikogo zaskoczeniem. Bronił Paweł Łukaszka, honorową bramkę dla naszych barw zdobył Andrzej Małysiak. Niestety, kiedy wydawało się że po dobrych starciach z gigantami hokeja pokonanie Holandii będzie formalnością, Polacy zagrali najsłabszy mecz w turnieju i ulegli 3 : 5. W ostatnim występie reprezentacja Polski znów grała jak z nut i pokonała Japonię 5 : 1. Ostatecznie hokejowa reprezentacja Polski zajęła siódme miejsce w turnieju, wspólnie z Rumunią.

Reprezentacja Polski z Lake Placid:

Henryk Wojtynek, Paweł Łukaszka (bramkarze), Ludwik Synowiec, Marek Marcińczak, Jerzy Potz, Bogdan Dziubiński, Leszek Kokoszka, Stefan Chowaniec, Henryk Janiszewski, Henryk Gruth, Wiesław Jobczyk, Andrzej Małysiak, Andrzej Zabawa, Andrzej Ujwary, Andrzej Janczy, Tadeusz Oblój, Stanisław Klocek, Andrzej Pytel, Dariusz Sikora i Leszek Jachna.

W Lake Placid odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił!



FOT. PAP / MACIEJ KŁOŚ

Drużyna reprezentacji Polski w hokeju na lodzie na XIII Zimowe Igrzyska Olimpijskie 1980 w Lake Placid (USA). Widoczni są m.in. w górnym rzędzie Wiesław Jobczyk (trzeci z lewej), Andrzej Małysiak (czwarty z lewej), Andrzej Zabawa (piąty z lewej). W środkowym rzędzie: Jerzy Potz (pierwszy z lewej), Henryk Janiszewski (drugi z lewej), Henryk Gruth (trzeci z lewej), Stefan Chowaniec (piąty z lewej), Franciszek Klocek (siódmy z lewej), Ludwik Synowiec (pierwszy z prawej). W dolnym rzędzie: Leszek Kokoszka (drugi z lewej), trener Emil Nikodemowicz (trzeci z lewej), Henryk Wojtynek (czwarty z lewej), Paweł Łukaszka (piąty z lewej), trener Czesław Borowicz (szósty z lewej), Tadeusz Oblój (siódmy z lewej). Warszawa, luty 1980 r.

Jak wyglądał rok od mistrzostw Europy juniorów do wyjazdu na igrzyska w Lake Placid – już na pozycji drugiego bramkarza seniorskiej reprezentacji?

Bardzo intensywnie, bo rywalizacja była ogromna. Miałem wielu konkurentów – i Tadeusz Słowakiewicz, dziewięć lat starszy, i Włodek Olszewski. Ale dobrze grałem mecze kontrolne i trener postawił na mnie. Skład ogłoszono w Warszawie. Byłem jednym z dwóch bramkarzy, którzy mogli polecieć. Bałem się wyjechać do domu, żeby się coś nie zmieniło. Zostałem na kilka dni w Warszawie, koledzy przywieźli mi z Nowego Targu niezbędne rzeczy.



Igrzyska olimpijskie w Lake Placid: Helmut Balderis (ZSRS) strzela bramkę reprezentacji Polski.

FOT. AP PHOTO / EAST NEWS

Pierwszy mecz igrzysk, w którym wychodzi Paweł Łukaszka, to mecz ze Związkiem Sowieckim?

Wcześniej wygraliśmy mecz z Finlandią, bronił Heniu Wojtynek. Drugi mecz z Kanadą przegraliśmy. Ja broniłem kolejny. Rosjanie byli bardzo skoncentrowani i mocno ruszyli na nas. Tak dostałem krążkiem od Władimira Pietrowa, że przez kilka lat czułem ból biodra.

Byłem żółtodziobem i nie czułem się wystarczająco pewny. Wręcz nie dowierzałem, że jestem w bramce, między wielkimi zawodnikami. Kiedy strzelili w pierwszej tercji pięć bramek, zobaczyłem, że strzela sam Helmut Balderis. Jeden z najlepszych hokeistów w tamtych czasach!

Kiedy puściłem piątą, byłem bardzo przybity. Potem bronił Heniu. Andrzej Małysiak strzelił jedną bramkę Władysławowi Tretiakowi. Przegraliśmy 1 : 8. Ale trener uważał, że nie zawiniłem, zresztą w następnych meczach już było coraz lepiej.

W meczu z Japonią?

Broniłem całe spotkanie, wygraliśmy! Zwyciężyliśmy też z Finlandią, przegraliśmy ze Związkiem Sowieckim i z Kanadą, a później z Holandią. Przed tym ostatnim meczem prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, Marian Renke, powiedział: „Panowie, nie wejdziecie do szóstki, no bo się nie da, ale jak zdobędziecie sześć punktów, to będziecie mieć po 600 dolarów”. Za Finlandię każdy dostał 100 dolarów, za Japonię 50. Chłopcy ucieszyli się: „600 dolarów pewne”. Leszek Kokoszka mówił, że zmieni auto. Za te pieniądze można było wtedy kupić malucha.

A ja odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił! Bo jeżeli zawałę, to koledzy nie dostaną pieniędzy. Byłem przeschęśliwy, kiedy usłyszałem: „Heniu Wojtyniak do bramki, Paweł w rezerwie”. Ze sportowego punktu widzenia powinienem być niezadowolony, ale ciążyła mi ta presja. Tymczasem Heniu puścił trzy bramki, potem broniłem ja. Przegraliśmy. Nikt do nikogo nie miał pretensji, jednak w szatni panowała grobowa cisza. Wreszcie Jurek Potz stwierdził: „Panowie, tak to jest, jak się na żywym niedźwiedziu kroi skórę”. No i rozładował atmosferę!

W Lake Placid odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił!

Rok później był ksiądz już pierwszym bramkarzem reprezentacji na mistrzostwach świata.

Byłem przekonany, że to będą moje mistrzostwa, chociaż wiedziałem już, że chcę iść do seminarium. Powiedziałem o tym tylko jednej osobie, pani od matematyki. Pierwszy mecz z Rumunią wygraliśmy 6 : 5, ale wpuszczenie pięciu bramek w mistrzostwach świata to słaba skuteczność.

Kilka miesięcy później żegnał ksiądz reprezentację, decydując się na pójście do seminarium duchownego. Jak to zostało odebrane w środowisku hokeja?

Starsi koledzy z wielkim wzruszeniem mówili, że przede mną trudna droga. Niektórzy wątpili, czy wytrwam, czy bez hokeja dam radę. PZHL chciał mnie zatrzymać, żebym pojechał jeszcze do Japonii, ale wtedy te mistrzostwa nie miały już dla mnie znaczenia.

Dla mnie wybór kapłaństwa był czymś naturalnym. Zawsze czułem więź z Panem Jezusem przez Eucharystię. Gdziekolwiek jeździłem na mecze – czy z kadrą juniorów, czy z Podhalem, w Polsce czy poza krajem – w niedzielę szedłem na mszę, zachęcałem do tego kolegów. Choć sukcesy w sporcie przyszły szybko, wiedziałem, że najważniejsze jest powołanie, głos, za którym chcę iść.

Ksiądz, który grał w hokeja

Gdy pierwszy bramkarz hokejowej reprezentacji Polski, uznawany za nadzieję tego sportu, rezygnuje z kariery i wybiera seminarium duchowne – koledzy i fani mogą być zaskoczeni. Ale ks. Paweł Łukaszka podkreśla, że dorastał do tej decyzji latami. W rozmowie z „Przeglądem Sportowym” tłumaczył: *Trening był czymś namacalnym, natomiast doświadczenie religijne, czyli wiara, to jest coś ukrytego, niematerialnego. Porównałbym to do powietrza. Kiedy człowiek oddycha, nawet nie jest świadomy, że robi wdechy i wydechy. Szczególnie, kiedy powietrze jest czyste. Brak powietrza człowiek odczuwa od razu.*

Zgodnie z regulaminem seminarium na czas formacji duchowej Paweł Łukaszka zrezygnował ze zorganizowanej aktywności, ale sport był mu bliski także na drodze kapłańskiej. Założył i przez 20 lat prowadził Małopolski Związek Parafialnych Klubów Sportowych, organizując zawody, igrzyska parafialne, mistrzostwa diecezjalne i inne formy aktywności. Był trenerem w Szkole Mistrzostwa Sportowego przy Technikum Budowlanym w Krakowie, kard. Franciszek Macharski powołał go także na duszpasterza sportowców archidiecezji krakowskiej. W pracy z młodzieżą ksiądz-olimpijczyk zawsze dbał o to, by sport nie sprowadzał się do rywalizacji, ale był okazją do pracy nad sobą, ćwiczenia hartu ducha, a także odskocznią od codziennych kłopotów i formą aktywizacji dzieci, m.in. z rodzin z problemami alkoholowymi. Po śmierci papieża Jana Pawła II koncelebrował mszę pojednania klubów Wisły i Cracovii. W roku 2005 został jednym z bohaterów kampanii „Mistrzowie sportu, mistrzowie życia” (a także książki pod tym samym tytułem), prowadzonej przez Komitet Krajowy Międzynarodowego Roku Sportu i Wychowania Fizycznego 2005. Sekretarzem komitetu był autor niniejszej książki.

Ksiądz Paweł Łukaszka udziela ślubu w krakowskim kościele św. Antoniego reprezentantom Polski w łyżwiarstwie figurowym: Dorocie Zagórskiej i Mariuszowi Siudkowi, 9 września 2000 r.





FOT. PAWEŁ DE VILLE / EAST NEWS

Ksiądz Paweł Łukaszka i jeden z dwóch Polaków grających w najsłynniejszej hokejowej lidze świata (NHL) Mariusz Czerkawski przed meczem hokejowym Polska – Francja, Oświęcim, 11 kwietnia 2004 r.

A czy myśl o tak dobrze zapowiadającej się karierze sportowej nie była obciążeniem przy podjęciu decyzji, przy odpowiedzi na to powołanie?

Nie. Byłem wdzięczny Panu Bogu, że tyle mi przez tę karierę dał, że mogłem jeździć po świecie, doznawać dobrych emocji, zarabiać. Ale miałem pewność, że jako ksiądz będę lepiej służył. Chciałem się wyciszyć, przygotować do nowej roli. Przede mną było sześć lat przygotowań do kapłaństwa. Uznałem, że to definitywny koniec. Zerwałem z hokejem. Kolegom wydawało się, że zrobiłem się „ważny” i stąd mój dystans, ale byłem jeszcze bardziej z nimi. Modliłem się, śledziłem informacje o meczach.

A po latach stało się coś, czego do dziś nie umiem pojąć! Zabrakło trzeciego bramkarza w Podhalu i zgłosili mnie.

To było już po święceniach?

Tak, inne życie, pierwsza parafia w Brzeszczach. Czasem wyskoczyłem na rowerze do Oświęcimia, żeby pojeździć na łyżwach, także z kolegą bramkarzem z kadry juniorów, Mirkiem Krzemieniem. Potem zaprosili mnie do drużyny oldboyów, za co byłem bardzo wdzięczny. I nagle w '90 roku zostałem zgłoszony do ligi w Podhalu.

Poszedłem po radę do spowiednika, nieżyjącego już ojca Dionizego. Powiedział: „Pawełku, nikogo nie zgorszysz, a nawet pomożesz, jeśli będziesz głosił Ewangelię w środowisku sportowym”. Radziłem się rodziców. Mama powiedziała: „Paweł, jak nie zrobią ci krzywdy, to czym się zajmujesz”. Za to tata miał inne zdanie: „Skończyłeś z hokejem, jesteś księdzem, twoja noga nie powinna stać tam, gdzie jest gra za pieniądze, na meczach ligowych”. „Tato, ja nie będę grał za pieniądze, żadnych pieniędzy!” – zapewniałem.

Dwa głosy za, jeden przeciw.

Podjąłem decyzję wbrew słowom taty. Jednak to on miał rację. Pierwszy mecz w Janowie: Marek Batkiewicz puścił cztery bramki, potem wszedłem ja. Zrozumiałem szybko, że brak mi treningu i obniżam poziom. Miałem dużo szczęścia, puściłem tylko dwie bramki, ale przegraliśmy 5 : 6. Z trybun zaczęli krzyzczeć: „Kapłanie, po co ci te pieniądze”. Młodszy koledzy zwracali się do mnie na lodowisku „proszę księdza”. Starsi pytali podejrzliwie, czy chcę wrócić do ligi, jakby czuli powrót rywala. Nikt nie rozumiał, że podjąłem się tego zadania w geście wdzięczności i pomocy

W Lake Placid odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił!



Ksiądz Paweł Łukaszka (z prawej) i Marek Batkiewicz (olimpijczyk z Albertville w 1992 r.) na nowotarskim lodowisku. 16 listopada 2013 r.

FOT. MICHAŁ ADAMOWSKI / REPORTER / EAST NEWS

klubowi. Ponadto gdzieś w telewizji powiedziano, że „nawet nadprzyrodzone siły księdza Łukaszki nie pomogły wygrać meczu”. Wtedy zrozumiałem, że popełniłem błąd. Miejsce księdza jest przede wszystkim we wspólnocie – z Jezusem, z wierzącymi.

Po tym epizodzie nie rozstał się jednak ksiądz ze sportem?

Grałem jeszcze do 35. roku życia mecze oldboyów. Zauważyłem z czasem, że atmosferę rozgrywek psują zbyt wygórowane ambicje. W sporcie jest wiele chwil,

kiedy łatwo się pogubić. Staralem się pomóc kolegom w sferze etycznej, duchowej. Oczywiście bez moralizowania na siłę. Każdy system wartości ma swoją strukturę. Gdy osunie się fundament, czyli wartości najwyższe, absolutne – także dla ludzi niewierzących – to wcześniej czy później wszystko się zawali.

Następnie przez 21 lat byłem prezesem Małopolskiego Związku Parafialnych Klubów Sportowych. To jest moje wielkie doświadczenie. Zobaczyłem, że jeżeli my, jako ludzie Kościoła, wchodzimy w struktury świeckie, laickie i jeżeli jesteśmy przez te struktury wspierani finansowo i organizacyjnie, to wcześniej czy później laicyzujemy się. Rzadko przebiega to odwrotnie.

To ciekawa i odważna obserwacja.

Kiedy udało nam się stworzyć Małopolski Związek Parafialnych Klubów Sportowych, sądziłem, że to pierwszy krok do powstania związku ogólnopolskiego. Oczywiście chodziło o edukację sportową poprzez życie ewangeliczne, wiarę. Zrzeszaliśmy kluby, w których założeniem było, że na pierwszym miejscu stawiamy wychowanie w duchu nauki Pana Jezusa. Wynik sportowy był mniej istotny. Ale do klubów parafialnych zaczęli przychodzić trenerzy, którzy chcieli się wykazywać. Uważali, że Kościół ma fundusze, dzięki którym można tworzyć sport na wysokim poziomie. Wychowanie oparte na nauce katolickiej nie było dla nich integralnym celem.

Zdecydowałem o zamknięciu działalności Związku, żeby jego wcześniejsza praca nie służyła innym celom. Jednak przez ponad dwie dekady zorganizowaliśmy bardzo dużo turniejów, mistrzostw. Były także niezapomniane igrzyska dla uczczenia 2000 lat chrześcijaństwa. Gościliśmy w Krakowie w AWF-ie około 1400 młodych ludzi ze szkół podstawowych, gimnazjów, szkół średnich. Była msza polowa – pierwsza i ostatnia do tej pory w historii AWF-u, turnieje w różnych miejscach Małopolski.

Obserwuje ksiądz polski hokej?

Teraz nie mam wiele czasu. I nie chcę krytykować, ale hokej bardzo podupadł przez to, że wzięli się do niego ludzie, którzy się na tym sporcie nie znają. Roztrwonili kapitał, jakim byli młodzi zawodnicy. Sięgnięto po słabszych trenerów ze Słowacji, z Czech, z byłego Związku Sowieckiego. Oni sprowadzają swoich zawodników, a nasza młodzież szkoli się, dochodzi do wieku juniora i nie ma gdzie dalej trenować, grać. To przykre.

W Lake Placid odmówiłem różaniec, żeby mnie tylko trener nie wystawił!



Ksiądz Paweł Łukaszka (w środku), Andrzej Iskrzycki (z lewej) i wypychający krążek do siatki Krzysztof Podsiadło podczas meczu Olimpijskiej Reprezentacji Podhala Nowy Targ z Olimpijską Kadrą Polski. Nowy Targ, 30 grudnia 2007 r.

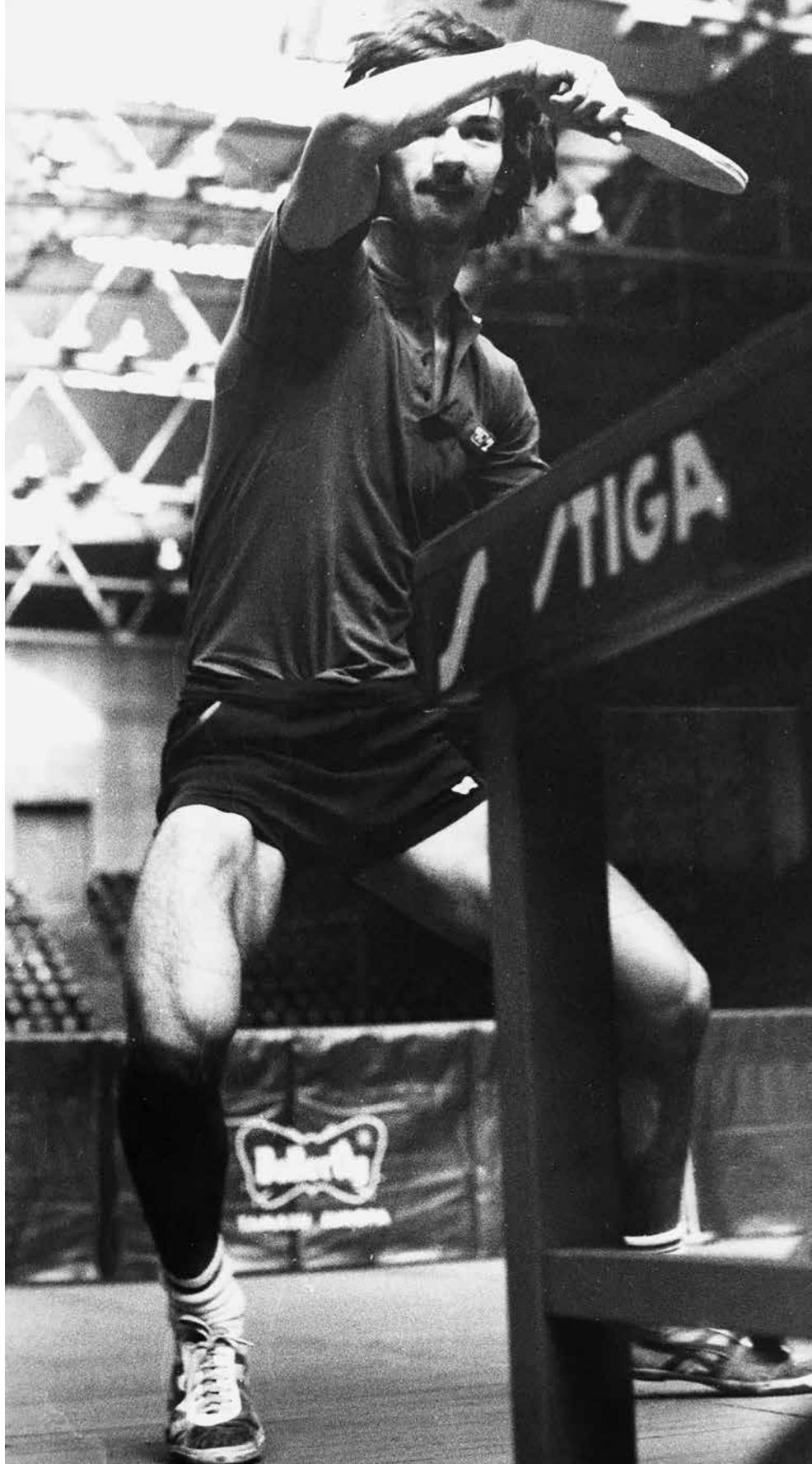
FOT. PAP / GRZEGORZ MOMOT

Czy wraca ksiądz do wspomnień z czasów swojej kariery zawodniczej?

Rzadko, ale zawsze z wdzięcznością. Dziękuję Panu Bogu za te chwile.

A czy ludzie pamiętają księdza obecność w hokeju?

Już raczej nie udzielam się medialnie, chociaż sportowy duch nie gaśnie. Cały czas walczę. Fizycznie, ale i duchowo, bo wiele dokonuje się oczywiście w mięśniach, jednak fundamentem jest świadomość. Nad charakterem trzeba ciągle pracować.



Panowała
taka atmosfera,
że kibice
bali się
przełknąć
ślinę

Rozmowa
z **Leszkiem Kucharskim**

Spędziłem szkolną młodość – czasy transformacji ustrojowej – namiętnie grając w tenisa stołowego w przerwach między lekcjami. I z kolegą, z którym grywaliśmy, dzieliliśmy role tak, że on był Andrzejem Grubbą, a ja Leszkiem Kucharskim.

Wiele razy słyszałem takie historie, to zawsze bardzo miłe. Czasy przemian troszeczkę nam pomogły. Zbyt dużo się wtedy w polskim sporcie nie działo, dzięki czemu łatwiej było zdobyć rozgłos. Byliśmy zawodnikami czołówki światowej. Wprowadziliśmy tenisa stołowego na salony. I rzeczywiście staliśmy się popularni, a Andrzej szczególnie. Miał znakomite wyniki, poza tym bardzo dbał o prasę, był „medialny”. Faktem jest natomiast, że jak graliśmy na przykład mecz superligi, to na trybuny przychodziło 5000 ludzi. Imprezy odbywały się w katowickim Spodku, na Uranii w Olsztynie, na Arenie w Poznaniu. Można powiedzieć, że to już nie wróci, przynajmniej dla tenisa stołowego, bo w dzisiejszych czasach musi pojawić się gwiazda, żeby zgromadzić takie tłumy.

Lubi pan opowiadać, że pierwsze sukcesy sportowe odniósł jeszcze przed narodzeniem, ponieważ pańska mama, Magdalena Skuratowicz, będąc w ciąży, została mistrzynią Polski w tenisie stołowym. Rzecz się działa wczesną wiosną 1959 roku...

...a ja urodziłem się w lipcu '59. Dodam, że mama trzykrotnie była mistrzynią Polski – w '55, '58 i '59, a mój brat, Zbigniew, urodził się w lipcu '55 roku. W związku z tym mama zrobiła ten sam numer dwa razy.

Leszek Kucharski

Urodzony 8 lipca 1959 r. w Gdańsku, tenisista stołowy, dwukrotny olimpijczyk (Seul '88, Barcelona '92), trzydziestoczerokrotny medalista mistrzostw Polski. Razem z Andrzejem Grubbą sprawili, że tenis stołowy zaczął się cieszyć w Polsce bardzo dużą popularnością.

Pierwszy międzynarodowy sukces – brązowy medal mistrzostw Europy juniorów w grze mieszanej (z Jolantą Szatko) – osiągnął w roku 1976. W 1977 r. został mistrzem Europy juniorów w grze pojedynczej. W tym samym roku debiutował na mistrzostwach świata seniorów. W mistrzostwach świata zdobył łącznie trzy medale (srebro i dwukrotnie brąz), w mistrzostwach Europy – cztery (dwukrotnie srebro i dwukrotnie brąz). Jedenastokrotny mistrz Polski. W rankingu światowym najwyżej był klasyfikowany na 11. miejscu.

W swoim premierowym starcie olimpijskim w 1988 r. w Seulu wspólnie z Andrzejem Grubbą dotarł do ćwierćfinału w grze podwójnej. Duet z Grubbą tworzył także podczas olimpiady w Barcelonie w 1992 r.

W latach 1994–2003 prowadził reprezentację Polski juniorów. Jego zawodnicy kilkakrotnie wywalczyli mistrzostwo Europy. W roku 2004 został trenerem reprezentacji Polski junierek (do 2007 r.) i senierek (do 2009 r.). Jego podopieczne zdobyły m.in. brązowy medal mistrzostw świata junierek w turnieju drużynowym w 2007 r. oraz srebrne i brązowe medale mistrzostw Europy junierek. W roku 2012 jako trener reprezentacji Indii brał udział w olimpiadzie w Londynie.

Jest odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi za zasługi w działalności na rzecz rozwoju tenisa stołowego. Obecnie prowadzi Pingpongową Akademię Leszka Kucharskiego.

Matką Leszka Kucharskiego jest tenisistka stołowa, mistrzyni i reprezentantka Polski Magdalena Skuratowicz-Kucharska. Zawodnikami tenisa stołowego byli także brat Leszka Zbigniew (mistrz Polski juniorów) i siostra Małgorzata.

Panowała taka atmosfera, że kibice bali się przełknąć ślinę



Leszek Kucharski z mamą, Magdaleną Skuratowicz-Kucharską.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE LESZKA KUCHARSKIEGO

Pierwsze i trzecie mistrzostwo Polski zdobyła, nosząc panów pod sercem. W takim domu musiał pan być skazany na tenis stołowy?

Gdy pojawia się pytanie, kiedy zacząłem grać, opowiadam tę właśnie historię. Wiem też, że miałem zaledwie dwa tygodnie, gdy mama zabierała mnie w nosidełku na treningi. Wcześniej usłyszałem dźwięk piłeczki. Czyli po prostu gram całe życie.

Chciałbym zapytać o dwie trenerki – pana mamę i Barbarę Kowalską, która też zaistniała na arenie międzynarodowej. Czy to one ukształtowały pana jako zawodnika?

Obie bardzo dla mnie ważne. Mama nie widziała niczego poza tenisem stołowym. Jak miałem jakąś dwóję, czyli najniższy wtedy stopień, nawet na semestr, to dla niej nie było ważne. Liczyło się, czy jadę na trening, zawody, obóz. Mama tym żyła i uważała, że mogę daleko zajść. Pałeczkę przejęła Basia Kowalska. Kobieta z pasją i ogromną wiedzą, dociekliwością. Gdybym nie trafił na Basię, nie doszedłbym aż tak daleko. Wiele osób spotkałem na swojej drodze sportowej, ale tym dwóm zawdzięczam najwięcej.

Gdy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy w Gdańsku, a salę mieliśmy w Gdyni. Pamiętam wyprawy na trening – jazda kolejką, łapanie taksówki, cztery, pięć godzin na sali, ponad sześć godzin w klubie, znów dworzec kolejowy. Wracało się o 22:00.

Mój brat był mistrzem Polski juniorów w tenisie stołowym, niektórzy nawet mówili, że miał większy talent sportowy niż ja. Ale potrzebny jest też talent do pracy. Jestem, jak na tenisistę stołowego, bardzo wysoki. Mam teoretycznie większy zasięg rąk, ale te warunki generalnie mi przeszkadzały. Mam jednak w genach to, że lubię walczyć. Wyrosliśmy z Andrzejem Grubbą przede wszystkim na rywalizacji. Chęć współzawodnictwa wpływa na zaangażowanie na treningach, ich intensywność, jakość. A to się potem przekłada na wyniki.

Pan od dzieciństwa zajmował się grą. Zupełnie inaczej było w przypadku Grubby, którego pana mama odkryła dość późno.

Tak, nawet w tamtych czasach zaczynało się dużo wcześniej. Andrzej był w ogóle wyjątkowy, po pierwsze niesamowicie sprawny, po drugie – leworęczny. W piłkę ręczną grał lewą ręką, kopał lewą i prawą, oszczepem rzucał lewą. A w ping-ponga grał prawą. Czyli pracowały mu obie półkule. Pewnie dlatego, mimo że zaczął tak późno, doszedł tak daleko. Był ewenementem w czołówce tenisa stołowego.

Panowała taka atmosfera, że kibice bali się przełknąć ślinę

Grubbomania

W 1982 r., w ponurym czasie stanu wojennego, mistrzem Europy w tenisie stołowym (razem z Holenderką Bettine Vriesekoop) został Andrzej Grubba. Organizatorzy odegrali Mazurka Dąbrowskiego dla drobnego i niepozornego Polaka, a w jego ojczyźnie wybuchła prawdziwa grubbomania. Za sprawą nowej gwiazdy tenis stołowy z niszowej dyscypliny stał się źródłem radości i dumy tysięcy Polaków.

Na mecze Andrzeja Grubby przychodziły tysiące kibiców, ulice wyludniały się podczas transmisji rozgrywek z jego udziałem. Emocji dostarczała także sportowa rywalizacja Andrzeja Grubby i Leszka Kucharskiego. W ciągu 16 lat kariery zawodniczej Grubba zdobył 15 medali mistrzostw świata i Europy. Trzy razy wystąpił na igrzyskach olimpijskich – w roku 1988 w Seulu, 1992 w Barcelonie i 1996 w Atlancie – jednak nigdy nie udało mu się awansować do strefy medalowej. Zmarł na nowotwór w roku 2005.



FOT. MECZYŚLAW ŚWIDERSKI / NEWSPIX.PL

Wasze kariery trwale się połączyły.

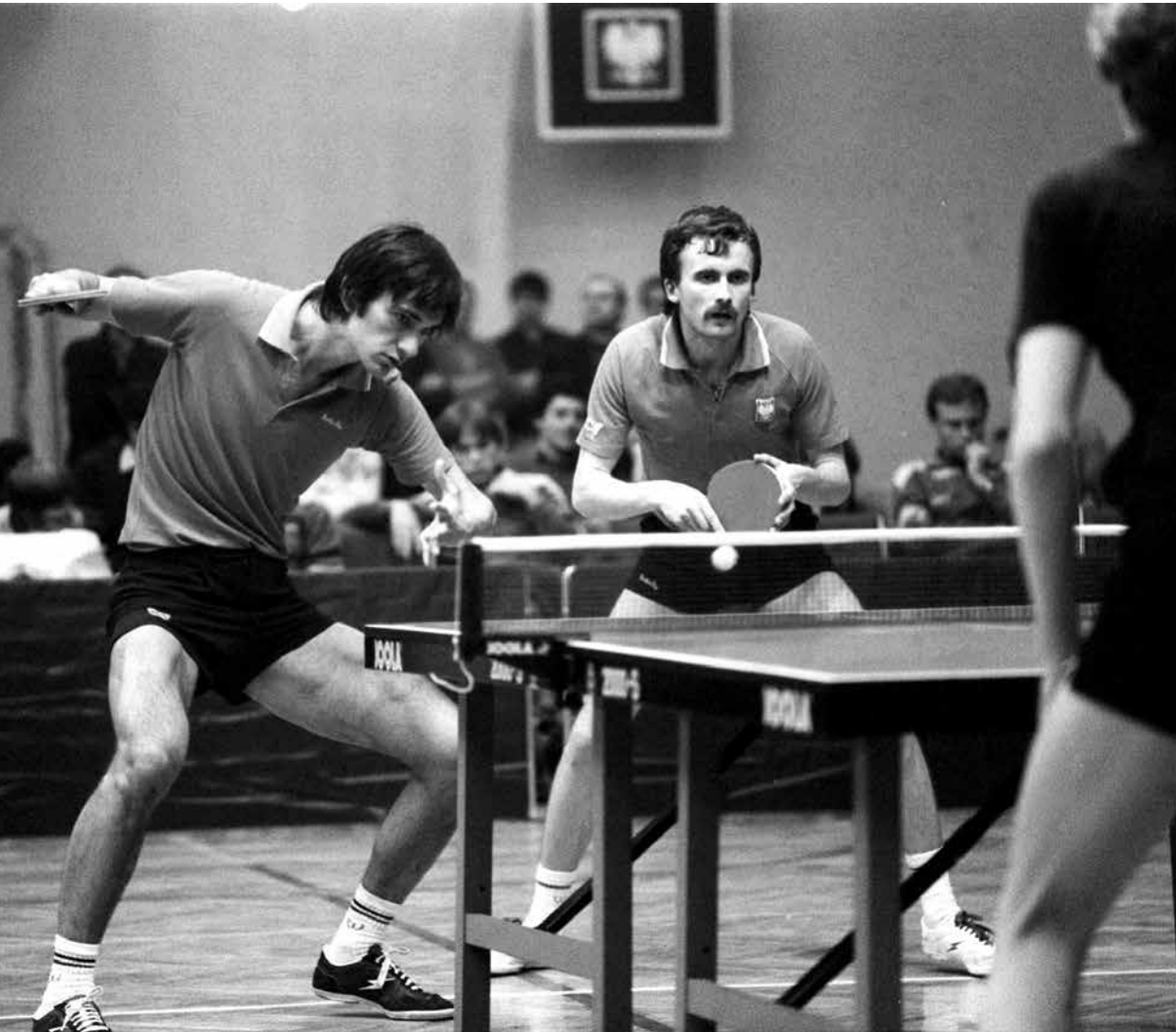
Życie dało nam taką możliwość. Andrzej był wybitnie utalentowany, ja – nad wyraz obdarzony zdolnościami, jeśli idzie o rękę, czucie piłki. Złapaliśmy się w jednym klubie i dzięki temu obaj doszliśmy wyżej. Często padało pytanie, jak potoczyłyby się moje losy bez Grubby. Może nie zdobyłbym mistrzostwa Polski indywidualnie dwa razy, tylko dwanaście? Odpowiadałem, że może i tak, ale wtedy nie byłbym wicemistrzem świata, nie znalazłbym się w czołowej dziesiątce na świecie, tylko w trzydziestce albo w czterdziestce. I Andrzej również tak daleko by nie zaszedł. Jak wspominałem, podstawą naszego rozwoju była rywalizacja. Przyszedł, jak miał 15 lat, z czasem ta chęć współzawodniczenia rosła. Kiedy już jako 20-latkowie rywalizowaliśmy na treningu na punkty, panowała taka atmosfera, że obserwujący bali się przełknąć ślinę. Pamiętam taką historię: graliśmy europejskie Top 12, dwunastu najlepszych, dwanaście gier; każdy z każdym przez trzy dni, piątek, sobota, niedziela. I wymyśliliśmy, że dzień przed turniejem będziemy zawsze grali taką partyjkę, żeby wejść w turniej rozgrywanym. Przychodzi czwartek i oczywiście jak to my – gramy, klniemy, prawie łamiemy rakiety. Wchodzą Szwedzi: Jan-Ove Waldner i Mikael Appelgren. Patrzą na naszą zaciętą walkę i mówią: „Panowie, chyba spóźniliśmy się na turniej”.



Leszek Kucharski
(z lewej) i Andrzej
Grubba podczas turnieju
kwalifikacyjnego na
igrzyska olimpijskie
w Barcelonie. Gdańsk,
23 lutego 1992 r.

A czy ta rywalizacja przekładała się na relacje osobiste?

Andrzej był kumplem, z którym zawsze konkurowałem. Byliśmy pod wieloma względami zupełnie inni. Kiedy spaliśmy w jednym pokoju, co często zdarzało się podczas rozgrywek międzynarodowych, to Andrzej nie mógł mieć światełka prześwitującego przez zasłony, a ja znowu źle się czułem przy zasłoniętych oknach. Ale chętnie spędzaliśmy razem sylwestra, zawsze pomagaliśmy sobie w życiowych sprawach.



Leszek Kucharski (z lewej) i Andrzej Grubba podczas meczu na igrzyskach w Barcelonie.

Przypomnijmy moment, który w pana karierze sportowej i w karierze Andrzeja Grubby mógł być przełomowy, czyli Seul '88. Z jakimi emocjami, z jakimi oczekiwaniami jechali panowie na igrzyska?

Byliśmy nieco rozgoryczeni, że dopiero pod koniec naszej kariery tenis stołowy wszedł do programu olimpijskiego. Miałem 29 lat, Andrzej 30. Troszeczkę wcześniej byliśmy u szczytu formy. Obaj znaleźliśmy się w szesnastce. Andrzej przegrał z Jörgenem Perssonem 1 : 3, ja przegrałem z Janem-Ove Waldnerem. I ten decydujący mecz – prowadziłem 2 : 1, miałem duże szanse na wygranie tego pojedynku, przede mną była perspektywa gry z wicemistrzem olimpijskim, Koreańczykiem, z którym właściwie nigdy nie przegrywałem. No ale prowadziłem tam 2 : 1 i gdy przy wyniku 17 : 16 zagrałem rywalowi taką niesamowitą piłkę, on spokojnie mi ją skontrował. Nie miałem szczęścia. A największa porażka – że tak powiem – życiowa to gra w debla.

Wystarczyły dwie piłki, a mielibyście medal!

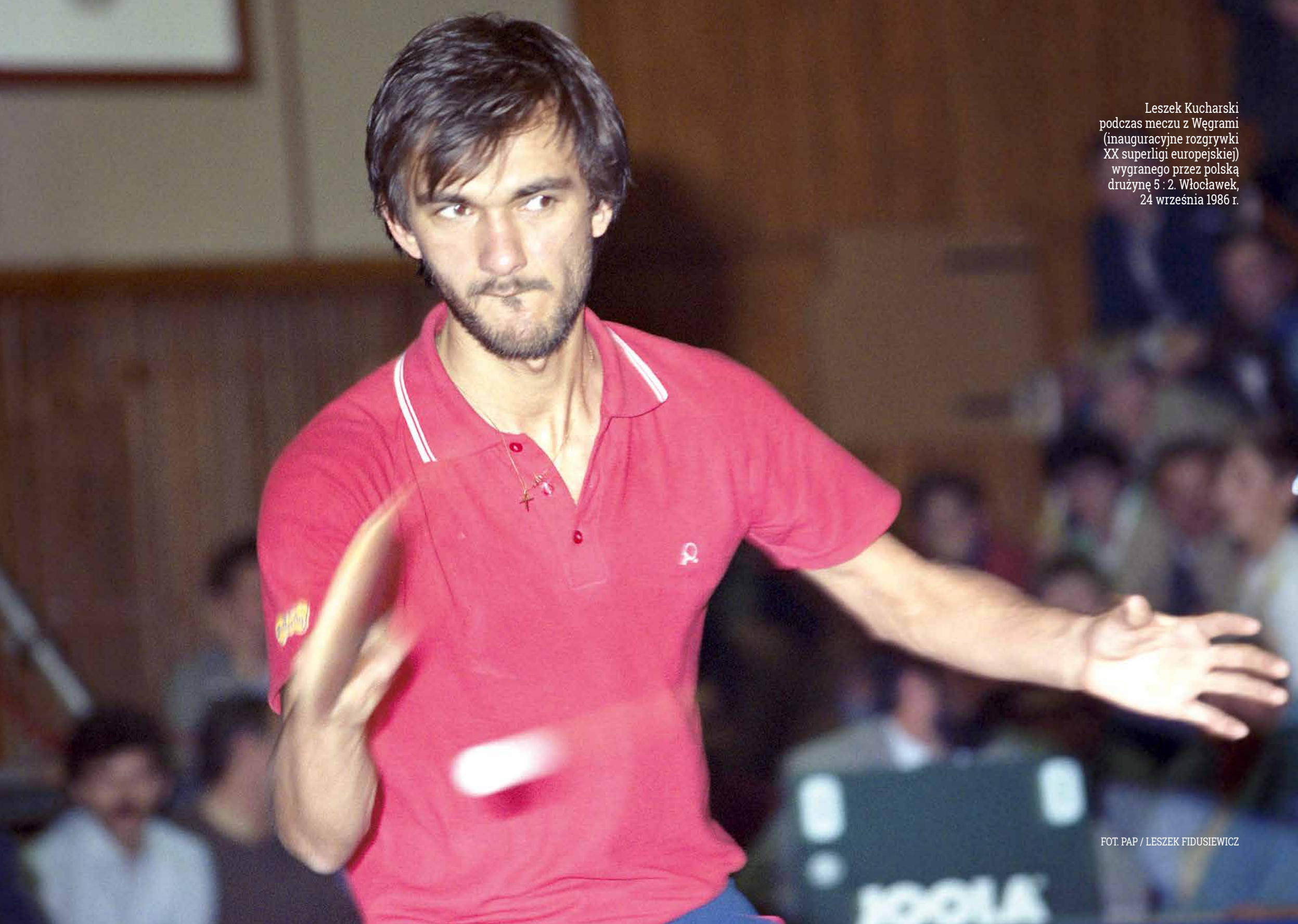
Olimpijskie podium to było to, czego brakowało nam najbardziej.

Jest coś niesprawiedliwego w tym, że igrzyska wypadają w jakimś określonym czasie. Wystarczy chwila niedyspozycji, dekoncentracji. Wraca pan do tego momentu? Do feralnego 20 : 19?

Nie pamiętam akcji ani piłek, czasem wracam do samej sytuacji. Po prostu żal. Ale może trzeba wychować młodszego zawodnika, żeby zdobył laury, które nas ominęły.

Debiutowali panowie na igrzyskach rzeczywiście tuż przed trzydziestką. Ale cztery lata później była Barcelona '92 i zapewne nadzieja, że uda się odwojować Seul?

Tam ponieśliśmy najbardziej dotkliwą porażkę w debla, bo graliśmy o ćwierćfinał z mistrzem świata Jean-Philippe'em Gatiennem. Prowadziliśmy 1 : 0, 20 : 11. Mieliliśmy dziewięć meczboli. Szczerze mówiąc, sam nie wiem, jak to mogliśmy przegrać. Bardzo bolesne przeżycie. To nie był nasz optymalny wiek, to nie była nasza optymalna dyspozycja. No ale walczyliśmy dzielnie.



Leszek Kucharski
podczas meczu z Węgrami
(inauguracyjne rozgrywki
XX superligi europejskiej)
wygranego przez polską
drużynę 5 : 2. Włocławek,
24 września 1986 r.

Polacy z pucharem za zwycięstwo w XIX edycji superligi. Od lewej: Andrzej Grubba, Piotr Molenda, Stefan Dryszel, Jolanta Szatko-Nowak, trener Adam Giersz, Zbigniew Liszewski i Leszek Kucharski. Włocławek, 24 września 1986 r.





Dwa słynne pingpongowe duety – Polacy: Leszek Kucharski i Andrzej Grubba, oraz Szwedzi: Mikael Appelgren i Jörgen Persson.

W tym meczu zdarzyło się coś jeszcze. Udało się wam zdobyć zwycięski 22. punkt, ale pan zgłosił, że nie zagrał czysto.

Tak, zdobyliśmy punkt pod koniec gry. I ja się przyznałem do czegoś, czego praktycznie nikt nie widział. Zrobiłem to, bo byłem i jestem zawodnikiem fair play, po prostu takim człowiekiem. Nawet się długo nad tym nie zastanawiałem i nie rozpałmiuję tego. Nie ma dyskusji.

Już po zakończeniu kariery prawie przez dekadę prowadził pan reprezentację Polski juniorów. Mieszkałem wtedy w Zielonej Górze i często oglądałem mecze pańskiego wychowanka Daniela Góranka, rocznik 1983.

W 2001 r. został mistrzem Europy juniorów w singla. W 1999 i 2000 r. zdobyliśmy złote medale w drużynie. To był mój najlepszy czas w życiu jako trenera. Wybrałem 10 chłopców, z którymi potem przez 4, 5 lat trenowało się codziennie, 10 miesięcy w roku. I dojście z 22. miejsca do mistrza Europy juniorów to była satysfakcja. Życzę każdemu trenerowi, żeby osiągnął podobne wyniki.

Są zawodnicy, często wybitni, którzy nie są w stanie swojego talentu, doświadczenia i swoich sukcesów przełożyć na sukces trenerski. Panu przyszło to łatwo.

Miałem 34 lata, jeszcze grałem w ekstraklasie. Wtedy zwróciłem się do prezesa związku, Adama Giersza, z pomysłem trenowania. Zaczął narzekać, że nie ma na to pieniędzy, ale przekonałem go, że nie pieniądze są najważniejsze. W pierwszym roku zarabiałem 500 złotych miesięcznie. W drugim 2000, w trzecim 2500, w czwartym 3000. Prawda jest taka, że pieniędzy było i będzie zawsze w bród – kwestia tylko, na co się je wydaje.

W drugim roku mojej pracy powstał ośrodek, w którym pracowało 10 osób. No i doszliśmy do tytułu mistrzów Europy, a po drodze zdobyliśmy jeszcze z 10 medali na mistrzostwach Europy juniorów, pracując przez 11 miesięcy rocznie non stop. Wraz z trenerem Jarkiem Kołodziejczykiem jesteśmy ojcami tego sukcesu. Codziennie 10–12 godzin w sali – jeden trening, drugi, czasami trzeci. Serce na stół. Na pewno popełniałem także błędy, ale zawodnicy widzieli moje zaangażowanie i sposób nawiązywania kontaktu.

Panowała taka atmosfera, że kibice bali się przełknąć ślinę

Później został pan trenerem kadry kobiet. Też z sukcesami medalowymi.

Na mistrzostwach świata junierek zajęliśmy trzecie miejsce. Dziewczyny w seniorkach, Xu Jie z Natalią Partyką, zdobyły medal w deblu na mistrzostwach Europy seniorów w Moskwie. Tak że było trochę tych sukcesów.

Natalkę wyciągnąłem z klubu do ośrodka, kiedy prowadziliśmy właśnie juniorów. Miałem też prywatną szkółkę, w której nauczyłem grać Renatę Krawczyk, późniejszą trzykrotną mistrzynią Polski. Można być nie wiadomo jakim trenerem, jednak w tenisie stołowym wiek zawodnika jest najistotniejszy, to pierwszy krok do sukcesu. Gdyby Partyka nie zaczęła trenować w wieku 10 czy 11 lat, jej kariera mogłaby się potoczyć inaczej.

Wychowankowie Leszka Kucharskiego

Po zakończeniu kariery przez blisko dekadę (lata 1994–2003) Leszek Kucharski prowadził reprezentację Polski juniorów w tenisie stołowym, a jego wychowankowie osiągnęli znaczące sukcesy. Pod kierunkiem Kucharskiego **Daniel Górank** w roku 2001 został mistrzem Europy juniorów indywidualnie i w grze podwójnej, a w karierze seniorskiej pięciokrotnie sięgnął po tytuł indywidualnego mistrza Polski. Zdobył srebro (Budapeszt 2016) i brąz (Belgrad 2007) mistrzostw Europy, w 2016 r. brał udział także w olimpiadzie w Rio de Janeiro. Dużymi sukcesami cieszyli się również **Bartosz Such** i **Jakub Kosowski**.

Leszek Kucharski porzucił pracę z juniorami w roku 2004 na rzecz trenowania reprezentacji Polski kobiet. Trafił na wybitny talent – **Natalię Partykę**. Kucharski wielokrotnie wspomina w wywiadach o satysfakcji, jaką dawała mu praca z tą wybitną sportsmenką, ale również skromną, waleczną i pogodną osobą. Natalia Partyka urodziła się bez prawego przedramienia, jednak talent i umiejętności tenisowe pozwalają jej na udział w igrzyskach zarówno olimpijskich, jak i paraolimpijskich. Z tych ostatnich przywozła sześć złotych medali (z Aten, Pekinu, Londynu, Rio de Janeiro – dwa, Tokio), dwa srebrne (z Aten i Pekinu) i dwa brązowe (z Londynu i Tokio). Jest także czterokrotną mistrzynią świata i wielokrotną medalistką mistrzostw Europy.

Wychowanicą Leszka Kucharskiego jest także **Natalia Bąk**, popularna dziennikarka sportowa, a wcześniej kilkukrotna medalistka mistrzostw Europy i świata kadetek i junierek, drużynowa mistrzyni Polski, często występująca w parze z Natalią Partyką.



FOT. PIOTR KUĆZA / NEWSPIX.PL

Natalia Partyka i Leszek Kucharski podczas międzynarodowego turnieju tenisa z cyklu ITTF Pro Tour. Warszawa, 29 listopada 2008 r.

Jak doszło do tego, że znalazł się pan później w dość egzotycznych z polskiego punktu widzenia krajach – w Indiach, Azerbejdżanie?

Okoliczności były dość przykre. Prowadziłem kadre kobiet, ale postanowiono wstępnie o zmianie trenera. Poszedłem na operację kręgosłupa, licząc, że po powrocie przygotuję się przez kilka miesięcy do odejścia. Tymczasem czekało na mnie natychmiastowe wypowiedzenie. Jakbym sobie ten kręgosłup przy kartach zepsuł! Podałem związek do sądu, wygrałem sprawę, powróciłem do pracy. Tylko po to, żeby samemu zrezygnować. A kiedy trafił się kontrakt w Indiach, pojechałem.

Pracował pan z reprezentacją, która zakwalifikowała się na igrzyska w Londynie w 2012 r.

Tak. Byłem na otwarciu igrzysk w turbanie! Niektórzy nawet mnie w nim nie poznali. Wcześniej dziewięć miesięcy prowadziłem w Indiach reprezentację mężczyzn i kobiet. Cykl pracy był dość nietypowy: 10 dni zgrupowania, 10 dni zawodów i 10 dni przerwy. No i potem przygotowania do Londynu. To był najdłuższy wyjazd w historii mojej kariery sportowej, 44 dni poza domem. Najpierw zgrupowanie przygotowawcze, potem wylot do Europy, znowu dwutygodniowy obóz, mistrzostwa.

Po Indiach był Azerbejdżan.

Też egzotyczny kraj, specyficzny, ale z pewnością piękny. Byłem tam trenerem półtora roku, dojeżdżałem na zgrupowania albo spotykaliśmy się w Polsce.

Dzisiaj prowadzi pan Pingpongową Akademię Leszka Kucharskiego. Na czym polega działalność Akademii i jak pan się odnajduje w tej roli?

Już od 20 lat organizuję wakacyjne obozy szkoleniowe w ramach Akademii. To prywatne przedsięwzięcie, spotkania odbywają się w Górowie Iławeckim. Mamy 26 stołów, pracujemy od końca czerwca do końca sierpnia. Przyjeżdżają zawodowcy i amatorzy, dzieci i dorośli. W ubiegłym roku założyłem także fundację, bo całe moje życie związane było ze sportem zawodowym. Organizowanie obozów to kontynuacja pracy i pasji. Pracowałem wiele lat jako trener kadry z zawodowcami, mam doświadczenie, wiedzę, kontakty, nazwisko. Pomyślałem, że zakładając fundację, mógłbym z moim dorobkiem i moją pozycją powalczyć o to, aby wychować następcę Grubby u Kucharskiego.



Leszek Kucharski w pojedynku z Jean-Michelem Saive'em podczas turnieju Grubba Polish Champions. Białystok, 6 kwietnia 2014 r. FOT. PAP / ARTUR RESZKO

A czy z taką samą przyjemnością, jak na samym początku swojej drogi, sięga pan po raketkę?

Już co prawda nie trenuję, ale raketkę zawsze mam przy sobie. Jeszcze w ubiegłym roku grałem w czwartej lidze.



Rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu publiczność była już tylko ze mną

Rozmowa
z **Renatą Mauer-Różańską**

Wzrastała pani w szczególnej atmosferze. Dziś rzadko zdarzają się rodziny, w których jest ośmioro dzieci.

Tak. Urodziłam się jako siódme dziecko. Wcześniej przyszły na świat moje trzy siostry: Grażyna, Elżbieta, Teresa, potem trzej bracia: Włodzimierz, Waldemar, Grzegorz, wreszcie ja, a trzy lata później urodziła się jeszcze moja młodsza siostra, Agnieszka. Spora różnica wieku między nami sprawiła, że najlepszy kontakt miałam z młodszym rodzeństwem. Byliśmy bardzo kochającą się rodziną. Nasze relacje pozbawione były wzajemnej zazdrości. Wszyscy czuliśmy, że tata i mama traktują każde z nas jednakowo. Rodzice nauczyli nas szacunku do siebie nawzajem i do innych. To jedna z najważniejszych cech, które zawdzięczamy rodzicom. Procentuje to dzisiaj dobrymi relacjami z innymi ludźmi.

Czy już w dzieciństwie interesowała się pani sportem?

Nie. Lubiłam się uczyć, czytać książki, malować, chętnie pomagałam koleżance, która nie dawała sobie rady w nauce. Sport? Lubiłam grać w piłkę, biegać, sam ruch sprawiał mi przyjemność. Ale kiedy zaczynała się gra na punkty, przestawało mnie to bawić.

Zazwyczaj o tym, że zaczyna się czyjaś pasja sportowa, decyduje właśnie gen rywalizacji. Ta chęć, żeby być od kogoś lepszym, skoczyć wyżej, dalej...

Nawiązuje pan do motta olimpijskiego, choć w powszechnej interpretacji tego, co mówił Pierre de Coubertin, widzę pewną niekonsekwencję. Wszyscy skupiają się

Renata Mauer-Różańska

Urodzona 23 kwietnia 1969 r. w Nasielsku, zawodniczka specjalizująca się w strzelaniu z karabinku pneumatycznego i karabinu kulowego w trzech postawach i w postawie leżącej. Dwukrotna mistrzyni olimpijska (1996, 2000), z Atlanty przywiozła także brąz.

Początkowo interesowała się ping-pongiem, jej talent strzelecki został odkryty dopiero w szkole średniej. Trenowała w ZKS-ie Warszawa i WKS-ie Śląsk Wrocław. Na swoich pierwszych igrzyskach olimpijskich w Barcelonie (1992) nie zdobyła medalu. Do Atlanty pojechała kilka miesięcy po urodzeniu córki Natalii. Dwa zdobyte wówczas krążki przyniosły jej ogromną popularność, a rok 1996 okazał się pasmem sukcesów, m.in. została uznana za najlepszą strzelczynię świata i zwyciężyła w plebiscyście czytelników „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca Polski.

Dwukrotna wicemistrzyni świata senierek (1990, 1998), zdobyła także brąz (1994). W mistrzostwach Europy sięgała dwukrotnie po złoto, dwa razy po srebro i dwa razy po brąz. Zdobywczyni kilkudziesięciu medali mistrzostw Polski, w tym 43 złotych. Karierę sportową oficjalnie zakończyła w 2014 r.

Absolwentka Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. W 2005 r. uzyskała dyplom trenera klasy drugiej w strzelectwie sportowym we wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego, a następnie uzupełniła go o studia podyplomowe w dziedzinie technik relaksacyjnych. W 2006 r. została nauczycielem akademickim na AWF-ie, a później także w Dolnośląskiej Szkole Wyższej. W latach 2010–2018 była radną Rady Miejskiej Wrocławia. Jest aktywną propagatorką sportu.

Rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu publiczność była już tylko ze mną

na wątku dotyczącym bicia rekordów, a Coubertin wychodził z założenia, że bez dążenia do tego, by wygrać, nie będzie dążenia do tego, by być lepszym. Według niego rywalizacja miała pomóc sportowcom w rozwoju nie tylko fizycznym, ale również intelektualnym, kulturalnym. Igrzyska olimpijskie miały służyć współzawodnictwu i temu, żeby ludzie z całego świata mogli wzajemnie poznawać obce kultury, zwyczaje. Dzięki poznaniu i akceptacji nie byłoby tylu konfliktów na świecie.

Szybciej, wyżej, mocniej – czyli idee olimpizmu

Citius, altius, fortius (łac. szybciej, wyżej, mocniej) to oficjalne motto Międzynarodowego Ruchu Olimpijskiego. Autorem tych słów jest francuski pedagog i kaznodzieja dominikański Henri Didon, przyjaciel Pierre'a de Coubertina, wskrzesiciela starożytnych idei olimpijskich i założyciela Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Sam baron de Coubertin uważał sport i wysiłek fizyczny nie tylko za drogę do hartowania zdrowia, ale także – przede wszystkim – za sposób doskonalenia charakteru i wychowania nowych pokoleń w duchu pokoju.

Koncepcje Pierre'a de Coubertina trafiły na podatny grunt. Odkrycia archeologiczne XIX wieku odsłaniały świat antycznych Greków i Rzymian w całym jego bogactwie, pokazywały piękno herosów i przemawiały do wyobraźni. Aby nawiązać do tradycji starożytnych igrzysk, na czas których w całej Helladzie zawieszano wojny i spory, pierwszą nowożytną olimpiadę zorganizowano w Atenach, a oficjalnej inauguracji dokonał król Grecji Jerzy. Baron de Coubertin sam zaprojektował olimpijską flagę – pięć splecionych ze sobą kół w różnych kolorach, symbolizujących poszczególne kontynenty i ich mieszkańców. Ciągłość antycznej tradycji miał symbolizować ogień, przenoszony ze świątyni przy stadionie w Olimpi. Zawodnicy zmagali się w dziewięciu dyscyplinach: lekkoatletyce, gimnastyce, pływaniu, podnoszeniu ciężarów, strzelectwie, szermierce, kolarstwie, tenisie i zapasach.

Reprezentacja Polski uczestniczy w igrzyskach olimpijskich od roku 1924 (Paryż), choć Polacy brali udział w zmaganiach już wcześniej, gdy kraj był pod zaborami. Pierwszy medal olimpijski dla niepodległej Polski, srebro, wywalczyła 27 lipca 1924 r. drużyna kolarzy torowych: Franciszek Szymczyk, Jan Łazarzski, Józef Lange i Tomasz Stankiewicz. Kilkaście minut później Adam Królikiewicz zdobył indywidualnie brąz w jeździeckim konkursie skoków. Pierwszy złoty medal przywiozła z Amsterdamu Halina Konopacka (1928 r.).



Baron Pierre de Coubertin.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Gdyby młodej Renacie, zaczynającej naukę w liceum zawodowym o profilu renowacji zabytków architektury, powiedział ktoś, że będzie mistrzynią olimpijską, uwierzyłaby?

Na pewno nie! Może z powodu mojego niedużego wzrostu nie interesowała mnie rywalizacja sportowa? Rówieśnicy byli ode mnie sporo wyżsi. Tymczasem w liceum na lekcji przysposobienia obronnego odbywały się zajęcia ze strzelania. Okazało się, że szybko zaczęłam lepiej strzelać od tych, którzy trenowali już od dłuższego czasu – i tak wszystko się zaczęło.

Nasz trener, pan Zdzisław Stachyra, uwielbiał fotografię. Robił fantastyczne zdjęcia, a fotografie strzelców, mistrzów Polski, wieszał na ścianach w strzelnicy, która mieściła się w szkolnym schronie. Do tej pory pamiętam te zdjęcia. Byłam zafascynowana tym, że to strzelcy tego samego trenera, z którym i ja pracuję. W przeszłości zdobywali tytuły mistrzów i wicemistrzów kraju. To wtedy zaświtała we mnie myśl o mistrzostwach Polski.

Przede wszystkim jednak strzelectwo sprawiało mi przyjemność i dlatego zaczęłam trenować. Koncentracja na każdym strzale, skupienie, precyzja – z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że była to dla mnie forma medytacji. Podczas strzelania towarzyszyły mi ciekawe przemyślenia. Miałam nawet notes na stanowisku, w którym zapisywałam sobie te złote myśli. Wiadomo, że czasem trzeba było więcej trenować, pojawiała się zmęczenie, ale treningi stanowiły dla mnie czas odpoczynku od świata zewnętrznego, były formą relaksu, odskocznią od codzienności. Oczywiście przed zawodami musiałam bardziej się skupić, szlifować drobiazgi.

W porównaniu z innymi dyscyplinami strzelectwo wydaje się niezwykle statyczne. Co jest istotą treningu w tym sporcie?

W strzelectwie ważne jest to, żeby ustawić się do tarczy w odpowiedni sposób. Z punktu widzenia biomechaniki nad postawą pracujemy przez całe życie, ale w przypadku tej dyscypliny chodzi o właściwe ustawienie stóp w postawie stojącej, ułożenie łokcia na kości biodrowej, podporę pod karabinem na lewej dłoni w przypadku osób praworęcznych, potem ułożenie policzka na kolbie, ustalenie odległości od przyrządów celowniczych, idealne ściągnięcie języka spustowego... Jak w każdym sporcie, istotne jest to, by ćwiczenia wykonywać systematycznie i z dużą powtarzalnością. Utrwalenie odpowiedniej postawy jest fundamentem dalszych działań.

Rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu publiczność była już tylko ze mną



Nasielsk – rodzinna miejscowość Renaty Mauer.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kolejne działania różnią się jednak od tego, co jest typowe dla lekkoatletyki, pływania czy sportów walki – tam bez napięcia mięśni nie ma szybkości, wytrzymałości. W dyscyplinach czysto technicznych i statycznych, takich jak strzelectwo, jest odwrotnie – w chwilach silnych emocji trzeba umieć rozluźnić i napinać pewne partie mięśni. To pomaga oddać precyzyjny strzał. Trzeba mieć po prostu żelazne nerwy. To zresztą pomaga na co dzień.

A jaka jest funkcja usztywnionego strzeleckiego stroju?

Zaczęłam trenować w '85 roku, to był czas kryzysu gospodarczego. Strzelałam w miękkim stroju i bardzo szybko osiągałam coraz lepsze wyniki. Tamten strój nie wyglądał ładnie, miał ze dwadzieścia parę lat, strzelali w nim wcześniej inni młodzi zawodnicy. Stroje lepszej jakości można było kupić tylko za dewizy, ale wartość dolara była tak wysoka, że nie było nas na nie stać. W Związkowym Klubie Strzeleckim Warszawa mieliśmy za to dużo broni, amunicji i zapasy z lepszych czasów. Do tej pory pamiętam, że jeden nabój kosztował około dwóch złotych. To dużo, zważywszy, że na treningu musieliśmy oddać około 100 strzałów z ostrej amunicji, jeżeli trenowaliśmy z karabinka sportowego, a taki był wtedy standard. Strzelanie z wiatróvky było o wiele tańsze, ponieważ śrut nie był taki drogi. Właściwie cały sprzęt, wyposażenie, karabinki trzeba było kupować na Zachodzie. W Polsce nie było producentów.

W tych nowych, fińskich strojach jako pierwsi wystartowali bodajże zawodnicy z Czechosłowacji na mistrzostwach w '86 roku. Zdobyli mnóstwo medali. Okazało się, że stroje pozwalają na osiągnięcie około 10 punktów więcej. Oczywiście występowali w nich po prostu dobrzy zawodnicy, ale strój i tak okazał się bardzo pomocny. Dzięki niemu mniej obciąża się kręgosłup, więc lepsza jest statyka broni, można strzelać szybciej, łatwiej. To przekłada się na punkty. Zawodnik mniej się też męczy.

Czy ten pierwszy strój, który przygotowano specjalnie dla pani w Finlandii, okazał się istotnym elementem na drodze do sukcesu?

Kiedy wprowadzono nowe stroje, Polski Związek Strzelectwa Sportowego kupił tylko jeden egzemplarz – dla najlepszego zawodnika seniora. Pozostali strzelcy takich strojów nie mieli. Kiedy włożyłam mój własny, najpierw spojrzałam w lustro. Przede wszystkim wyglądałam ładnie! Ponadto strój był w takich kolorach, w jakich go sobie zaprojektowałam, ponieważ każdy zawodnik mógł dobrać kolorystykę. Producent oczywiście wcześniej mnie zmierzył, bo nie da się uszyć stroju bez przymiarki. Kurtka jest szyta tak, że rękaw pozostaje zgięty. Po co szyc wyprostowany rękaw, skoro z wyprostowaną ręką się nie strzela? Chodzi o to, żeby nie było ucisku w zgięciu łokcia, dlatego materiału pomiędzy ramieniem a przedramieniem musi być jak najmniej. Zresztą strój w całości musi być tak szyty, by oddawać sylwetkę zawodnika w złożeniu do strzału.

Dostępne były dwie wersje strojów. Przechodząc z tego bardzo miękkiego na sztywny, obawiałam się wejścia w ten szyty z dwóch warstw brezentu. Wybrałam delikatniejszy, który podszewkę miał z brezentu, a wierzchnią warstwę ze skóry. Był doskonale dopasowany, ale musiałam nauczyć się w nim strzelać. Po miesiącu treningu zdobyłam srebrny medal na mistrzostwach świata. Przeskok niesamowity!

Z zawodniczki klasowej na poziomie kraju stała się pani zawodniczką mogącą rywalizować na międzynarodowych imprezach. Ale jak w każdej pasjonującej historii dobre zdarzenia przeplatają się ze złymi – nieco wcześniej uległa pani wypadkowi we Wrocławiu. To mógł być koniec kariery.

Tak, to wydarzyło się 12 czerwca '89 roku. Zapamiętałam jedynie, że przed wejściem na jezdnię spojrzałam na zegarek. Była godzina 11:20. Do tej pory nic więcej nie pamiętam z tego zdarzenia. Ocknęłam się w szpitalu, chwilę przed narkozą

Rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu publiczność była już tylko ze mną

i czekającą mnie operacją – doszło bowiem do skomplikowanego złamania nogi z przemieszczeniem. Konsekwencją wypadku był kilkumiesięczny pobyt w szpitalu na rehabilitacji i oczywiście przerwa w treningach. Klub i wojsko okazały bardzo dużo pomocy. Po wyjściu ze szpitala zapewniono mi fizjoterapię, mogłam też korzystać we Wrocławiu z unikalnego urządzenia, które miało przyspieszać wzrost kości. Klub zapewnił mi całodzienne wyżywienie, koledzy przynosili śniadania, wspierali, opowiadali o przemianach, które właśnie dokonywały się w Polsce. Długo poruszałam się o kulach.

Takie doświadczenie może każdego złamać, a zwłaszcza 20-letnią dziewczynę, przed którą otwiera się kariera sportowa...

Patrzyłam na to zupełnie inaczej. Nic w naszym życiu nie zdarza się bez powodu, trzeba tylko umieć go dostrzec. Dla mnie ten wypadek był sygnałem: zatrzymaj się i popracuj nad sobą.

A zbliżały się mistrzostwa Europy, w których miała pani wystartować...

Tuż przed wypadkiem wróciłam z Zurychu z pucharu świata, gdzie uzyskałam bardzo dobre wyniki. W Szwajcarii rozgrywano konkurencje olimpijskie w ramach pucharu świata i jedną konkurencję nieolimpijską jako grand prix. Chodziło o to, żeby dać zawodnikom możliwość większej liczby startów. Właśnie w tej konkurencji nieolimpijskiej zajęłam trzecie miejsce. Byłam juniorką, a startowałam już z seniorkami. Czułam, że jestem w coraz lepszej formie. Wierzyłam, że jeśli pojadę na mistrzostwa Europy, to również osiągnę wysoki wynik. A tu nagle stop!

Ten czas kontuzji po pierwsze nauczył mnie pokory, przypomniał, że nie wszystko zależy ode mnie. Po drugie nauczyłam się pozytywnego myślenia. Przyjaciółka przywoziła mi do szpitala książki, także poświęcone temu, jak radzić sobie w chwilach załamania, kryzysu. Zaczęłam rozumieć, że aby osiągnąć mistrzostwo, nie wystarczy trenować tak, jak robiłam to dotychczas. Uczyłam się metody samoleczenia w wyobraźni przez relaksację, pozytywną wizualizację. Patrzyłam na kalendarz imprez, widziałam, że uciekły jedne zawody, drugie, trzecie, kolejne. Ile jeszcze? Doszłam do takiej wprawy w treningach wizualizacyjnych, że w pewnym momencie czułam się tak, jakbym nadal ćwiczyła. Dzięki temu zdobyłam niesamowicie cenną umiejętność – nauczyłam się przygotowywać mentalnie do startu w zawodach.



Pomimo tych przygotowań Barcelona '92 okazała się nieszczęśliwa dla dwójga wybitnych polskich sportowców – dla Roberta Korzeniowskiego, którego niesłusznie zdyskwalifikowano, i dla pani. Klasyfikacja w drugiej dziesiątce była czymś zdecydowanie poniżej oczekiwań.

Na tych igrzyskach przegrałam z upałem. Nigdy nie dawałam sobie rady w wysokich temperaturach. Wioska olimpijska to było nowo wybudowane osiedle, pomieszczenia nie miały klimatyzacji. Nie mogłam normalnie spać, ciągle było gorąco. Nawet kiedy otwierałyśmy okna, było wilgotno i duszno. Chodziłam spuchnięta i niewyspana.

Olimpijski znicz w Barcelonie.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Barcelona 1992

Igrzyska w Barcelonie były pierwszą olimpiadą po zakończeniu zimnej wojny. Do rodziny olimpijskiej powróciły już niepodległe Litwa i Łotwa, a także zawodnicy z RPA, która zarzuciła politykę apartheidu. Wśród sportowców panowała radosna atmosfera, podsycana gościnnością Hiszpanów i pięknymi krajobrazami Katalonii, a ceremonia otwarcia igrzysk w Barcelonie do dziś jest uważana za jedną z najpiękniejszych.

Entuzjastyczne nastroje dało się odczuć także w reprezentacji Polski – państwa przechodzącego od 1989 r. transformację polityczną. Jednak nie dla wszystkich zawodników igrzyska okazały się udane.

Gorzkie rozczarowanie przeżył Robert Korzeniowski. Polak był w znakomitej formie i pewnie mijał kolejnych współzawodników, jednak 500 m przed metą został niesłusznie zdyskwalifikowany. Korzeniowski mocno przeżył decyzję sędziego, ale porażka tylko go zahartowała. Na kolejnych igrzyskach, w Atlancie w 1996 r., rozpoczęła się złota seria jego zwycięstw.

Zapewne wyjeżdżała pani z Barcelony z postanowieniem, że odegra się za cztery lata?

Nie, było mi tylko strasznie żal, że mój występ nie poszedł tak, jak sobie wymarzyłam. Myśl o przyszłości zaszczeplił we mnie przedstawiciel producenta tego ubioru z Finlandii. Widząc, co przeżywam, podszedł do mnie i powiedział tylko dwa słowa: „Next time!”. To „next time” zapadło mi w pamięć. I rzeczywiście następnym razem wystąpiłam na igrzyskach w Atlancie, a wcześniej zdobyłam brązowy medal mistrzostw świata i złoto finału pucharu świata.

Rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu publiczność była już tylko ze mną



FOT. IMAGO / EAST NEWS

Renata Mauer (z prawej) i Petra Horneber na strzelnicy olimpijskiej w Atlancie.

W Atlancie w finale pokonała pani Petrę Horneber.

Tak. Podczas konferencji prasowej wytykano jej, że przegrała złoty medal, a ona bardzo rozważnie powiedziała: „Nie przegrałam, ponieważ go nie zdobyłam. Wygrałam srebrny medal”. Nie odczułam, by Petra miała żal do mnie o to, że to ja wygrałam. Raczej mnie było żal Petry, że nie wyszedł jej ostatni strzał. Straciła cenne 2 punkty, a przecież w konkurencji podstawowej straciła zaledwie 3 punkty na 40 strzałów. Taki jest sport, wystarczy chwila nieuwagi. Na oddanie strzału miałyśmy 75 sekund. Jeśli ktoś wcześniej wypracuje sobie złożenie, nie potrzebuje aż tyle czasu. Może skończyć konkurencję bez wykorzystania całego przysługującego czasu, a dzięki temu mniej się męczy. Niestety nie nauczyłam się szybko strzelać i dlatego zawsze wykorzystywałam czas do maksimum. Bywało, że rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu cała publiczność była już tylko ze mną. Wiedziałam, że wszyscy patrzą do końca wyłącznie na mnie.

Czy zdobycie złota rozbudziło apetyt na drugi olimpijski medal z tego samego kruszcu?

Tak, miałam nadzieję, że będzie drugie złoto. Wprawdzie ustanowiłam rekord olimpijski i miałam dwa punkty przewagi, ale zdobyłam brąz. Może dlatego, że podczas



FOT. PAP / RADEK PIETRUSZKA

Renata Mauer z medalami z igrzysk olimpijskich w Atlancie.

strzałów próbnych nie miałam statywu, na który mogłabym odkładać broń? Zgłosiłam sędziemu, że potrzebuję dodatkowej podpórki, poczekałam na brakujący element wyposażenia. To zajęło kilka minut, a sędzia nie zatrzymał czasu przygotowawczego. W rezultacie nie zdążyłam wyregulować przyrządów celowniczych. Pojawiły się niepotrzebne emocje, zaczęłam finał siódmką, potem była ósemka, kolejna siódmka i zdałam sobie sprawę, że znalazłam się poza strefą medalową. Nie zrezygnowałam jednak z walki, udało mi się wyregulować przyrządy celownicze i zdobyć brąz.

Aby dobrze pokazać skalę trudności w strzelectwie, warto wyjaśnić, że pani strzał w dziesiątkę to strzał oddany z odległości 10 metrów w pole o średnicy... 0,5 milimetra!

Tej dziesiątki nawet nie widać z odległości 10 metrów. Nasze przyrządy celownicze składają się z kół. Celujemy w ten sposób, że ustawiamy centrycznie widziane koła. Pierwsze jest przy oku – koło przeziernika. Patrząc przez niego, widzimy kółko umieszczone na końcu lufy i dopiero w tym kółku, umieszczonym na końcu lufy, widzimy czarne koło tarczy. Nie da się dostrzec dziesiątki, ale widać każdy błąd w przyrządach celowniczych. Poza tym przestrzelina ma pięć milimetrów średnicy, więc wystarczy, że przestrzelina dotyka kropki, która jest dziesiątką, by uznać to za dziesiątkę. Dodam, że teraz używamy tarcz elektronicznych. Widzimy czarne koło, ale w istocie jest ono wycięte w jasnym ekranie, a za nim przesuwają się czarne taśmy, dzięki czemu widzimy czarne koło. Ta taśma przesuwają się po każdym strzale.

Rywalki kończyły strzelać, a ja miałam przed sobą jeszcze całą serię. Ale dzięki temu publiczność była już tylko ze mną



FOT. BOGDAN BUGAJSKI / AGENCJA GAZETA

Renata Mauer z córką Natalią trzymającą złoty medal zdobyty przez mamę na igrzyskach w Sydney.

Następne igrzyska, w Sydney w 2000 roku, potwierdziły pani klasę. Przywiozła pani złoty medal olimpijski. Później był mniej udany start w Atenach w 2004 roku.

Kariere skończyłam dość późno. Cały czas występowałam w kadrze Polski, bo reprezentowałam wysoki poziom strzelecki i mogłam sobie na to pozwolić. Zresztą naprawdę lubiłam strzelać. Jednak tuż przed igrzyskami w Atlancie urodziłam córkę, a w 2009 roku – syna. Zaczęłam też pracę w Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, zostałam radną, przybyło mi obowiązków. Z bólem serca zrezygnowałam ze strzelania.

Mimo kariery sportowej mogła pani realizować się w innych sferach życia.

Tak, choć wymagało to ode mnie sporego zaangażowania. Nie byłoby to też możliwe, gdyby nie ogromne wsparcie rodziny, klubu, uczelni i przyjaciół. Dzięki życzliwości ludzi mogłam kontynuować karierę strzelecką, pracę w akademii i działalność w radzie. A przecież udzielałam się też społecznie, w ramach regionalnej rady olimpijskiej.



Renata Mauer podczas igrzysk olimpijskich w Atenach, 2004 r.

FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI /
REPORTER / EAST NEWS



FOT. LESZEK FIDUSIEWICZ /
REPORTER / EAST NEWS





Renata Mauer – radna miasta Wrocławia.

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI / EAST NEWS

Przez kilka lat byłam również członkinią Komisji Zawodniczej w Polskim Komitecie Olimpijskim. Do tej pory jestem członkinią Komisji Sportu Kobiet. Kiedyś wydawało mi się, że każde z tych działań jest czymś osobnym. Dziś postrzegam to jako konsekwentnie budowaną całość. Zawsze bardzo lubiłam ludzi i od dziecka angażowałam się w różne społeczne inicjatywy. Przede wszystkim jednak wiele zawdzięczam ludziom, których spotkałam na swojej drodze. Kiedy przed zawodami miałam duże obciążenia treningowe, zawsze mogłam liczyć na pomoc kolegów i koleżanek w przygotowaniu do zajęć, egzaminów.

A może raczej mają starsze koleżanki siatkarki, które poznała pani przez Halinę Aszkiełowicz-Wojno? Nazywały one panią żartobliwie swoim libero. Z takim typem osobowości idealnie sprawdziłaby się pani w sportach zespołowych!

Sporty zespołowe nie są dla mnie. Indywidualne – owszem, choć poza lekkoatletyką, bo nigdy nie biegałam szybko. Do tej pory nie najlepiej wspominam przygotowania do testów szkolnych. Najbardziej bałam się skoku wzwyż. Któregoś razu, żeby się z nim oswoić, razem z kuzynem i z koleżanką ćwiczyliśmy, skacząc nad rozciągniętą gumą. Skończyło się to złamaniem ręki, co tym bardziej zniechęciło mnie do lekkoatletyki.



FOT. KRYSZYNA PACZKOWSKA / NEWSPIX.PL

Renata Mauer i prof. Jan Blecharz, psycholog specjalizujący się w psychologii sportu.

Zresztą ćwiczyć należy pod okiem dobrego trenera. W mojej karierze strzeleckiej miałam szczęście do świetnych fachowców. Dzięki takim trenerom jak Zdzisław Stachyra, Piotr Kosmatko (olimpijczyk z Moskwy) czy Andrzej Kijowski mogłam nauczyć się właściwej techniki oraz taktyki strzelania i osiągnąć w tym sporcie mistrzostwo. Pod okiem trenerów nawiązywaliśmy też relacje z innymi zawodniczkami. Nadal się przyjaźnimy, dzwoniemy do siebie. Niezwykle istotne i odpowiedzialne były decyzje, najpierw żeby nawiązać kontakt ze Związkowym Klubem Strzeleckim i oddać nas pod opiekę trenera Piotra Kosmatko, potem żeby zmienić barwy klubowe na Śląsk Wrocław i zacząć współpracę z Andrzejem Kijowskim.

Można powiedzieć, że gdyby nie ci ludzie, nie byłoby Renaty Mauer takiej, jaka zapisała się w historii Polski.

Nie sport jest jednak najważniejszy, ale ogólny rozwój i relacje z ludźmi. Wszyscy strzelcy w naszej sekcji dobrze się uczyli, a gdy pojawiał się jakiś problem, Stachyra zawsze był gotowy pomóc. Trener Piotr Kosmatko również podkreślał, że trzeba dbać o edukację. To dlatego naukę i sport traktowałam na równi. Trenowałam, uczyłam się, skończyłam studia w Akademii Ekonomicznej i w AWF-ie. Nie miałam problemu, by podjąć pracę. Zresztą studia trenerskie i studia z technik relaksacyjnych w AWF-ie poszerzyły moją wiedzę na temat relaksacji i przygotowania psychicznego do zawodów sportowych. Dzięki temu ciągle mam ręce pełne roboty.



Byłem w stanie
ciągłego zachwytu
nad życiem i właśnie
z zachwytu
rodziła się chęć
do pracy

FOT. PIOTR NOWAK / NEWSPIX.PL

Rozmowa
z **Robertem Korzeniowskim**

Czy pamięta pan, jaki dzień tygodnia był 27 sierpnia 2004 roku?

Zabawne, że tego nie pamiętam.

Za trzy dni kończyły się igrzyska, więc musiał to być piątek.

Koncentrowałem się na tym, co mnie czeka, nic innego mnie nie obchodziło. Równie dobrze mógł to być ósmy dzień tygodnia. Dla mnie to był szczególny moment, dlatego że stanowił zwieńczenie mojej kariery wyczynowej. Mimo to trzeba go było przeżyć całkowicie rutynowo. Musiałem wstać rano – jak każdy inny zawodnik, zjeść śniadanie, przygotować się do startu, spojrzeć rywalom w oczy, a potem zrobić to, co do mnie należało.

Był pan pewny zwycięstwa?

Ależ skąd, nigdy nie można zakładać, że karty zostały rozdane. Nic nie było zagwarantowane. Wielu kibicom wydawało się oczywiste, że idę po złoto, że nie ma dla

Robert Korzeniowski

Urodzony 30 lipca 1968 r. w Lubaczowie, chodziarz, czterokrotny mistrz olimpijski, trzykrotny mistrz świata i dwukrotny mistrz Europy. Najbardziej utytułowany polski sportowiec pod względem zdobytych tytułów mistrza olimpijskiego. Robert Korzeniowski to także jedyny na świecie chodziarz, który zdobył dwa złote medale (na 20 i 50 km) na tych samych igrzyskach olimpijskich.

Gdy był dzieckiem, zdiagnozowano u niego początki astmy i reumatyczną chorobę stawów. Mimo to realizował marzenia o sportowych triumfach, zafascynowany postacią i osiągnięciami Bruce'a Lee. Początkowo trenował judo, potem zainteresował się chodem sportowym. W tej dyscyplinie występował w barwach AZS AWF Katowice, Wawelu Kraków i francuskiego US Tourcoing, wygrywając kolejne mistrzostwa kraju i Europy. Trzykrotnie zdobył też mistrzostwo świata w chodzie na 50 km (lata: 1997, 2001 i 2003), a uzyskany przez niego w Paryżu w roku 2003 wynik 3:36:03 był rekordem świata, oficjalnie zarejestrowanym przez federację lekkoatletyczną (trzy lata później pobił go Australijczyk Nathan Deakes).

Największej popularności przysporzyły Robertowi Korzeniowskiemu występy na igrzyskach olimpijskich. Pierwszy start, w Barcelonie (1992), przyniósł przyszłemu mistrzowi duże rozczarowanie z powodu dyskwalifikacji, ale cztery lata później w Atlancie Korzeniowski zawiesił na szyi pierwsze olimpijskie złoto w konkurencji: chód na 50 km. W Sydney (2000) nie tylko obronił tytuł mistrza olimpijskiego w chodzie na 50 km, ale również zdobył drugie mistrzostwo w chodzie na 20 km. Na kolejnej olimpiadzie, w Atenach (2004), po raz trzeci z rzędu obronił tytuł mistrza w chodzie na dystansie 50 km. Bezprecedensowe rekordy przełożyły się m.in. na dwukrotne zwycięstwo w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na najlepszego polskiego sportowca roku (1998 i 2000 r.). Robert Korzeniowski został odznaczony kolejno Krzyżem Kawalerskim, Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Korzeniowski znany jest także z aktywnej działalności na rzecz popularyzacji sportu oraz idei olimpijskiej. Od 2017 r. jest Ambasadorem Dobrej Woli UNICEF. Pełnił też honorową funkcję Ambasadora ds. Tolerancji i Fair Play przy Radzie Europy, jest członkiem Komisji Międzynarodowej PKOl i przewodniczącym Rady Fundacji Aktywnej Rehabilitacji oraz fundatorem Fundacji Roberta Korzeniowskiego, realizującej m.in. projekt wspierania młodych talentów lekkoatletycznych (jako RK Athletics). Gdy mieszkał w stolicy Małopolski i reprezentował klub WKS Wawel Kraków, organizował mityng chodziarski IAAF w Krakowie „Na Rynek marsz!”. Bezpośrednio po zakończeniu kariery sportowej, w 2004 r., podjął pracę w TVP, gdzie w 2006 r. uruchomił kanał tematyczny TVP Sport i został jego pierwszym dyrektorem.

Byłem w stanie ciągłego zachwytu nad życiem i właśnie z zachwytu rodziła się chęć do pracy



Robert Korzeniowski ze złotym medalem igrzysk olimpijskich w Atenach w 2004 r.

mnie żadnej konkurencji, bo przecież zawsze wygrywam. Nieprawda! To była bardzo ważna konkurencja i wiedziałem, że zawody będą dla mnie trudne. Nie myliłem się.

Jako jeden z milionów kibiców również miałem przeświadczenie, że tylko kwestią czasu jest czwarte złoto. Takie były oczekiwania wobec pana.

Sam także je miałem. Wiedziałem, że stać mnie na zwycięstwo, wiedziałem, po co przyjechałem do Aten, jednak zdawałem sobie sprawę, że nic nie jest przesądzone. Moi rywale już wcześniej mnie rozpracowali, byli ode mnie młodszy, niektórzy mieli na swoim koncie nieoficjalne rekordy świata. Wszystko wskazywało na to, że obowiązuje zasada „bij mistrza”, dlatego przewaga psychiczna była de facto po ich stronie.

Mogli zakładać, że to oni są w stanie sięgnąć po złoto.

Oczywiście! I to nawet jeżeli wcześniej nie udało im się ze mną wygrać.

Robert Korzeniowski

Pierwsi zaatakowali Chińczycy, ja szedłem w drugiej linii. Potem prowadził Rosjanin Denis Niżegorodow, rekordzista świata. Podjąłem decyzję o ataku, kiedy byłem pewien, że to właściwy moment. Po fakcie można twierdzić, że gdyby Niżegorodow mądrzej zachowywał się na punktach dożywiania, gdyby pił i jadł tak jak trzeba, gdyby polewał się wodą, żeby nie ulec udarowi cieplnemu lub ekstremalnej hipoglikemii, to wynik mógłby być inny. Ale stało się inaczej, to ja dobrze wyliczyłem, na co mnie stać, dzięki wieloletniemu doświadczeniu. Na materiałach z igrzysk widać, jak Niżegorodow idzie od krawężnika do krawężnika, i to nie dlatego, że przyjął napoje wyskokowe w nadmiernych ilościach – bo Rosjanie mieli w zwyczaju pobudzać się koniakiem z kawą na ostatnich pięciu kilometrach.

Ten chód od krawężnika do krawężnika jest pięknym dopełnieniem pańskiego sukcesu.

Niżegorodow to był bardzo groźny zawodnik, tak samo jak Aleksiej Wojewodin, czyli kolejny, który szedł za nim. Gdyby Rosjanie wygrali ze mną dzięki dopingowi, nie ma pewności, że wykryto by to w najbliższych latach. Obaj panowie byli uwikłani w historie dopingowe i wiadomo, że również wtedy byli na niedozwolonym dopingu farmakologicznym. Miałem ogromne doświadczenie, ale mierzyłem się już z nowym pokoleniem. Musiałem brać pod uwagę, że walczę z ludźmi, którzy zasady fair play postrzegają według własnej miary, którzy są głodni sukcesu i tego, by mi dołożyć.

To był dla mnie piękny dzień, zakończony triumfem. Ponownie, choć już po raz ostatni, stanąłem na najwyższym stopniu podium olimpijskiego. Cieszyłem się jak mały chłopak, nie mogłem przestać się śmiać. Czułem się spełniony. Już niczego nie musiałem sobie udowadniać. Cieszyłem się, że odchodzę niepokonany, na własnych zasadach, i że zasłużyłem na to, by następnego dnia pójść na Akropol. Bo wymarzyłem sobie, że jeśli zdobędę złoty medal, wybiorę się właśnie na Akropol. Siądę tam i porozmyślam o tym, co dalej i jakie otwierają się przede mną perspektywy.

Przyznam, że nawet nie pamiętam, czy tego dnia odpoczywałem pomiędzy zawodami a dekoracją olimpijską. Nawet niespecjalnie pamiętam, co robiłem wieczorem. Mam wspomnienia zawężone do zawodów, do tej pamiętnej chwili na podium.

I do Akropolu dzień później.

Tak. Nic więcej nie pamiętam.



FOT. MAREK OCHOWSKI / NEWSPIX.PL

Robert Korzeniowski na mecie chodu na 50 km na igrzyskach olimpijskich w Sydney.

Dodam jeszcze, że tym zwycięstwem przysłużyłem się do tego, by wypełnił się testament sportowy prezesa PKOl Stanisława Stefana Paszczyka. To właśnie on po Sydney gorąco namawiał mnie, bym nie zrezygnował. Poważnie wtedy rozważałem, czy kontynuować karierę, skoro zdobyłem dwa złota olimpijskie. Zastanawiałem się, czy coś dużego jeszcze mnie czeka. A prezes Paszczyk powiedział: „Niech pan idzie dalej! Prawdopodobnie jeszcze wszystkiego w sporcie pan nie osiągnął, a poza tym warto popracować nad tym, by ktoś za panem szedł dalej, by byli następcy, by powstała jakaś szkoła i ktoś dojrzał przy panu”.

I tak się stało! Czy wie pan, kto w dniu pana zwycięstwa w 2004 roku obchodził 15. urodziny?

Nie mam pojęcia.

Człowiek, który 17 lat później został mistrzem olimpijskim w chodzie.

Dawid Tomala!

Zgadza się. Wtedy, 27 sierpnia, skończył 15 lat. Jest jeszcze jedna zbieżność dat. Tomala urodził się chwilę po śmierci pańskiego przyjaciela. 8 sierpnia 1989 r. zginął tragicznie Jerzy Sieczko.

Przez pięć lat wspólnie chodziliśmy na wszystkie treningi i nagle to wszystko się skończyło. Pierwsze dni po stracie Jurka były na tyle trudne, że szedłem trenować ze łzami w oczach. Tymczasem musiałem wystartować na uniwersjadzie w Duisburgu. Startowałem tam na 20 kilometrów, zająłem szóste miejsce z wynikiem 1:26:10.

Mieliśmy jechać razem z Jurkiem. Pamiętam, jak wracałem pociągiem z uniwersjady i nie wiedziałem, co dalej. Niebawem czekał mnie kolejny start, w mistrzostwach Polski na 20 kilometrów. Byłem tak zdruzgotany śmiercią przyjaciela, że na poważnie rozważałem rezygnację ze startu.

W Warszawie przygarnął mnie mój przyjaciel Andrzej Chyliński, dziennikarz i również chodziarz. Chciałem wracać do rodziców, do domu, a Andrzej w ramach terapii kazał mi przygotować artykuł do „Dziennika Ludowego” o minionej uniwersjadzie. Niechętnie się zgodziłem. Na ostatniej stronie ukazał się artykuł „Moja uniwersjada”. Wtedy sobie uświadomiłem, jak wiele zawdzięczam sportowi. Odkrywam nowe miejsca, poznaję ludzi, spełniam się. Naszła mnie myśl, że teraz mogę dać z siebie jeszcze więcej, startować za dwóch. W każdym razie to był dla mnie wyjątkowo trudny czas i niewykluczone, że decydujący dla moich dalszych losów.

Ostatecznie zdecydował się pan na start w mistrzostwach Polski w Gdańsku?

Tak. To nieco zabawne, ale właśnie wtedy zdobyłem swój pierwszy i ostatni srebrny medal w mistrzostwach Polski seniorów. Nigdy później to się nie zdarzyło, bo wywalczyłem 15 złotych medali z rzędu. Pamiętam zdziwienie starszych kolegów, którzy wtedy startowali. Byli zaskoczeni, że tak dobrze mi poszło. Ten medal był dla mnie ważny. Pokazał mi, że jestem na właściwej ścieżce. Od studenta, zawodnika uniwersjady, do medalisty mistrzostw Polski, reprezentanta Polski w kategoriach open wiedzie dosyć długa droga. Sukces w mistrzostwach Polski sprawił, że wszystko nagle się poukładało, zatliła się we mnie nadzieja, odżyła ambicja sportowa. Zaraz potem poprawiałem kolejne rekordy życiowe. Podsumowując: kiedy pierwsze pieluchy zmieniano Dawidowi Tomali, miałem już pierwszy medal mistrzostw Polski seniorów. A kiedy zdobywałem swoje ostatnie olimpijskie złoto, Dawid był już zawodnikiem klubu UKS Maraton-Korzeniowski.pl.

Kariere zaczynał chłopak, który 17 lat później na igrzyskach nie miał żadnej pewności, jak skończy się dla niego występ olimpijski. Nikt, w tym pan, nie przewidywał, że odniesie taki sukces.

Szkoda, że tyle lat trzeba było czekać, bo 17 lat to w sporcie bardzo długo.

Warto przypomnieć, że Roman Magdziarczyk w Atenach ukończył chód na 50 kilometrów na szóstej pozycji, a Grzegorz Sudoł – na siódmej. Gdyby odbywały się zawody drużynowe, mielibyśmy złoty medal, tak jak pięciobojsi czy skoczkowie

Byłem w stanie ciągłego zachwyty nad życiem i właśnie z zachwyty rodziła się chęć do pracy



Ośrodek Przygotowań Olimpijskich w Spale, 2003 r.
Od lewej: Benjamin Kuciński, Roman Magdziarczyk i Grzegorz Sudoł.

FOT. PIOTR NOWAK / NEWSPIX.PL

narciarscy. Byliśmy absolutnie najlepszym teamem na świecie, co więcej – teamem z potencjałem rozwojowym. To błędne decyzje działaczy sportowych i polityków doprowadziły do tego, że ci zawodnicy nie spełnili się w stopniu maksymalnym. Grzegorz Sudoł, owszem, zdobył srebrny medal mistrzostw Europy, a potem brąz na mistrzostwach świata, ale nie zdołał pociągnąć za sobą kolejnych zawodników. Benjamin Kuciński, o którym nie pamiętamy, startował na 20 kilometrów. Nie załapał się na żaden program państwowy, dlatego że nie był w ósemce igrzysk olimpijskich. Był po prostu na to za młody. Wiem, że już w rok po igrzyskach rozwoził pizzę trabantem kupionym za 500 złotych, byleby związać koniec z końcem, tak trudną miał sytuację rodzinną. Mimo to mam słodko-gorzkie poczucie, że wtedy wydarzyło się coś bardzo ważnego, zostało zainicjowane coś, co 17 lat później przyniosło owoce.

Pamiętam, że pisał pan na swoim blogu o Magdziarczyku i Sudole, kibicował im. To nie jest wcale częste, że wielcy mistrzowie śledzą losy swoich potencjalnych następców, a do tego pomagają im.

Miałem pozytywną obsesję na tym punkcie, ale spotykała się ona z dobrym odbiorem kolegów. Zresztą powiem wprost: wtedy w kadrze panował otwarty konflikt. Od wielu

lat nie dogadywałem się z trenerem Krzysztofem Kisielem. Formalnie był trenerem kadry, a w rzeczywistości to mnie prosił o plany dla zawodników i to ja merytorycznie odpowiadałem za to, jak się rozwijają. Pamiętam, że trener starał się, nie wiedząc czemu, doprowadzić do tego, bym pojechał zimą trenować gdzie indziej niż kadra. Chodziło wtedy o Meksyk. To był mój ostatni rok, kiedy mieli szansę ze mną trenować. Zawodnicy stanęli za mną murem i powiedzieli, że nie zgadzają się na to, bym trenował osobno.

Musiał pan mieć z nimi świetne relacje!

To prawda. I to pomimo tego, jak wiele trudnych rozmów musiałem przeprowadzić, niekiedy fundowałem im wręcz połajanki. To niesamowite, jak ogromnym zaufaniem się darzyliśmy. Wiedziałem, kogo muszę przycisnąć, a kto potrzebuje pogłaskania. To było coś pięknego. Gdy poprosiłem ich, by w Atenach, na kilka dni przed startem, wyczekali spokojnie startu, bez zbędnego podgrzewania atmosfery, dokładnie tak się zachowali. Zresztą i dla Magdziarczyka, i dla Sudoła to były najlepsze igrzyska. Niebawale się cieszę, że moi uczniowie odnaleźli się potem w sporcie. Grzegorz świetnie sobie radzi jako asystent w zakładzie lekkiej atletyki w Krakowie, ma tytuł doktora, zajmuje się organizacją życia sportowego. Roman Magdziarczyk miał ogromne możliwości, ale zbyt szybko zrezygnował z chodu. Realizuje się jednak jako trener biegaczy amatorów i wałbrzyskich kolarzy juniorów, z którymi sięga po medale mistrzostw Polski.

Krótko mówiąc, byliśmy dobrą paczką, taką, w której obowiązywała odpowiednia hierarchia. Owszem, bywały momenty rozluźnienia na zgrupowaniach, jakaś dyskoteka lub wyjście na kolację. Ale zawsze mogłem na nich liczyć. Gdy pozwoliłem im wypić po jednym piwie, mimo że kolejnego dnia o dziesiątej rano czekał nas trening, to nie było mowy, żeby ktoś się spóźnił. Razem się bawiliśmy, pracowaliśmy i razem cierpieliśmy. Było jasne przywództwo i wiedzieliśmy, że wszyscy na tym skorzystamy. Jako mistrz olimpijski i kandydat do kolejnego tytułu chyba nie miałbym takiej satysfakcji z tego, co robiłem, gdyby nie cała ta otoczka mistrza – nauczyciela. To mi niesamowicie pomagało.

W ostatnich latach spełniałem się również jako trener młodzieży francuskiej. Mogłem ponownie zweryfikować swoje założenia trenerskie. Bo bycie trenerem to nie jest samo zadawanie ćwiczeń. To również kształtowanie ludzi, słuchanie ich, odpowiadanie na ich potrzeby, a jednocześnie tworzenie nowych potrzeb. To bardzo ważne, by nie tylko układać plany treningowe, ale również – przede wszystkim – uczyć, wychowywać i angażować się w życie zawodników.



Irena Szewińska

FOT ULLSTEIN BILD / NEWSPIX.PL

Czy trudno było osiągać kolejne sukcesy w cieniu tak wielkiego sportowca, jakim była Irena Szewińska?

Z czasem było coraz trudniej. Już jako dziecko fascynowałem się karierą Ireny Szewińskiej. Na podwórku wykrzykiwaliśmy jej nazwisko, tak jak dzisiaj dzieci skandują nazwisko Lewandowskiego. Oczywiście Lubański i Lato mieli większe wzięcie, ale synonimem szybkiego biegania była właśnie Irena Szewińska. Nie było żadnym obciążeniem, gdy chłopak mówił, że biegnie jak Szewińska. Nikt nie biegał tak szybko jak ona.

Królowa królowej sportu – Irena Szewińska (1946–2018)

Irena Szewińska była najlepszą lekkoatletką w dziejach polskiego sportu i jedną z najwybitniejszych sportsmenek świata. To pięciokrotna olimpijka i siedmiokrotna medalistka olimpijska (1964 – srebro w biegu na 200 m, srebro w skoku w dal i złoto w sztafecie 4 × 100 m; 1968 – brąz w biegu na 100 m, złoto w biegu na 200 m; 1972 – brąz w biegu na 200 m; 1976 – złoto w biegu na 400 m). Rekordzistka Polski, Europy i świata w biegu na 100, 200 i 400 m oraz sztafecie 4 × 100 m. Po zakończeniu kariery zawodniczej w 1980 r. aktywnie działała w organizacjach sportowych, w tym w zarządzie Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. W 1984 r. została członkiem Komitetu Kobiecego Międzynarodowej Federacji Lekkoatletycznej (IAAF). Była wiceprezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego, a od 1998 r. również członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

Zmarła 29 czerwca 2018 r., po długiej walce z nowotworem. Ikone polskiego olimpizmu żegnało całe sportowe środowisko. Robert Korzeniowski powiedział Polskiej Agencji Prasowej: *Gdy pojawiała się pani Irena, inne gwiazdy przy niej bladły. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy chcą być przy niej, zamienić chociaż kilka słów. Była zauważalna wszędzie, nawet w najmniejszych krajach świata. (...) Na tak wybitnego sportowca i działacza będziemy musieli bardzo długo czekać. Dlatego uważam, że wraz z odejściem Ireny Szewińskiej skończyła się pewna epoka.*

Cyt. za: Korzeniowski: Szewińska wyznaczyła pewien pułap mistrzostwa, nie tylko na bieżni, <https://www.polsatsport.pl/wiadomosc/2018-06-30/korzeniowski-szewinska-wyznaczyla-pewien-pulap-mistrzostwa-nie-tylko-na-biezni/>, 30 czerwca 2018 r.

Potem sam wspierałem Irenę Szewińską w tym, by objęła funkcję prezesa Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Uważałem ją za najlepszą ambasadorkę naszej dyscypliny. Należała się jej ta funkcja, a jednocześnie i nam należał się prezes, który jest lekkoatletą, cieszy się uznaniem na świecie i wiadomo, że może zrobić wiele dobrego. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że pojawi się między nami niezdrówia rywalizacja. Irena negocjowała konieczność następstwa pokoleń, nie chciała ze mną współpracować. Każdą moją inicjatywę, czy to osobistą, czy grupową, traktowała jako osobiste zagrożenie. Do legendy urosło liczenie tego, ile zdobyliśmy medali. W którymś momencie mieliśmy ich tyle samo, a ostatecznie miałem nawet ich więcej.

Zdobył pan więcej złotych, ale mówiono, że siedem medali to jednak więcej niż cztery...

Oczywiście, choć to przykre, że dochodziło w ogóle do takich dyskusji. W każdym razie wielokrotnie wykreślano mnie jako kandydata do komisji zawodniczych, blokowano mnie we wszelkich działaniach w skali międzynarodowej. Również w pracy zawodowej w Telewizji Polskiej, gdzie tworzyłem TVP Sport, nie czułem wsparcia. I to mimo że dla lekkiej atletyki robiłem całkiem sporo. Mówi się jednak, że ludzie w którymś momencie się spotykają, muszą sobie coś szczerze powiedzieć...

Byłem w stanie ciągłego zachwytu nad życiem i właśnie z zachwytu rodziła się chęć do pracy



Mistrzowie olimpijscy: Irena Szewińska i Robert Korzeniowski.

FOT. PIOTR NOWAK / NEWSPIX.PL

Tak było również z panem oraz Ireną Szewińską?

Tak. To było bardzo piękne, bo trwał między nami ostry konflikt. Nie jest tajemnicą, że podsycił go w dużej mierze mąż Ireny, Janusz Szewiński. Gdyby nie on, to myślę, że z panią Ireną – bo zawsze zwracałem się do niej per pani – prędzej bym się dogadał. Niestety tylko w sytuacjach, kiedy ona funkcjonowała samodzielnie, bez męża i w układzie neutralnym międzynarodowo, byliśmy w stanie się porozumieć.

Pamiętam, że po raz pierwszy mi nie przeszkadzała, gdy kandydowałem do Komitetu Chodu Sportowego w IAAF. Udało się, zostałem wybrany. To było w koreańskim Daegu. Jednocześnie sama kandydowała do komisji kobiet, i to z powodzeniem. Oboje więc odnieśliśmy sukces w wyborach. Myślę, że uszanowała to, że wszedłem do komitetu. Wybory do niego odbywają się w sposób dość skomplikowany. Dwieście krajów głosuje nieraz na kilkunastu kandydatów. Trzeba ze wszystkimi rozmawiać, przekonywać, tworzyć sojusze...

Swego rodzaju konklawe.

Tak, to dobre porównanie. Irena była fantastyczna w przekonywaniu na swoją rzecz, chociaż jej kreatywność jako działaczki w budowaniu nowoczesnej lekkiej atletyki była bardzo ograniczona. Owszem, nie sposób odmówić jej skuteczności w działaniach, ale nie była kreatywna. Z upływem czasu jej gwiazda ikony lekkiej atletyki nieco traciła na blasku ze względu na słabnący status działacza. Trzeba jednak szczerze przyznać, że nie pomagał w tym wciąż pogarszający się stan zdrowia.

Sprawa organizacji igrzysk w Paryżu była puentą naszej szorstkiej przyjaźni. Pojechaliśmy wspólnie do Paryża w 2016 roku na La Parisienne, czyli jesienne biegi kobiet. Zaprosił nas członek MKOl-u z ramienia Francji, Guy Drut, mistrz olimpijski w biegu przez płotki, swoją drogą – polonofil, który wychował się w Pas-de-Calais i na podwórku momentami musiał mówić po polsku. W każdym razie Irena Szewińska została zaproszona po to, by nieformalnie przyjrzeć się kandydaturze Paryża i spotkać się z mer Anną Hidalgo. Udało się doprowadzić do spotkania, choć Irena Szewińska już wtedy kiepsko się czuła. Spędziliśmy ze sobą chyba trzy pełne dni. Były dla nas bardzo, bardzo ważne. Wreszcie nadarzyła się okazja, by na spokojnie porozmawiać i po raz pierwszy w historii naszej relacji popracować razem dla dobra lekkiej atletyki.

Jak wyglądały te trzy dni?

Były wypełnione bardzo ciepłymi rozmowami. Powiedziałem szczerze, że potrzebny nam jest spokój olimpijski, byśmy mogli zrobić coś dobrego. Zapewniałem ją, że może na mnie liczyć, że nie widzę powodu, dla którego miałyby myśleć inaczej, i że może uda się nadrobić stracony czas. W tamtych dniach Irena Szewińska sama inicjowała kontakt ze mną. Koniecznie chciała siedzieć przy mnie, wspólnie jeść posiłki. To było naprawdę ważne. Niedługo potem niestety odeszła.

Dzisiaj mam osobistą satysfakcję, że szczerze rozmawialiśmy, wyjaśniliśmy, że się szanujemy i nie widzimy w sobie wrogów. Bo przecież wszystko, co się wydarzyło między nami, wcale nie musiało się wydarzyć. To sytuacja, w której się znaleźliśmy, i osoby, z którymi pracowaliśmy, wpłynęły na to, jak musieliśmy funkcjonować. Nie pozostało nam nic innego, jak szczerze przyznać, że pewne szanse zostały utracone bezpowrotnie. Ale czasami tak jest w życiu. Za to jeden gest, jeden uśmiech czy jedno podanie ręki załatwia wszystko.

Byłem w stanie ciągłego zachwytu nad życiem i właśnie z zachwytu rodziła się chęć do pracy



FOT. PAWEŁ SKRABA / SUPER EXPRESS / EAST NEWS

Dawid Tomala na trasie chodu na 50 km podczas igrzysk olimpijskich w Tokio, 6 sierpnia 2021 r.

I jest ważniejsze niż 40 lat.

Zgadza się. I właśnie to nastąpiło w Paryżu.

Igrzyska w Paryżu już za niespełna trzy lata, ale bez chodu na 50 kilometrów – w związku ze zmianą dystansu w programie olimpijskim. Polak zostanie ostatnim mistrzem olimpijskim na dystansie 50 km. Kiedy zwrócił pan uwagę na Dawida Tomalę?

Regularnie słyszałem o Dawidzie, kiedy miał 16, 17 i 19 lat, czyli gdy jeszcze był juniorem. Interesowałem się tym, co dzieje się w chodzarskich szkołkach, których działalność pomagałem sfinansować. Te szkółki były efektem mojej współpracy ze sponsorem, z firmą ubezpieczeniową, która kupowała ode mnie wizerunek. Namówiłem ich, żebyśmy zrobili coś w duchu społecznej odpowiedzialności biznesu. Wyjaśniłem, że nie będzie z tego wielkiego marketingu, ale lepiej się poczuje, wiedząc, że coś dobrego wynika z naszej współpracy. Druga strona się zgodziła i podobno nawet dział marketingu był zadowolony.

Pamiętam, że kiedy Tomala był juniorem, zdiagnozowano u niego problemy kardiologiczne, na tyle poważne, że groził mu zakaz uprawiania sportu. Rozmawiałem wtedy z Kasią Śledzioną, jego trenerką i opiekunką klubu. Żał nam go było, bo widać,

że chłopak się nadaje, ale ciężko dyskutować z lekarzami. Na szczęście udało się znaleźć ludzi, którzy przytomnie podeszli do sprawy i – choć z pewnymi restrykcjami – pozwolili Dawidowi kontynuować karierę sportową. Niedługo później zdobył tytuł młodzieżowego mistrza Europy. To był 2012 rok, Dawid miał wtedy 23 lata, a problemy kardiologiczne ustąpiły. Cztery lata później, w 2016 roku, dowiedziałem się, że jest kadrowiczem.

Z kolei całkiem niedawno kręciłem program „Życie na podium” z Canal+ i Discovery. Zapytano mnie, kogo bym zaprosił w ramach swego rodzaju sztafety pokoleń. Nie wahałem się ani przez moment i odparłem, że byłby to Dawid Tomala. Miałem przekonanie, że to właśnie w nim można pokładać największe nadzieje.

Rozmawiałem z Dawidem na tydzień przed igrzyskami. Chciałem się dowiedzieć, co u niego słycać, jak się czuje. Był mi najbliższy ze wszystkich zawodników, którzy startowali. Imponował mi jego spokój, harmonia z otoczeniem. Przejawiał bardzo dojrzałe podejście do tego, w jakim momencie kariery się znajduje, jakie ma możliwości, a jakie ograniczenia. Byłem zafascynowany jego dojrzałością i wewnętrznym spokojem. Myślę, że to odegrało ogromną rolę w jego sukcesie.

Niemniej wśród typowań przed ostatnimi igrzyskami w Tokio wcale nie wspomiano o Tomali. Jak to możliwe, że złoto zdobywa ktoś, kogo nawet Robert Korzeniowski nie był w stanie wymienić jako potencjalnego medalisty?

To jest właśnie fenomen igrzysk olimpijskich. Podobnie Wojciech Fortuna nie był faworytem w skokach narciarskich w Sapporo w '72 roku.

Ta paralela jest szczególnie zasadna, zważywszy na to, że igrzyska ponownie odbywały się w Japonii.

Igrzyska w Tokio zorganizowano w czasie pandemii. Przez ostatnie dwa lata zawodnicy nie mieli gdzie sprawdzić swoich sił. A dwa lata w rozwoju zawodnika to bardzo dużo. Ani sam Dawid Tomala nie wiedział, na co go stać, ani tym bardziej jego otoczenie. Zakwalifikował się w Dudincach, osiągnął dobry rezultat, ale też nie fenomenalny. Ja 29 lat wcześniej w tych samych Dudincach uzyskałem wynik lepszy o cztery minuty. Realnie patrząc, wynik Dawida nie był porywający, bo czas 3:50 nie predestynuje zawodnika do sukcesów. Znaczące są dopiero wyniki zbliżone do 3:40. Rzecz w tym, że Tomala nie miał gdzie startować, wszystkie wielkie imprezy odwołano albo przełożono.

Byłem w stanie ciągłego zachwyty nad życiem i właśnie z zachwyty rodziła się chęć do pracy



Anna Kiesenhofer triumfuje na igrzyskach olimpijskich w Tokio, 25 lipca 2021 r.

Miałem z nim już kilka kontaktów po igrzyskach, w tym jedno spotkanie u mnie w domu. Zaimponował mi tym, jak świadomie postawił na pracę nad techniką, biomechaniką, na doskonalenie się. Wiedział, że właśnie w to musi zainwestować swój czas i pieniądze. Na przestrzeni kilkunastu ostatnich lat nie spotkałem się w Polsce z żadnym zawodnikiem, który byłby tak świadomy tego, czym powinien się zajmować i na jakich zasadach. Czekam na jeszcze jedno spotkanie z ojcem Dawida, bo musimy spokojnie się połączyć i pogadać jak trenerzy. Dawid wie, że ma jeszcze ogromne rezerwy, a jeśli je wykorzysta, to czekają go coraz lepsze wyniki.

Fenomenem igrzysk była też kolarka Anna Kiesenhofer, która wygrała wyścig ze startu wspólnego. Podobnie jak w przypadku Tomali została zignorowana przez rywalki. Nie można jej odmówić talentu i świetnego przygotowania.

Robert Korzeniowski

Fantastyczne, że w profesjonalnym sporcie, gdzie wszystko wydaje się wyliczone i dość przewidywalne, zdarzają się takie niespodzianki. To sprawia, że smak zwycięstwa jest szczególnie intensywny.

To piękne, że można w ten sposób zabłysnąć. Podobnie było ze mną w Barcelonie. Czy ktoś wtedy przypuszczał, że na swoich pierwszych igrzyskach wejdę na metę jako drugi?

Jak wyglądała pierwsza rozmowa mistrzów olimpijskich? Zadzwoił pan do Tomali?

Nie, wymieniliśmy się tylko SMS-ami. Pogratulowałem mu i podziękowałem za to, co zrobił, bo również dla mnie to była wzruszająca chwila. Ale szybko wróciliśmy do codzienności i ustalania dalszych działań. Spytałem go, kiedy wraca, udzieliłem mu paru rad, jak powinien teraz zarządzać czasem. Pamiętam, że spytałem go, kiedy wraca, a on odpowiedział: „Właśnie wsiadam do samolotu”. Mówię: „Dobra, to do zobaczenia na lotnisku, pojedziemy do studia Eurosportu”. Jak się później okazało, nawet rodzicom nie powiedział, że leci. Zadzwoiłem rano do jego ojca, żeby poprosić go o przyjazd do studia. Nie zrozumiał, o co mi chodzi, więc mówię: „Przecież Dawid już leci”. Usłyszałem: „Naprawdę?!”. To ode mnie dowiedział się, że jego syn wraca z igrzysk. W każdym razie uściskaliśmy się, gdy wszedł do studia. To było bardzo serdeczne.

To była wasze pierwsza rozmowa po igrzyskach?

Tak, nasza pierwsza rozmowa po jego sukcesie olimpijskim była de facto rozmową publiczną. Wcześniej tylko omówiliśmy sprawy organizacyjne. Miałem poczucie, że nie powinienem zarzucać go pytaniami, bo to on jest mistrzem olimpijskim i bohaterem igrzysk, a ja pełnię tylko funkcję służebno-dziennikarską. Wszyscy liczyli na mój komentarz, ale stale podkreślałem, że tutaj chodzi o Dawida. Oczywiście wszelkie porównania ze mną są uprawnione, tyle że powinny wybrzmieć z czasem, a teraz powinniśmy skupić się na Dawidzie.

Kiedy już na spokojnie spotkaliśmy się u mnie w domu, obiecałem mu, że może na mnie liczyć. W pewnym sensie, jako dwaj mistrzowie olimpijscy, jesteśmy skazani na to, by udźwignąć to, co nam się przydarzyło w sposób dość nieoczekiwany, ale piękny zarazem. Dawida czekają teraz trzy lata przygotowań do kolejnych igrzysk, jednak misja, jaka spoczywa na mistrzu olimpijskim, dalece wykracza poza aspekt sportowy. To znacznie dłuższa perspektywa niż czteroletnia perspektywa olimpijska.



FOT. MAREK BICZYK / PZLA / NEWSPIX.PL

Katarzyna Zdziebło podczas halowych mistrzostw Polski w Pile, 21 lutego 2021 r.

Czy będzie kolejny medal Tomali? Na 20. rocznicę odejścia ze sportu Roberta Korzeniowskiego?

Trudno powiedzieć.

Bo trzy lata to bardzo dużo?

Zgadza się, to dużo. A Tomala ma 32 lata. Poza tym nadal nie wiadomo, czy dystans 35 kilometrów zostanie uznany jako olimpijski, decyzja dotąd nie zapadła. Mówi się o rywalizacji drużynowej, na przykład kobiet z mężczyznami. Moim zdaniem byłoby to dość niefortunne, dlatego że przygotowanie drużyny na 35 kilometrów w ciągu zaledwie trzech lat to bardzo trudne wyzwanie. Mamy znakomitą Katarzynę Zdziebło, ale brakowałyby kolejnych dwóch osób do drużyny. W każdym razie, jeżeli zajdzie taka potrzeba, to Dawid podejmie walkę na 20 kilometrów, ale widzę go w walce o medal i na dystansie 35 kilometrów. Trzy lata to dość odległa perspektywa, a dziś Dawid koncentruje się na mistrzostwach świata w USA, bo to jego najbliższy cel.

Czy nie wydaje się panu czymś nieprawdopodobnym, że minęło już 17 lat od czasu, kiedy zakończył pan karierę sportową?

Tak, upływ czasu mnie szokuje.



Konferencja towarzysząca polskiej edycji konkursu ONZ „Mistrzowie sportu, mistrzowie życia”, 21 września 2005 r. Od lewej: Maciej Zdziarski, sekretarz Komitetu Krajowego Międzynarodowego Roku Sportu i Wychowania Fizycznego 2005, Robert Korzeniowski, przewodniczący komitetu, i Krzysztof Hołowczyc, kierowca rajdowy.

ARCHIWUM MACIEJA ZDZIARSKIEGO

Międzynarodowy Rok Sportu i Wychowania Fizycznego
MACIEJ ZDZIARSKI

Międzynarodowy Rok Sportu i Wychowania Fizycznego
ROBERT KORZENIOWSKI

Komitet Krajowy Międzynarodowego Roku Sportu i Wychowania Fizycznego
OGŁASZA KONKURS
MISTRZOWIE SPORTU, MISTRZOWIE ŻYCIA
POSZUKUJEMY ludzi, którzy poprzez zaangażowanie oraz osobisty przykład są „dobrekaskami”



Odśloniecie gwiazdy Roberta Korzeniowskiego na Deptaku Sław w Ciechocinku, 6 sierpnia 2016 r.

FOT. GERARD / REPORTER / EAST NEWS



Urodziny Justyny i Roberta Korzeniowskich – akcja wsparcia inicjatywy UNICEF Prezenty bez Pudła. Warszawa, październik 2021 r.

FOT. PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Pamiętam pana starty, jakby wydarzyły się wczoraj.

Kiedy sięgam do wspomnień i wypełniam treścią ostatnie 17 lat, dociera do mnie, jak wiele wydarzyło się w tym czasie. To nie było 17 lat, które ot tak przemknęły. To nie było 17 lat oczekiwania na sukces. Przez cały ten okres angażowałem się w wiele inicjatyw, a jednocześnie spełniałem jako zawodnik, później również trener, właściciel klubu RK Athletics.

Rzeczywiście można odnieść wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Z drugiej strony to „wczoraj” łączy się z wieloma działaniami, które miały miejsce „pomiędzy”. Myślę, że niebawem również Dawid Tomala będzie wspominał igrzyska z Tokio, jakby odbyły się wczoraj.

Muszę też powiedzieć, że mimo upływu czasu nie czuję się w żadnym stopniu oddzielony od tamtej epoki, nie ma dla mnie żadnej cezury między moją karierą zawodniczą a tym, co robię dziś. To cały czas ta sama historia, rozwijająca się i opowiadana w różny sposób.

Czy wraca pan do konkretnych chwil swojej kariery, czy zawsze idzie pan tylko do przodu?

Owszem, idę do przodu, ale jak każdy mam swoje refleksje, związane choćby z trybem życia. Przykładowo nigdy później nie żyłem tak komfortowo i higienicznie jak wtedy, kiedy byłem sportowcem. Ludzie demonizują ciężką pracę sportowców. Zgadza się, to jest harówka, ale nigdy później nie miałem tyle czasu na czytanie, na samodoskonalenie, na refleksję co wtedy. W trakcie kariery bardzo o siebie dbałem, wyjeżdżałem do sanatoriów na trzy tygodnie.

Pamiętam, jak na swoim blogu z lubością pisał pan o dwóch tygodniach roztrenowania i o tym, że można sobie wówczas pofolgować z jedzeniem. Lektura tekstów, które pisał pan na bieżąco, była niezwykle ciekawa, pozwalała obserwować codzienne życie sportowca w sposób całościowy.

Coś w tym jest. Czasem dopada mnie nostalgia i wspominam tamten czas. Gdy ostatnio byłem z rodziną w Pirenejach, przypomniałem sobie, jak odmienne warunki panowały w ośrodku przygotowań olimpijskich. Pokoiki miały powierzchnię dwóch metrów na półtora metra, toaleta była na korytarzu, a prysznic mylił się z szafą, jednak to zupełnie nie przeszkadzało. Dziś pewnie trudno byłoby mi mieszkać w takich warunkach, wtedy to była młodzieńcza arkadia.

FOT. VIPHOTO / EAST NEWS



” **Uważam,
że jestem
ogromnym
szczęściarzem**

Trzeba jednak przyznać, że początki pana kariery były bolesne. Zmagał się pan z astmą, doświadczył dramatycznej śmierci przyjaciela, a do tego dyskwalifikacja w Barcelonie...

Uważam, że jestem ogromnym szczęściarzem. Często przypinałem sobie biblijną przypowieść o talentach. Zawodnik może mieć ogromny talent, zostać szybko zauważonym przez trenerów, ale tylko w połączeniu z determinacją i wytrwałą pracą może to przynieść owoce.

Skąd czerpał pan siłę do tej pracy?

Byłem w stanie ciągłego zachwytu nad życiem i właśnie z tego zachwytu rodziła się chęć do pracy, podejmowania wyzwań, do pomnażania talentu. Wychodziłem z założenia, że skoro odkryłem swój talent, to nie mogę go nie wykorzystać, zaprzestać pracy i powiedzieć: „Dałem z siebie dużo, ale bez przesady, nie będę się zaharowywał”. Gdy przyszły pierwsze sukcesy, w ogóle nie brałem pod uwagę, że mogę porzucić marzenia, skoro osiągnąłem już to i owo. Nie, byłem raczej jak mały chłopiec, łobuz z podwórka, który nie wie, że nie może. Rywalizowałem, żeby odkrywać to, co wydawało się niemożliwe. To podejście sprawdzało się na każdym etapie życia, nawet gdy byłem już dojrzałym facetem.



Nam potrzeba było gry i zwycięstwa!

Rozmowa
z **Magdaleną Śliwą**

Wisła Kraków to klub, w którym zaczynała pani karierę, a dzisiaj, już jako trenerka kolejnego pokolenia siatkarek, znowu jest pani wiślaczką. Czym jest dla pani Wisła?

Wisłę mam w sercu. Wisła była od zawsze w moim życiu. Przygodę z siatkówką zaczynałam jako dziecko, od podawania piłki. Biłyśmy się z koleżankami o to, która z nas przyjdzie na mecz, żeby popatrzeć, a przede wszystkim podawać piłkę i być blisko zawodniczek. Nie mogłam opuścić żadnego spotkania. Kiedy ogłoszono stan wojenny, nie wiedzieliśmy, co będzie z meczem w niedzielę, 13 grudnia. Nie jeździły tramwaje ani autobusy, trzeba było iść na piechotę. Wszyscy czekali pod halą Wisły. Wtedy pierwszy raz zobaczyłam na ulicy Wiesię Holoher, jedną z moich idolek. Dotychczas widziałam ją tylko na parkiecie, w trakcie meczu. To było wielkie przeżycie, że idzie obok mnie, ubrana jak wszyscy. Też przyszła na mecz, który jednak się nie odbył.

Magdalena Śliwa

Urodzona 17 listopada 1969 r. w Makowie Podhalańskim, siatkarka grająca na pozycji rozgrywającej, zawodniczka drużyny Złotek prowadzonej przez Andrzeja Niemczyka, reprezentantka kraju w latach 1990–2007. Rekordzistka pod względem liczby rozegranych meczów w reprezentacji (359).

Wychowanka Wisły, w której zadebiutowała jako 17-latką (w meczu ligowym). W macierzystym klubie występowała do roku 1992, zdobyła z nim m.in. wicemistrzostwo Polski (1989/1990). Na krajowych parkietach największe sukcesy odnosiła z Chemikiem Police, z którym dwukrotnie stanęła na najwyższym stopniu podium rozgrywek ligowych, trzykrotnie sięgnęła po Puchar Polski oraz po trzecie miejsce Pucharu Zdobywców Pucharów.

W 1998 r. przeniosła się do ligi włoskiej, w której przez trzy pierwsze sezony występowała razem z Dorotą Świeniewicz w Desparze Perugia. Z tym klubem zdobyła Puchar Włoch w 1999 r. W 2000 r. zdobyła Puchar Zdobywców Pucharu – odpowiednik pucharu CEV.

Największe sukcesy reprezentacyjne przysły w 2003 r., kiedy z drużyną prowadzoną przez Andrzeja Niemczyka wywalczyła awans do World Grand Prix, a następnie zdobyła złoty medal mistrzostw Europy, na których została wybrana najlepszą rozgrywającą turnieju. Dwa lata później ponownie sięgnęła po mistrzostwo Europy.

W 2007 r. przez kilka miesięcy była asystentką trenera reprezentacji Polski Marco Bonitty. Wówczas też, podczas Pucharu Świata w Piłce Siatkowej Kobiet w Japonii, rozegrała swoje ostatnie mecze w biało-czerwonych barwach. Następnie skupiła się na pracy trenerskiej, okazjonalnie wracając do gry. W sezonie 2010/2011 wraz z córką Izabelą reprezentowała barwy PGE Atomu Trefla Sopot, z którym wywalczyła srebrny medal mistrzostw Polski. Obecnie trenuje drużynę siatkarek Wisły.

Bierze udział w akcjach charytatywnych i propagujących sport, m.in. w meczach Złotek po latach.



Lata 60. XX w. Siatkarki krakowskiej Wisły.

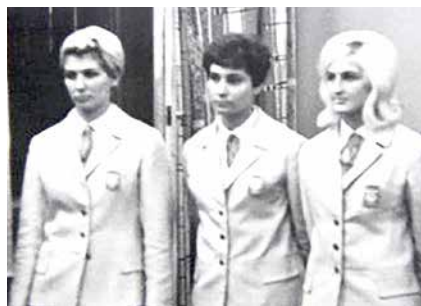
FOT. ARCHIWUM JÓZEFY LEDWIG

Spotykamy się chwilę po premierze książki „Dziewczyny z brązu, chłopaki ze złota”, o siatkarkach i siatkarzach będących medalistami olimpijskimi. Zamieściłem w niej dwie rozmowy z wiślaczkami, z Józefą Ledwig i Wandą Wiechą-Wanot. Nie zdążyłem porozmawiać z Elżbietą Porzec-Nowak, która zmarła w 2019 roku, ale ona również jest tam wspomniana. Zawodniczki z Tokio '64 i Meksyku '68 sięgnęły po brąz. Znała je pani?

Oczywiście! Pani Józia Ledwigowa przychodziła na wszystkie mecze, razem z moją pierwszą trenerką, również była zawodniczką Wisły, Romą Karolczyk. To były czasy, kiedy mało pisało się o siatkarkach, które zdobyły medale na igrzyskach, ale wiedziałam, kim jest pani Józia. Do dziś pozostaje w świetnej formie, w ogóle się nie zmienia. Z panią Elżbietą miałam natomiast przyjemność poznać się kilka lat temu przy okazji mistrzostw Europy.

Siatkarki Wisły w reprezentacjach olimpijskich

Magdalena Śliwa jako wiślaczka była następczynią znakomitych zawodniczek, medalistek olimpijskich: Józefa Ledwig, Wandy Wiecha-Wanot i Elżbiety Porzec-Nowak. W krakowskim klubie zdobywczyne medali na mistrzostwach Europy oraz igrzyskach olimpijskich w Tokio '64 i Meksyku '68 nie były tylko legendami: przychodziły na mecze, pojawiały się na imprezach sportowych. Wisła słynęła z serdecznej atmosfery. „To był bardzo duży, wielosekcyjny klub, ze znanymi zawodnikami – koszykarzami czy lekkoatletami – a nie zauważyłam, żeby ktoś zadzierał nosa, bo zdobył mistrzostwo i czuł się lepszy” – opowiada Wanda Wiecha-Wanot w książce „Dziewczyny z brązu, chłopaki ze złota. Rozmowy o siatkówce i nie tylko z medalistami igrzysk olimpijskich”. Wspomina też renomę krakowskiego zespołu w latach 60. i 70.: „Najlepszym klubem jest wtedy Wisła Kraków. Grać tam to jak wygrać piątkę, może nawet szóstkę w totolotka”.



FOT. HISTORIA WISŁY.PL

Od lewej: Wanda Wiecha, Józefa Ledwig i Elżbieta Porzec.

Wandę Wanot witała w Wisle Józefa Ledwig, opromieniona sławą brązowej medalistki z Tokio '64 ikona krakowskiego klubu i jedna z najlepszych polskich siatkarek. Była oddaną zawodniczką, broniła barw Wisły przez 12 lat (1961–1972), zdobywając w tym czasie aż 11 medali mistrzostw Polski. Miała opinię pracowitej, konsekwentnej siatkarki. Po zakończeniu kariery sportowej pozostała w klubie jako asystentka trenera, z pasją kibicowała kolejnym pokoleniom. „Siedziałam na trybunie i obserwowałam wszystkie mecze (...). Śledziłam losy wielu zawodniczek. To normalna kolej rzeczy: jedne zaczynają, drugie kończą kariery” – mówiła w wywiadzie do książki „Dziewczyny z brązu, chłopaki ze złota”.

Kolejną siatkarską gwiazdą Wisły była zmarła w roku 2019 Elżbieta Porzec-Nowak, zawodniczka o świetnym ataku i wyszkoleniu technicznym. Krakowski klub reprezentowała w latach 1964–1977. W tym czasie wzięła udział w ponad 150 meczach reprezentacji Polski, zdobyła brązowy medal olimpijski w Meksyku w 1968 r. i tytuł wicemistrzyni Europy w Izmirze w 1967 r.

Jaka była Wisła drugiej połowy lat 70. i początku lat 80., kiedy przychodziła pani na mecze jako dziewczynka?

Przede wszystkim były tłumy na widowni. Zawsze przychodziło wielu kibiców, a dziewczyny grały o medale, więc mocno to przeżywaliśmy. Pamiętam znakomite mecze na szczycie z ŁKS-em. Trenerem był Jerzy Matlak, grały gwiazdy reprezentacji. Wtedy właśnie zaraziłam się siatkówką. Starłam się nie opuścić żadnego treningu. Najgorszą karą, jaką mógł dać mi tata, był dla mnie zakaz wyjścia z domu.

Gdy już byłam juniorką, musiałam wybrać, czy kontynuować naukę w normalnym liceum, czy w liceum dla pracujących. Jako 17-latką zadebiutowałam w ekstraklasie. Trudno byłoby mi pogodzić szkołę ze sportem profesjonalnym, więc zdecydowałam się na liceum zawodowe. Dzięki temu mogłam codziennie rano przychodzić na indywidualne treningi z trenerem Leszkiem Kędryną, a po południu – na zajęcia z drużyną. Bardzo szybko weszłam w zawodową siatkówkę. Absolutnie tego nie żałuję.



Magdalena Śliwa z córką Izabelą i trenerem Leszkiem Kędryną.

FOT. TOMASZ MARKOWSKI / AGENCJA PRZEGLĄD SPORTOWY / NEWSPIX.PL

Leszek Kędryna był ważnym trenerem w pani karierze sportowej?

Bardzo! Wcześniej zajmowała się mną Roma Karolczyk, z którą zaczęłam przygodę siatkarską w podstawówce, w klasie sportowej działającej pod patronatem Wisły. Natomiast prawdziwym trenerem był właśnie Leszek Kędryna. Miał lepsze zawodniczki ode mnie na rozegraniu, ale postawił na mnie.

Czuł, że to inwestycja, która się zwróci.

Tak. Zdobyłyśmy złoto na olimpiadzie młodzieżowej, później były srebra w juniorkach. Dziś wiem, że starszym, bardziej doświadczonym dziewczynom mogło się nie podobać, że siedzą na ławce, a gra młodsza. Później to zrozumiały, bo się rozkręcałam i z meczu na mecz grałam coraz lepiej. Rok później, kiedy byłam 18-latką, zdobyłyśmy srebro. Wtedy Leszek Kędryna postawił też na moją rówieśniczkę, Elę Wronę, teraz Malinowską, i obie znalazłyśmy się w pierwszej szóstce. Bardzo dobrze

przyjęła nas stara gwardia. Osiągnęliśmy sukces, zdobyliśmy wicemistrzostwo, później był brąz... Tak że inwestycja trenera we mnie się powiodła.

Wisła dała pani fundament, który później procentował?

Jeszcze jako zawodniczka Wisły miałam propozycję wyjazdów do Austrii, Niemiec. Niestety przepisy w polskiej siatkówce nie pozwalały na wyjazd za granicę przed ukończeniem 27. roku życia. Natomiast jako młoda kadrowiczka zdecydowałam się, wraz z Goską Niemczyk i Kaśką Zubel, na zmianę barw klubowych. Przeszliśmy do Chemika Police, choć nie grał w ekstraklasie, ale w pierwszej lidze. W Policach w pierwszym sezonie wszystkie mecze wygrałyśmy 3 : 0. Z roku na rok zdobywałyśmy medale – złoto mistrzostw Polski jako zespół w ekstraklasie, Puchar Polski. To były świetne czasy.

Jest pani dwukrotną mistrzynią Europy, współtwórczynią sukcesu, dzięki któremu siatkarki znalazły się na topie. Andrzej Niemczyk obiecywał wam, że podpisiecie kiedyś wielkie kontrakty, ale w 2003 roku myślałyście o tym z niedowierzaniem.

Uważam, że bardzo dużo dał nam, zawodniczkom z kadry Niemczyka, wyjazd do Włoch. W zespole, który zdobył pierwsze złoto na mistrzostwach Europy, były grające wcześniej we włoskich klubach Dorota Świeniewicz, Goska Niemczyk i Małgosia Glinka. To był inny poziom, jeśli chodzi o treningi czy samo spojrzenie na siatkówkę.

Kiedy pojechałam grać w Perugii, dostałam torbę i nie wiedziałam, co zrobić! Koszulki na dwa tygodnie, skarpetki na dwa tygodnie. Każda zawodniczka była ubrana od góry do dołu i tylko tak miałyśmy się ubierać – dzięki temu wyglądałyśmy od razu jak drużyna. Włochy były lekcją zawodowego sportu. Później podpowiadałyśmy sporo młodszym zawodniczkom w reprezentacji, przenosiłyśmy nasze doświadczenie na polskie parkiety.

Tymczasem realia w kadrze były jak z innego świata. Jadąc na mistrzostwa Europy, nie miałyśmy nawet jednakowych spodenek do rozgrzewki. Po drodze, na bazarze przed Pałacem Kultury, kupiłyśmy sobie stroje. Z kolei na mistrzostwach świata w Niemczech miałyśmy wprawdzie zielone koszulki, ale z paprykami i napisem „Węgry”, który zaklejałyśmy plastrem.

Trafiłyśmy jednak w czas, kiedy coś zaczęło się zmieniać. Wreszcie w klubach traktowano wszystko bardziej serio. Wcześniej rzadko organizowano odprawy przed



Magdalena Śliwa
i Andrzej Niemczyk.

FOT. RAFAŁ BAŁA / NEWSPIX.PL

meczem stricte pod przeciwnika. Pamiętam, jak na mistrzostwach świata chłopak ze sztabu, który przygotowywał nas do meczu, stwierdził, że ulubioną zagrywką Brazylijek jest zagrywka w piątą strefę. Przerwałam i mówię: „Przepraszam, nie mogę tego słuchać. Ulubiona zagrywka?! One zagrywają taktycznie!”. O ulubionej zagrywce możemy mówić w trzeciej lidze, kiedy dziecko nie umie inaczej zagrać. Tak wyglądała wtedy odprawa w reprezentacji Polski.

Niemczyk, który przyjechał z Zachodu, wiedział, jak powinna wyglądać gra w reprezentacji. Zaczęły się zmiany.

Droga do Złotek

W 2003 r. żeńską kadrę siatkarską znów obejmuje Andrzej Niemczyk (wcześniej był trenerem w latach 1975–1977). Jak wspominał, pensję od PZPS-u dostał wystarczającą akurat na... benzynę, by jeżdżąc po Polsce, wybrać siatkarki do kadry. Nie miał łatwego zadania ani dużo czasu – do mistrzostw Europy w Turcji zostało zaledwie kilka miesięcy. Na początek postanowił przekonać do występów w kadrze dziewczyny, które grały w zagranicznych klubach: Dorotę Świeniewicz, Magdalенę Śliwę, Małgorzatę Glinkę.

Nie było to proste. W ówczesnych realiach, gdy siatkarki grały w Polsce w kiepskich warunkach i nawet dresy dziedziczyły po innych ekipach, zachodnie kluby dawały stabilizację i szansę na rozwój, a kadra... Niemczyk sam przyznawał, że siatkarki wolały grać za granicą, niż narażać się na kontuzje w reprezentacji, z którą i tak nie odnosiły sukcesów. Ale przekonał je.

Na zawody do Turcji siatkarki pojechały bez presji; media bardzo mało interesowały się tym wydarzeniem. Na początek Polki wygrały 3 : 2 z Holenderkami i to zwycięstwo je poniosło. W kolejnych meczach grały nierówno, ale wygrały z ekipami Ukrainy, Bułgarii i Czech, przegrały natomiast z Włoszkami 1 : 3. Półfinał naszych siatkarek z Niemkami był niesłychanie zacięty, jednak Polki zwyciężyły. W finale bez problemu pokonały Turcję. Wróciły ze złotem!

W 2005 r. Polki jechały do Chorwacji na kolejne ME bronić tytułu, tym razem pod większą presją. Siatkarki znów, jak dwa lata wcześniej, rozegrały zacięty, pięciosetowy mecz z Niemkami. I znów wygrały go w tie-breaku (15 : 13). Dramatyczny półfinał z Rosją również rozstrzygnął się w tie-breaku wynikiem 22 : 20 dla Polek. W finale z Włoszkami, mistrzyniami świata, Złotka zagrała jak z nut, zaskakując nawet swojego trenera. Wynik 3 : 1 po fantastycznym widowisku był idealną nagrodą za trudy całego turnieju.

Pełny skład Złotek w 2003 r. (ME w Turcji): Magdalena Śliwa, Izabela Bełcik, Agata Mróz, Katarzyna Skowrońska, Maria Liktoras, Dominika Leśniewicz, Dorota Świeniewicz, Małgorzata Glinka, Joanna Mirek, Małgorzata Niemczyk-Wolska, Aleksandra Przybysz, Anna Podolec.

Pełny skład Złotek w 2005 r. (ME w Zagrzebiu): Magdalena Śliwa, Izabela Bełcik, Natalia Bamber, Katarzyna Skowrońska, Sylwia Pycia, Mariola Zenik, Dorota Świeniewicz, Małgorzata Glinka, Aleksandra Przybysz, Milena Rosner, Agata Mróz, Joanna Mirek.

Rzeczywiście Andrzej Niemczyk wrócił z Niemiec, ale w szczególnym dla siebie czasie, trudnym, mówiąc dyplomatycznie. Już wcześniej, jako młody człowiek, prowadził reprezentację Polski kobiet – bez oszałamiających rezultatów. Może to zrodziło w nim determinację, żeby tym razem pokazać coś innego?

On od początku wiedział, jaki ma materiał i co jest w stanie z nami zrobić. Był trenerem, który dawał kompletną swobodę. Mogłyśmy przyjechać na zgrupowanie z mężami, chłopakami, pod warunkiem że nie będą spać w tym samym hotelu co my. Ja na zgrupowania kadry jeździłam z córką, odkąd skończyła półtora roku. Nie każdy trener pozwala na coś takiego w sporcie zawodowym. Ale chodziło głównie o nasz spokój i komfort gry, kiedy trzeba było zasuwać na treningach.

Same treningi też stanowiły dla nas pewną nowość. Niemczyk wprowadzał ćwiczenia, których wcześniej nie wykonywałyśmy. No bo kto odbija piłkę głową, nogą czy łokciem? A on nas szkolił bardzo wszechstronnie. Mówił o panoramicznym widzeniu, uczył, żeby patrzeć na wprost, a jednocześnie widzieć to, co jest obok. Tak



FOT. KACPER PEMPEL / REPORTER / EAST NEWS

Powrót mistrzyni Europy do Warszawy. Od lewej: Małgorzata Glinka, Katarzyna Skowrońska i Magdalena Śliwa, 2003 r.

wyćwiczyłyśmy zachowanie na boisku, że podczas odpraw potrzebowałyśmy znikomej liczby informacji. Bazowałyśmy przede wszystkim na czytaniu gry. Potrafiłyśmy zareagować na to, co zrobi nasz blok i jak zachowa się nasza obrona. Byłyśmy nauczone patrzenia. Wystrzegaliśmy się schematów, a w zamian reagowałyśmy na to, co się w danym momencie działo. Myślę, że nasz zespół znacznie przewyższał inne, jeśli chodzi o spryt na boisku.

Niemczyk świetnie się znał na kobietach i to był jego wielki atut. Wiedział, do której z nas może powiedzieć ostrzej, a którą należy pochwalić. Wiedział, jak każdą zmobilizować, jak zdingować, jak prowadzić rozmowy. Dziewczyny są bardzo pracowite, ale czasami drobny szczegół może zgasić zapał. My, kobiety, jesteśmy wrażliwe. I niewiele trzeba, żeby nas wkurzyć. Niemczyk umiał rozeznaczyć, co nas zmobilizuje do pracy, a co – wręcz przeciwnie – mogłoby sprawić, że się zatniemy, zatrzymamy. Poznanie dobrze kobiety to naprawdę wyższa szkoła jazdy.

Wspaniali chłopcy Ireneusza Mazura

Pod koniec lat 90. XX w. renesans w polskiej siatkówce przyszedł za sprawą młodego pokolenia. Na tle pasma porażek w dorosłej kadrze sensacyjne okazały się dokonania kadry juniorów, prowadzonych przez Ireneusza Mazura od 1993 r. W ciągu trzech lat szkoleniowiec stworzył drużynę, która zmiotła wszystkich rywali najpierw na mistrzostwach Europy w Netanii (Izrael, 1996 r.), a rok później na mistrzostwach świata w Bahrajnie. Co więcej – Mazur wypromował późniejsze sławy, które w XXI w. sięgały po medale: juniorskie złoto zdobyli z nim m.in. Paweł Zagumny, Piotr Gruszka (co prawda obaj wcześniej grali na IO w Atlancie, ale trudno w tym wypadku mówić o sukcesie), Sebastian Świdorski, Grzegorz Szymański, Krzysztof Ignaczak, Dawid Murek...

Złoci medaliści MŚ juniorów w Bahrajnie w 1997 r.: Paweł Zagumny (Czarni Radom), Lukasz Kruk (Solo Morze Szczecin), Paweł Papke (Mostostal Kędzierzyn Koźle), Grzegorz Szymański (SMS Rzeszów), Robert Szczerbaniuk (SMS Rzeszów), Marcin Prus (SMS Rzeszów), Radosław Wnuk (SMS Rzeszów), Piotr Gruszka (Yawał AZS Częstochowa), Dawid Murek (Yawał AZS Częstochowa), Sebastian Świdorski (Stilon Gorzów), Michał Chadała (Yawał AZS Częstochowa), Krzysztof Ignaczak (Chelmiec Wałbrzych).

To pierwsze mistrzostwo Europy otworzyło XXI wiek w polskiej siatkówce. Wcześniej, w 1997 roku w Bahrajnie, zawodnicy z kadry U-21 Ireneusza Mazura zdobyli złoto mistrzostw świata. Czy panie miały świadomość tego, że również są częścią wielkiej zmiany? Co prawda po was już takich sukcesów kobiet nie było, ale klimat wokół siatkówki jako drugiego sportu narodowego, po piłce nożnej, budował się właśnie na przełomie XX i XXI wieku.

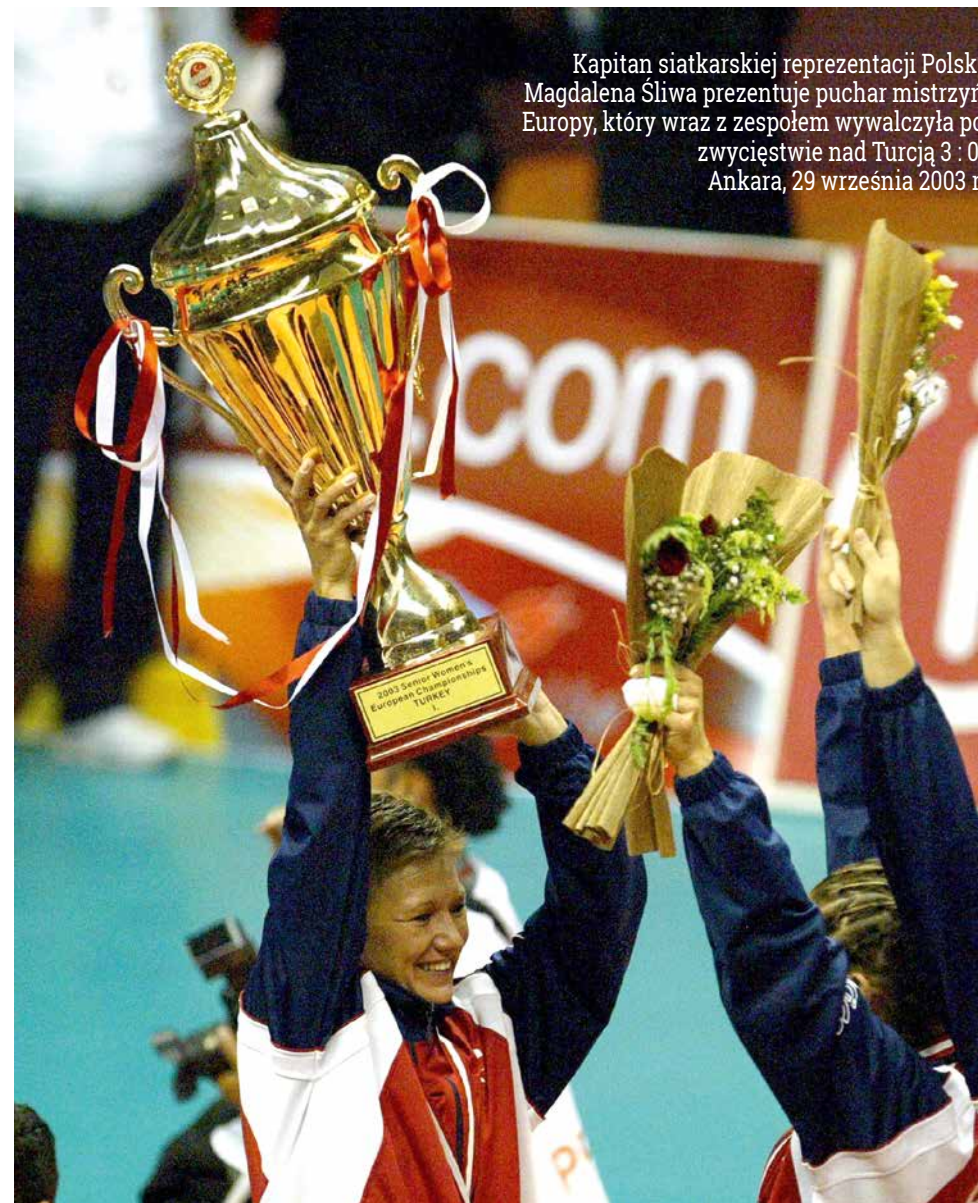
My to zaczęłyśmy. Pokazałyśmy, że się da. Natomiast z bólem serca obserwuję następne pokolenia. Mam wrażenie, że towarzystwo stało się zbyt wygodnicze, że to nie są dziewczyny, które, jak my kiedyś, oddałyby wszystko za grę w reprezentacji. Priorytety są inne. My na początku nie dostawałyśmy ani grosza. Po prostu byłyśmy dumne z samego faktu, że gramy w reprezentacji. Na urlopie byłam tylko dwa razy. Z drugich wczasów zostałam ściągnięta do reprezentacji, gdy się okazało, że jestem potrzebna. I dla mnie najważniejsze było to, żeby występować dla Polski. Nie rozumiem dziewczyn, które wybierają pracę w klubie, a nie grę w reprezentacji.

Pieniądze bardzo zmieniły sport, w piłce nożnej widać to jeszcze wyraźniej.

Tylko czy Messi, Ronaldo, Lewandowski odmówili kiedyś reprezentacji? Nie odmówili. Mają w sobie ducha prawdziwego sportowca. Nie rezygnują z reprezentacji dlatego, że muszą wypocząć przed meczami klubowymi, dzięki którym zarabiają.

Z takim podejściem musi być czymś szczególnie przykrym brak medalu na igrzyskach. Czy niechętnie wraca pani do turnieju przedolimpijskiego w Baku?

Niestety tak. Przyszedł do mnie trener Niemczyk i mówi: „Co myślisz o tym, żebyśmy odpuścili mecz?”. Ja na to: „Trenerze, do mnie z takimi tematami absolutnie



Kapitan siatkarskiej reprezentacji Polski Magdalena Śliwa prezentuje puchar mistrzyni Europy, który wraz z zespołem wywalczyła po zwycięstwie nad Turcją 3 : 0. Ankarą, 29 września 2003 r.

FOT. PAP / EPA / KERIM OKTEN

proszę nie przychodzić. Nawet nie chcę o tym słyszeć!”. Ale przed meczem z Azerkami zwrócił się do nas: „Dziewczyny, ten mecz musimy przegrać, żeby później było nam łatwiej, i dlatego wystawiam drugą szóstkę”. W tym momencie wszystko się posypało. Bo dziewczyny, które wcale nie były słabsze, stały się zawodniczkami, które mają przegrać mecz.

Radość Polek po zwycięstwie
z Niemkami w półfinale mistrzostw
Europy w Turcji we wrześniu
2003 r. Kolejna wygrana – w finale
z Turczynkami – dała Polsce złoty
medal.



Finałowy mecz mistrzostw
Europy w Chorwacji, wrzesień
2005 r. Polki pokonały Włoszki
3 : 1 i po raz drugi z rzędu
zostały mistrzyniami Starego
Kontynentu.



Mistrzyni Europy (2005) – od lewej: Małgorzata Glinka, Magdalena Śliwa, Izabela Belcik i Mariola Zenik.

FOT. CONNY KURTH / REPORTER / EAST NEWS



Izabela Lemańczyk,
córka Magdaleny Śliwy.



A więc ten psycholog kobiet popełnił błąd.

Bardzo duży błąd! Nam potrzeba było gry i zwycięstwa. A wtedy nasz duch zgasł, spadło morale zespołu. To rzecz, którą ciężko wybaczyć i zapomnieć...

Zwłaszcza że ten taktyczny pomysł był błędem, bo przegralyście później z Turczynkami, i cała układanka okazała się bez sensu. Nawet powtórne mistrzostwo Europy tego nie osłodziło?

Nie osłodziło, bo igrzyska to igrzyska. To spełnienie marzeń każdego sportowca. A byłyśmy bardzo blisko sukcesu!

Niemniej rok później sięgnęły panie ponownie po mistrzostwo Europy.

Na pewno pierwsze zdobycie mistrzostwa było silnym bodźcem i dodało nam wiary, że jesteśmy zawodniczkami, z którymi trzeba się liczyć. Mistrzostwa w Chorwacji były zupełnie inne niż te pierwsze. Pamiętam dramatyczny mecz z Rosjankami. Niemczyk uważał, że nie ma po co stać w tym „cielętniku” – tak nazywał kwadrat

rezerwowych. W każdej dyscyplinie wszyscy siedzą, tylko w siatkówce zawodnicy stoją. Więc też siadliśmy. Była końcówka trzeciego seta, prowadziłyśmy. Zdążyłam tylko powiedzieć: „Nie wierzę, że tak gładko poradziłyśmy sobie z Rosjankami”. I wtedy straciłyśmy seta, przegrałyśmy czwartego, zaczęły się nerwy. Skończyło się dobrze, ale już nigdy nie mówię, że coś się łatwo wygra, ani nie zgaduję, jaki będzie wynik.

Jak zmieniło się pani życie po tych dwóch mistrzostwach Europy?

Na pewno stałyśmy się rozpoznawalne. Dużo nas było i w prasie, i w telewizji. Doświadczyłyśmy wielu miłych sytuacji. Pamiętam, jak na dworcu w Warszawie zaczął mnie pewien pan i stwierdził: „Jak powiem żonie, że spotkałem panią na dworcu, to nie uwierzy!”. Dużo było zaproszeń do szkół, spotkań z młodzieżą. Zaczął się boom na siatkówkę. Nie można było ogarnąć tłumów dzieciaków. A rozpoznawalność nie mija... Do tej pory spotykam ludzi, których nie znam, a którzy na mój widok krzyczą: „Złotko, Złotko!” – choć już od paru lat nie gram.

Kiedy zdobyła pani pierwsze mistrzostwo Europy, pani córka Izabela miała 13 lat. Wiedziała pani, że siatkówka jest jej pisana?

Córka już trenowała, kiedy w '98 roku pojawiła się pozycja libero. Byłyśmy akurat na męskiej siatkówce i zapytała: „Dlaczego on ma inną koszulkę? Ja też tak chcę”. Wtedy sobie zakodowała, że chce być libero. I tak zostało. Jej pierwszą idolką była Dominika Leśniewicz.

Rzadko się zdarza, żeby matka i córka występowały w jednej drużynie. Panie grały razem przez jeden sezon w Treflu Sopot.

Tak. A wcześniej jeszcze tutaj, w Wiśle. Iza od zawsze jeździła ze mną na mecze. Wszystkie moje koleżanki traktowała jak swoje ciocie, w tym Dorotę Świeniewicz, z którą mieszkaliśmy razem w pokoju. Po latach w szatni Iza mówi przed meczem: „Cześć, ciociu!”, a Dorka: „Iza, ja ci dam »ciociu«! Ja Dorka jestem”. Dla Izy to było niecodzienne przeżycie, by przestawić się na mówienie do dziewczyn po imieniu. Mnie też na parkiecie nie mogła nazywać mamą, to byłoby śmieszne, więc zwracała się do mnie po imieniu. Podobnie koleżanki Izy z zespołu – Ewelina Sieczka i Natalia Nuszal-Skrzypkowska – też musiały się przestawić na mówienie do mnie po imieniu. A grałam z zawodniczkami z pokolenia mojej córki dlatego, że skończyłam karierę dopiero w wieku 46 lat.

FOT. MACIEJ ZDZIARSKI

Matka i córka

Córka Magdaleny Śliwy, Izabela Lemańczyk (ur. 1990), twierdzi, że do siatkówki nikt jej nie zmuszał, ale wychowywała się na hali. Karierę siatkarską rozpoczęła w Wiśle Kraków, w sezonie 2006/2007 wywalczyła ze swoją drużyną srebrny medal mistrzostw Polski kadetek. Została wtedy wybrana najlepszą libero turnieju i otrzymała powołanie do juniorskiej reprezentacji Polski. W 2009 r. wystąpiła na mistrzostwach świata junierek w Meksyku, zajmując 13. miejsce. W sezonie 2010/2011 z Treflem Sopot zdobyła wicemistrzostwo Polski. Matka i córka występowały wówczas wspólnie na parkiecie, wzbudzając wielkie zainteresowanie kibiców. Obecnie Iza Lemańczyk gra w klubie DPD Legionovia Legionowo.

To ciekawe wspomnienie, bo pani starsze koleżanki opowiadają, że jako młode dziewczyny zwracały się do starszych zawodniczek per pani: „Pani Krysiu, proszę podać piłkę”.

To utrudnia komunikację. Pamiętam, jak Niemczyk przyszedł do nas i powiedział: „Mówcie do mnie na ty”. Protestujemy: „Jak to, panie trenerze?”. „No to mówcie mi »tato«”. „Ale jak to »tato« do trenera?” – dziwimy się. I zostało po starym. Czasami zażartowałyśmy sobie: „Ej, Andrzej”, ale w istocie nikt po imieniu do niego nie mówił.

Wróćmy jeszcze do sezonu, kiedy grała pani razem z Izą. Jakie to uczucie dla matki, ale i siatkarki z wielkimi sukcesami, kiedy widzi najpierw dorastanie, a później zawodniczą sprawność i dojrzałość swojej córki?

Jestem dumna i cieszę się, że Iza wcześniej przeszła na zawodowstwo. Jeśli chodzi o żywienie, o odpoczynek, całościowe przygotowanie do meczu, to bardzo szybko zaczęła być profesjonalnym sportowcem. Wiedziałam, że nie da plamy, bo napa-trzyła się w domu. Widziała, jak podporządkowuje życie treningom i meczom. Naszym trenerem w Sopocie był Alessandro Chiappini, z którym pracowałam wcześniej w Bergamo i Perugii, tak że byłam spokojna o poziom sportowy, o treningi.

Jak sama pani wspomiała, grała pani bardzo długo. To nie zdarza się często. Nawet dziś, formalnie rzecz biorąc, może pani wejść na boisko z pozycji trenera. W czym tkwi sekret pani formy?

Przede wszystkim kocham to, co robię. Gdyby ktoś mi dziś powiedział: „Jedziesz na kadrę”, to zgodziłabym się bez wahania. Dopiero później zastanowiłabym się, czy dam radę. Po prostu w dalszym ciągu uwielbiam grać w siatkówkę, to mi nie przeszło. Poza tym jestem cały czas aktywna. Może nie chodzę na siłownię i nie świruję na punkcie bycia fit, ale nie potrafię usiedzieć beczynnym. Mam



Magdalena Śliwa jako trener Tauronu MKS Dąbrowa Górnicza podczas meczu z Pałacem Bydgoszcz. 19 marca 2017 r.

FOT. PAP / TYTUS ŻMIJEWSKI

też ogródek, w którym cały czas coś robię. Może dlatego nie widzę problemu, by włożyć strój i zagrać mecz.

Chciałem zapytać jeszcze o Złotka po tych niespełna 20 latach – bo w 2023 roku będzie okrągła rocznica waszego pierwszego złota mistrzostw Europy. Czy coś zostało z ducha tamtej drużyny? Jak dzisiaj wyglądają wasze relacje?

Mamy grupę na WhatsAppie, na której często się komunikujemy. Pandemia troszeczkę nas zatrzymała, ale zaczęłyśmy już organizować złoty Złotek. Jesteśmy porozrzucone po Polsce, każda mieszka gdzie indziej. Niektóre dziewczyny mają kontakt ze sobą, więc nasze spotkania są rewelacyjne. Nie wyobrażam sobie, żeby za rok takiego zlotu nie było.

Ten za dwa lata musi być szczególnie uroczysty!

Oczywiście, jak to przystało na jubileusz! Niestety nie wszystkie dziewczyny dają się namówić na grę. W ostatnich latach podczas naszych spotkań grałyśmy mecze jako Złotka, ale dziewczyny są w różnej formie i niektóre już się wstydzą.

Pani nie.

Ja bym jeszcze sobie pograła!



Gdy się wygrywa,
wszyscy się cieszą.
Ale siła dobrego
zespołu tkwi
w tym, jak reaguje on
na przegraną

FOT. KATARZYNA PLEWCZYŃSKA / REPORTER / EAST NEWS

Rozmowa
z **Piotrem Gruszką**

Niewiele osób ma świadomość, że zaczynał pan od lekkiej atletyki, a nie od piłki siatkowej.

W dzieciństwie chwyciłem się wszystkiego, co związane ze sportem. Pochodzę z małego miasteczka, z Kęt. Na podwórku, czy raczej „na polu”, jak u nas się mówiło, aktywność fizyczna była czymś normalnym. Śmieję się, że już od żłobka wyróżniałem się pod względem wzrostu. Do tego byłem sprawny fizycznie, co sprawiało, że nauczyciele brali mnie na wszystkie możliwe zawody w szkole. Biegałem, skakałem wzwyż, rzucałem oszczepem, skakałem w dal i tak dalej. Sprawiało mi to przyjemność i w porównaniu z niektórymi dziećmi miałem całkiem dobre wyniki na zawodach.

W jaki sposób poznał pan siatkówkę?

W siatkę grał mój tato i brat, który jest sześć lat ode mnie starszy. Gdy rodzice pracowali, brat mnie pilnował, a gdy akurat miał treningi, zabierał mnie na salę i sadzał na materacu. Z początku tylko się przyglądałem, ale z nudy zacząłem podawać chłopakom piłki. Później też odbijałem z nimi, szło mi coraz lepiej i w początkowej fazie treningu mogłem nawet pograć z chłopakami. W ten sposób się rozwijałem.

Czy tata widział w panu nadzieję na spełnienie własnych ambicji siatkarskich?

Tata oczywiście mi kibicował, podobnie jak wszyscy w rodzinie. Chyba nie oczekiwał, że spełnię jego marzenia. On raczej bawił się w siatkówkę, nie grał na takim

Piotr Gruszka

Urodzony 8 marca 1977 r. w Oświęcimiu, jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich siatkarzy. Rekordzista pod względem liczby meczów rozegranych w kadrze (450), a także jej kapitan, występujący na pozycji atakującego bądź przyjmującego. Trzykrotny uczestnik igrzysk olimpijskich (Atlanta 1996, Ateny 2004 i Pekin 2008). W 2006 r. wywalczył z reprezentacją Polski srebrny medal mistrzostw świata w Japonii. MVP mistrzostw Europy w 2009 r., w których Polska zdobyła złoty medal. Uczestniczył w 11 edycjach Ligi Światowej (w latach 1998–2008).

Jako licealista trafił do BBTS-u Włókniarz Bielsko-Biała i został podopiecznym trenera Wiktora Kreboka (od 1994 r. selekcjonera reprezentacji Polski). To właśnie w barwach Włókniarza w sezonie 1993/1994 Gruszka jako 16-latek zadebiutował w pierwszej lidze i europejskich pucharach. W roku 1996 razem z kadrą juniorów, prowadzoną przez Ireneusza Mazura, wywalczył mistrzostwo Europy juniorów w Izraelu. Rok później z tą samą reprezentacją sięgnął po złoty medal mistrzostw świata juniorów w Bahrajnie. Występy w kadrze seniorów rozpoczął już w 1995 r.

Oficjalnie zakończył karierę podczas ceremonii otwarcia mistrzostw świata w Polsce w 2014 r. Został trenerem BBTS-u Bielsko-Biała, a następnie GKS-u Katowice, Asseco Resovii Rzeszów i pierwszoligowego Norwid Częstochowa. Przez kilka miesięcy był asystentem szkoleniowca Ferdinando de Giorgiego w reprezentacji Polski siatkarzy. Uznany ekspert ds. siatkówki i komentator.

Gdy się wygrywa, wszyscy się cieszą. Ale siła dobrego zespołu tkwi w tym, jak reaguje on na przegraną



Kęty – rodzinna miejscowość Piotra Gruszki.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

poziomie, do jakiego ja doszedłem. Na pewno cieszył się z tego, że byłem aktywnym dzieckiem i miałem zajęcia sportowe. Sam, jako rodzic, zwracam na to uwagę. Na aktywność fizyczną można patrzeć bardzo szeroko. Nie chodzi tylko o to, by odnieść sukces, ale przede wszystkim o to, by dziecko rozwijało się fizycznie. Również gra zespołowa dużo daje i uczy dziecko współpracy z innymi. To przydaje się później w życiu.

Wiele osób twierdzi, że siatkarze wyróżniają się spośród innych sportowców.

Kiedys mówiono, że to sport dla ludzi inteligentnych. Chodzi tu o pewną mądrość związaną ze współpracą w grupie. Siatkarz musi umieć przewidywać, co się wydarzy, być dobrym obserwatorem, umieć współpracować. W siatkówkę na boisku gra sześciu zawodników plus libero. Zawodnik może przechylić szalę zwycięstwa, ale sam meczu nie wygra. Dlatego umiejętność obserwacji, współpracy, analizy sytuacji na boisku sprawia, że to sport dla osób kreatywnych. Myślę, że jeśli ktoś woli działać na własną rękę, to większy sukces odniesie w dyscyplinach indywidualnych. Z drugiej strony indywidualności też są potrzebni w drużynach.

Był pan częścią zespołu indywidualistów, którzy zmienili oblicze polskiej siatkówki na przełomie XX i XXI wieku. Trafił pan do juniorskiej reprezentacji Ireneusza Mazura, która przyniosła chlubę polskiej siatkówce. Jak wspomina pan trenera Mazura i kolegów z drużyny?

Przede wszystkim cieszę się, że mogłem być częścią tego pokolenia. Są takie roczniki, w których trafia się dwóch czy trzech świetnych zawodników, a ja miałem to szczęście, że było nas kilkunastu chłopaków, którzy prezentowali najwyższy poziom.

Chcieliśmy wygrywać, chcieliśmy walczyć o swoje, tak jak wcześniej na podwórku. Udało się zebrać kilkunastu chłopów w jednym miejscu i trenować pod wodzą trenera Mazura. Był bardzo wymagający, niektórych chłopaków starał się wychowywać. Zresztą na tym też polega rola trenera.

W każdym razie tworzyliśmy bardzo fajną, charakterną grupę. To widać nawet dzisiaj, bo wiele osobowości tamtych czasów nadal prężnie działa w siatkówce. Kibice nas pamiętają, bo dawaliśmy im wiele radości. Decydujące było to, że ciągle walczyliśmy o swoje, o to, by iść do przodu, a nie spoczywaliśmy na laurach. Trener Mazur nie pozwalał nam na to.

Mówiono o was „armia Mazura”, co było pewną aluzją do tego, że Mazur lubił wojskowy dryl.

Na pewno obowiązywała u niego dyscyplina. Trener Mazur miał wyjątkowy charakter i chciał pokazać, że to się liczy w sporcie. Ja też jestem charakterny. Bo przy zwycięstwach zawsze jest łatwo. Gdy się wygrywa, wszyscy się cieszą. Ale myślę, że siła dobrego zespołu tkwi w tym, jak reaguje on na przegraną. To wtedy jest odpowiedni moment na budowanie charakteru grupy. Zwycięstwa usypiają, nikt nie analizuje gry, nie patrzy do przodu. Dziś wygraliśmy, więc jutro znowu wygramy i tak dalej.

A drużyna Mazura była mocno zdyscyplinowana – i dzięki treningom, i za sprawą osobowości trenera. To właśnie charakter tej ekipy pozwolił na zdobycie mistrzostwa Europy i mistrzostwa świata. Przez cztery lata pracy juniorskiej z Mazurem zagrałem w większości oficjalnych meczów. Później trener przejął grupę seniorską, w której też już grałem.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE IRENEUSZA MAZURA

Mistrzowie Europy juniorów z Izraela, 1996 r. W dolnym rzędzie od lewej: trener Ireneusz Mazur, Sebastian Świdorski, Paweł Papke, Krzysztof Ignaczak, Łukasz Kruk. W górnym rzędzie od lewej: kierownik ekipy Ryszard Litwin, Marcin Prus, Bartosz Szczesniowski, Piotr Gruszka, Radosław Wnuk, Paweł Zagumny, Dawid Murek, drugi trener Edward Sroka.

W seniorskiej kadrze zadebiutował pan już jako 18-latek, jeszcze zanim przyszedł wielkie sukcesy kadry Mazura.

Tak, byłem w seniorach, gdy w '96 roku w Izraelu zdobywaliśmy mistrzostwo Europy juniorów. Już rok wcześniej, w '95 roku, występowałem na mistrzostwach Europy seniorów. Tak że początek mojej kariery był bardzo dynamiczny.

Czy drużyna Wagnera stanowiła dla was istotny punkt odniesienia? Mielicie świadomość, że mierzycie się z legendą kolegów, którzy świętowali największe sukcesy, zanim się urodziliście?

Myślę, że nie. Oczywiście na początku Mazur nam o tym opowiadał. Wielu z nas miało przyjemność pracować z Hubertem Wagnerem w seniorach. Dobrze pamiętaliśmy, co ci ludzie zrobili dla polskiej siatkówki, choć może nie byliśmy do końca świadomi, co to znaczy zdobyć medal na igrzyskach olimpijskich czy wywalczyć mistrzostwo świata seniorów.

Gdy mierzyliśmy się z innymi reprezentacjami, wiedzieliśmy, że czeka nas kawał pracy. Część z nas już wcześniej grała w seniorach – oprócz mnie także Dawid Murek, Paweł Zagumny czy Paweł Papke. Później całą ławą weszliśmy do seniorów i pierwszy

rok Ligi Światowej był dla nas potężnym zderzeniem z dorosłą siatkówką. Na początku trudno było nam walczyć z zespołami na naszym poziomie, mimo to w pojedynczych meczach potrafiliśmy zaskoczyć nawet tych największych. To mobilizowało nas do tego, żeby pracować, i kolejne lata były coraz lepsze. Sukcesy z lat 2006 czy 2009, czyli wicemistrzostwo świata i mistrzostwo Europy, zdobywaliśmy już pod wodzą innych trenerów, co pokazuje, że znaczenie miała właśnie jedność drużyny. Poza tym sukcesy zawsze przychodziły po wcześniejszych porażkach, co potwierdza to, o czym mówię od początku.

Wiktor Krebok był pierwszym znaczącym trenerem na pańskiej drodze. Debiutował pan u niego w lidze jako 16-latek.

Tak. Przechodząc do Bielska-Białej, trafiłem w juniorach na trenera Bućkę. Mieliśmy świetną grupę zawodników, grał tam chociażby Kuba Bednaruk, który dzisiaj jest trenerem. Wygrywaliśmy sporo meczów w naszej grupie wiekowej. Wtedy właśnie dostrzegł mnie Wiktor Krebok, ówczesny trener reprezentacji. Dał mi szansę i trafiłem do pierwszego składu w klubie, mając 16 lat, a później do reprezentacji, gdzie grali zawodnicy w wieku dwudziestu kilku czy nawet 30 lat. Wiktor widział we mnie olbrzymi potencjał na zawodnika atakującego i to właśnie pod jego wodzą debiutowałem na igrzyskach olimpijskich w '96 roku, mając zaledwie 19 lat.

Jakim trenerem był Wiktor Krebok? To wielka osobowość polskiej siatkówki.

Wiktor był szczerym trenerem. Oczywiście każdy szkoleniowiec ma swoje poglądy na siatkówkę, ale praca, którą wykonywał, wyniki, które osiągnęliśmy w klubie, pozwalały wierzyć w to, co robi. Miał olbrzymią wiedzę i charyzmę. Drużyny, które prowadził, wspaniale się rozwijały. Wiktor twierdził, że siłownie można by zamknąć, bo w siatkówkę trzeba umieć grać. W tamtych czasach brzmiało to kontrowersyjnie. W każdym razie ja rozwinąłem się pod jego wodzą, co pozwoliło mi później ruszyć w świat. Trafiłem do Częstochowy, walczyłem w mistrzostwach Polski, a później także w reprezentacji.

Czym był dla pana wyjazd na igrzyska w Atlancie? Wydawało się, że po latach posuchy polska siatkówka ma szansę zaistnieć na międzynarodowej arenie, ale wynik rozczarował. Wiktor Krebok do dzisiaj ma poczucie, że niesprawiedliwie go oceniono. Jak postrzega pan to po latach?

Drużyna, która awansowała na igrzyska, z pewnością była bardzo silna. Nie byliśmy jednak taką reprezentacją jak dzisiejsza, gdy chłopaki grają we wszystkich

Gdy się wygrywa, wszyscy się cieszą. Ale siła dobrego zespołu tkwi w tym, jak reaguje on na przegraną



Igrzyska olimpijskie w Atlancie, 23 lipca 1996 r. Polacy w meczu fazy grupowej z reprezentacją Kuby. Po prawej stronie siatki od lewej: Witold Roman, Andrzej Stelmach i Piotr Gruszka.

najważniejszych rozgrywkach. Wtedy graliśmy mniej meczów, nie było możliwości, by ciągle rywalizować. Z pewnością jednak tkwił potencjał w drużynie. Grali w niej bracia Stelmach, Mariusz Szyszko, Mariusz Sordyl, Witold Roman – długo by wymieniać... Wszyscy zawodnicy byli bardzo wysocy i świetnie grali. Przykładowo Krzysiek Stelmach był jednym z najlepszych przyjmujących w lidze włoskiej.

Na igrzyska w Atlancie awansowaliśmy dosyć niespodziewanie, zwyciężyliśmy w turnieju kwalifikacyjnym. Wiedzieliśmy, że jesteśmy zespołem, który może podjąć walkę. Wynik był jednak kompletnie rozczarowujący. Na pewno nie zasługiwaliśmy na taki rezultat, natomiast dla mnie, młodego chłopaka, igrzyska były cennym doświadczeniem, przetarciem drogi do rywalizacji z tymi najlepszymi. Wyjazd

do Atlanty pozwolił mi poznać atmosferę igrzysk. Dzięki temu na kolejną olimpiadę jechałem już z innym nastawieniem. Byłem starszy, wiedziałem, jak to wszystko wygląda i jakie mamy szanse.

Ma pan za sobą 450 meczów w reprezentacji, i to na różnych pozycjach. Czy ma pan poczucie, że jest częścią pokolenia, które stanowi łącznik między starymi a nowymi latami?

Grałem z zawodnikami z różnych pokoleń. Na samym początku trafiłem do reprezentacji, w której grali ludzie o 10 lat starsi ode mnie, byłem wśród nich młodzieniaszkiem. Później reprezentacja trochę się odmłodziła, dołączyło młode pokolenie graczy. Zaszły zmiany w przepisach, ale i w stylu gry.

W reprezentacji trenera Mazura grałem jako atakujący, podobnie jak Paweł Papke i później Grzesiek Szymański. Jednocześnie byłem na tyle wszechstronnym zawodnikiem, że radziłem sobie z przyjęciem i w klubach grałem również na pozycji przyjmującego. To dlatego moje sukcesy reprezentacyjne dotyczą gry w ataku, a sukcesy klubowe odnosiłem na pozycji przyjmującego. Moja wszechstronność pozwalała trenerom stawiać mnie na różnych pozycjach bez szkody dla jakości gry zespołu.

Pamiętam, jak zdobywaliśmy mistrzostwo Polski w Częstochowie z trenerem Gościniakiem. Graliśmy z Mostostalem Kędzierzyn-Koźle i w finałowej rywalizacji przegrywaliśmy 1 : 2. Czekał nas czwarty mecz w Kędzierzynie. Trener widział, że sytuacja wymyka się spod kontroli, więc zebrał nas wieczorem i powiedział: „Musimy dobrze przyjmować, żeby być jeszcze mocniejszymi w ataku”. Grałem wtedy cały sezon na pozycji przyjmującego, ale trener postawił mnie na ataku. To była dobra decyzja i w efekcie zdobyliśmy mistrzostwo Polski! W tak trudnym momencie moja wszechstronność sprawiła, że poziom gry zespołu nie obniżył się, ale jeszcze wzrósł w ofensywie.

Miał pan bezpośredni kontakt z trenerami, którzy tworzyli historię polskiej siatkówki. Czy pańskim zdaniem pielęgnowanie tradycji i pamięć o wielkich siatkarskich osobowościach są dziś istotne?

Bez wątplenia! Historia siatkówki na pewno jest ważna, warto ją znać. To dla mnie wielkie szczęście, że spotkałem na swojej drodze najważniejszych ludzi dla polskiej piłki siatkowej. Mogłem zobaczyć, jak pracują najwięksi trenerzy: jak



Piotr Gruszka jako trener GKS-u Katowice w meczu PlusLigi przeciwko Indykpolowi AZS Olsztyn, 28 grudnia 2018 r.

FOT. KACPER KIRKLEWSKI / 400MM.PL / NEWSPIX.PL

prowadzą trening, jak budują zespół, ale też co jest dla nich ważne, jakie wyznają wartości. To było wyjątkowe doświadczenie i staram się nim dzielić z innymi.

Dziś sam jest pan trenerem i ktoś za kilka czy kilkanaście lat będzie mógł powiedzieć, że spotkał na swojej drodze wielką osobowość polskiej siatkówki – Piotra Gruszkę. Czy to, jakim jest pan dzisiaj trenerem, wynika z pana doświadczeń? Bo nie ulega wątpliwości, że siatkówka bardzo się zmieniła...

Oczywiście, to sport, który stale się zmienia. Nie chcę jednak być niczyją kopią. Mam w pamięci wspomnienia z pracy z różnymi trenerami i staram się po trochu czerpać od każdego z nich: od Kreboka, Mazura, Gościniaka, Boska czy Wagnera. To są najważniejsze postacie w historii polskiej siatkówki. Grałem też kilka lat za granicą, poznałem wielu znakomitych zawodników i trenerów.

Mistrzostwa
Europy w Turcji
w 2009 r. Radość
polskiej drużyny po
zwycięstwie 3 : 0
nad Bułgarią. Piotr
Gruszka w koszulce
z numerem 3.



FOT. CONNY
KURTH /
REPORTER /
EAST NEWS



FOT. DONAT BRYKCYŃSKI / REPORTER / EAST NEWS

Powitanie mistrzów Europy w siatkówce na lotnisku
w Warszawie. Szymon Majewski z Piotrem Gruszką,
MVP turnieju. 14 września 2009 r.

Powitanie złotych medalistów
mistrzostw Europy na placu
Defilad w Warszawie.
Piotr Gruszka z pucharem,
14 września 2009 r.



FOT. PIOTR BŁAWICKI / EAST NEWS

Miałem to szczęście, że dołączyłem do reprezentacji w latach 90., kiedy siatkówka w Polsce nie stała na najwyższym poziomie, ale każdy z nami się liczył – czy to Holandia, czy Włosi, czy później Jugosławia i Rosjanie. To były potęgi. Rywale zdawali sobie sprawę, że Polacy mają wielki zapał do gry. Tamte drużyny, tworzone przez znakomite osobowości, potwierdzały swoją jakość z pokolenia na pokolenie. Gdy dziś rozmawiam z kibicami, wszyscy wymieniają zawodników właśnie z tamtych lat. To dla mnie wielki zaszczyt, że miałem przyjemność z nimi rywalizować i uczyć się od nich.

Był pan trzykrotnym uczestnikiem igrzysk olimpijskich. Czy jako sportowiec, który tak wiele osiągnął, ma pan poczucie, że czegoś zabrakło?

Medal olimpijski to jedno z moich niespełnionych marzeń. Olimpiada to fantastyczna impreza, miałem zaszczyt trzykrotnie reprezentować Polskę. Niestety medalu nie udało się zdobyć, za każdym razem czegoś brakowało. To pozostaje w pamięci, ale nie rozpaczam, bo na tym świat się nie kończy. Chciałbym jeszcze raz spróbować powalczyć, oczywiście tym razem w innej roli niż kiedyś. Mimo to jestem spełnionym człowiekiem, bo wiem, że życie nie jest łatwe. Trzeba walczyć i korzystać z każdego dnia.

Dzisiaj kibice siatkówki są poobijani po Tokio, bo chyba jak nigdy wcześniej rozbudzone nadzieje na to, że reprezentacja wróci z igrzysk z medalem. Czego pana zdaniem zabrakło do sukcesu i przerwania tej kłątwy ćwierćfinału, która od lat nam towarzyszy?

Myslę, że to nie jest kłątwa. Igrzyska to wielki turniej. Ci, co chcą walczyć o medale, muszą wygrać mecz ćwierćfinałowy, taka jest kolej rzeczy. Graliśmy w tym meczu słabiej od Francji i dlatego odpadliśmy.

Zresztą w dalszym przebiegu turnieju Francja potwierdziła swoją klasę.

Francuzi na początku grali słabo, w pewnym momencie mogli odpaść z igrzysk. Było dla nas 2 : 1 i prowadziliśmy w czwartym secie. Niewiele brakowało, by dla Francuzów turniej zakończył się totalną klęską, ale karta się odwróciła. To pokazuje, jak niewiele dzieli porażkę od zwycięstwa.

Nie rozpatrywałbym tego w kategoriach szczęścia czy nieszczęścia. Szczęście oczywiście zawsze się przydaje, ale zabrakło nam jakości w tym turnieju, żeby rywalizować o medale. Gdybyśmy awansowali, to z pewnością moglibyśmy

Gdy się wygrywa, wszyscy się cieszą. Ale siła dobrego zespołu tkwi w tym, jak reaguje on na przegraną



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Reprezentant Polski Fabian Drzyzga po porażce z Francją na igrzyskach olimpijskich w Tokio, 3 sierpnia 2021 r.

powalczyć o złoto. Niestety czasami cała otoczka medialna i presja ze strony kibiców potrafią przytłoczyć. Uważam, że nasza reprezentacja była bardzo mocna – i nadal jest. Sam liczyłem na to, że chłopaki awansują do pierwszej czwórki, wtedy szanse medalowe byłyby potężne. Pamiętajmy, że to jest zespół mistrzów świata, do którego później dołączył jeszcze Wilfredo León, jeden z najlepszych siatkarzy na świecie – od tego czasu moc zespołu wzrosła potężnie. Graliśmy po prostu słabiej niż inni. To boli. Tym bardziej, że apetyty samych kibiców i ludzi związanych z siatkówką były większe.

To wszystko tylko potwierdza, że nie powinno się rozdawać medali przed zawodami. Igrzyska to specyficzna impreza, faworyci nie zawsze wygrywają. Wiare

w sukces podsyłali też sami zawodnicy, mówiąc, że jada po złoto, że jada po medal. Trudno dziwić się kibicom, że również mieli takie oczekiwania. Jednocześnie nie sposób nie wymagać od mistrzów świata walki o medal. To wszystko wywiera ogromną presję na zespół i nie zawsze dobrze się kończy.

Dlaczego po zakończeniu kariery zaangażował się pan w propagowanie aktywności fizycznej?

Należę do pokolenia siatkarzy, którzy zawsze o wszystko walczyli, brali odpowiedzialność za swoje życie i za relacje, które nawiązywali. Mimo że już nie gramy w siatkówkę i każdy poszedł w swoją stronę, ludzie nas pamiętają. Nadal jesteśmy swego rodzaju idolami. Dawaliśmy kibicom dużo radości, spotykaliśmy się z nimi, byliśmy otwarci, dzięki czemu utożsamiali się z naszymi sukcesami. Ludzie do dziś to pamiętają.

Jestem ojcem i wiem, jak ważna jest aktywność fizyczna. Ba, samo spędzanie czasu z dziećmi jest bardzo ważne, bo rodzic towarzyszy dziecku na etapie, na którym ono buduje swój charakter, szuka tożsamości. Dlaczego miałbym nie pokazywać dzieciom swojego świata? Dzisiaj rodzice mają trudne zadanie, bo młodym ludziom imponują osoby, które nie zawsze stanowią najlepsze wzory. Dzieciom nic się nie chce, albo szybko zaczynają wątpić w coś, co robią. A przecież dopiero życie weryfikuje nasze działania. Uważam więc, że dawanie przykładu swoim życiem jest bardzo potrzebne.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie zawsze rodzice mają tyle czasu dla dzieci, ile by chcieli. Sam tego doświadczam. Właśnie dlatego, tworząc turniej Gruszka Cup, za główną ideę przyjąłem to, by brały w nim udział dzieci razem z rodzicami. To ważne, bo pozwala rodzinom wzmacniać relacje. Dla wielu rodzin to jedna z niewielu okazji, by być ze sobą przez cały dzień, czasem dwa dni.

Niejednokrotnie rodzice przychodzą do mnie i dziękują za to, że mogli spędzić czas z dzieckiem. Gdy widzę, jak dziecko przytula się do taty po przegranym meczu albo jak cieszą się razem z wygraną, daje mi to dużo satysfakcji. Dlatego chcę działać dalej. Wydaje mi się, że moi koledzy myślą podobnie. Każdy ma swoje do zrobienia, a ja postawiłem na promowanie aktywności. Grunt, by robić to, co się robi, z uśmiechem. I przede wszystkim dla ludzi.

Gdy się wygrywa, wszyscy się cieszą. Ale siła dobrego zespołu tkwi w tym, jak reaguje on na przegraną

Siatkówka dla każdego

Sześć lat temu Piotr Gruszka obmyślił i zorganizował w Legnicy piknik siatkarski z elementami turnieju dla rodzin. Dziś Gruszka Cup to największy w południowo-zachodniej Polsce turniej siatkarski, promujący sport i aktywność dla każdego. Do rozgrywek mogą zgłaszać się całe rodziny, dorośli i dzieci. Równie ważna, jak trening pod okiem mistrza, jest dobra zabawa, dlatego podczas każdej edycji turnieju zapewniane są specjalne atrakcje. W 2021 r. impreza odbyła się na świeżym powietrzu, a jej gościem był m.in. popularny aktor Janusz Chabior.



Gruszka Cup, Legnica, 19 czerwca 2021 r.

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Aktywność fizyczna osób starszych

Rozmowy z ekspertami

Mistrzowie sprzed lat udowadniają, że także na sportowej emeryturze aktywność fizyczna odgrywa w ich życiu bardzo ważną rolę. Większość bohaterów książki zajmuje się upowszechnianiem sportu w różnych grupach wiekowych, dając dobry przykład dzieciom, młodzieży i dorosłym. Instytut Łukasiewicza od wielu lat promuje aktywność fizyczną wśród osób starszych. Wierzmy, że nigdy nie jest za późno, by odkryć w sobie miłość do sportu. O zbawiennym wpływie ruchu na zdrowie mówią ekspertki, które zaprosiliśmy do dyskusji.



Trzeba strzec się lenistwa

Rozmowa
z **Marią Laskowską-Szcześniak**,
geriatrą

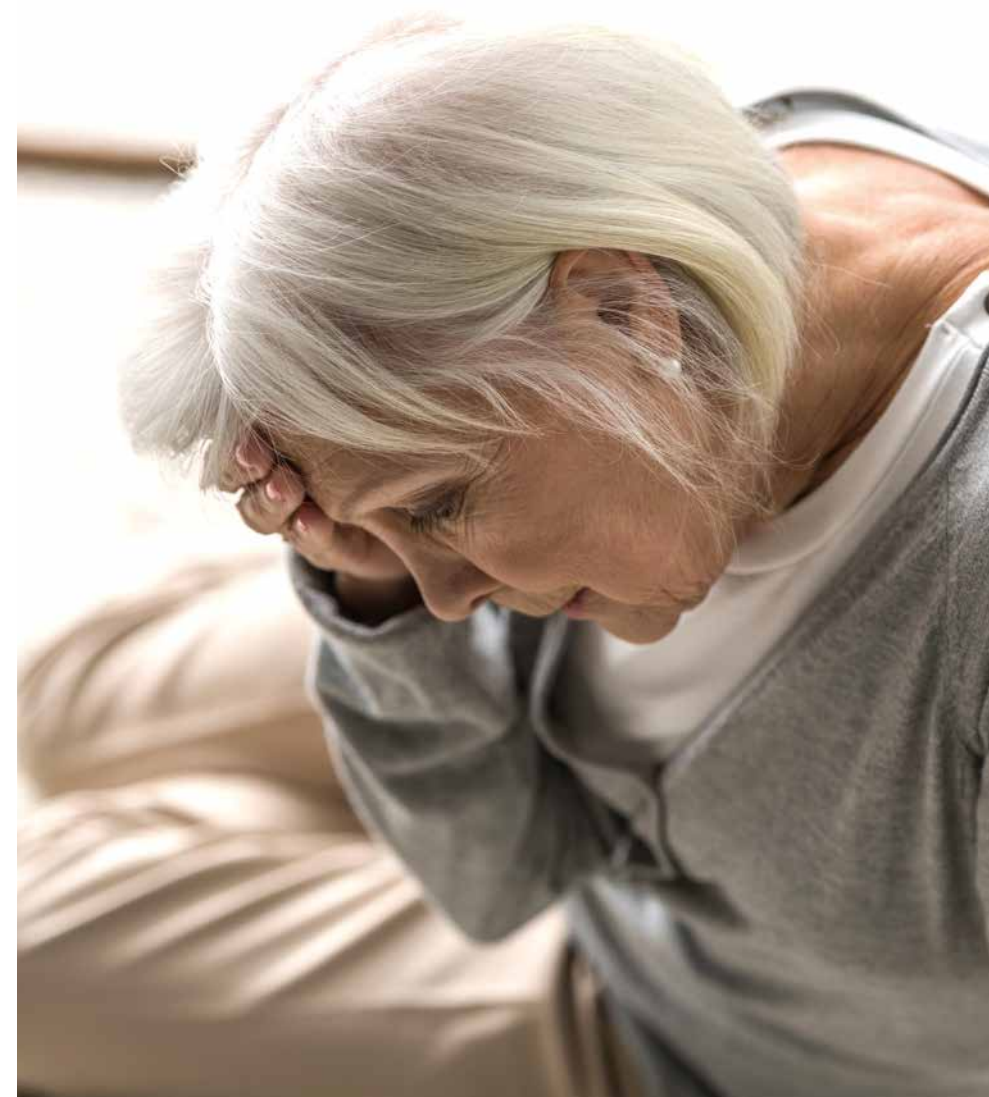
FOT. MAŁGORZATA GENCA / POLSKA PRESS

Mówimy potocznie, że niektórzy starzeją się dobrze, a inni starzeją się źle. Co może powiedzieć na ten temat geriatra, przykładając swoje szkielko i oko?

Już Sokrates mówił: „Z godnością oczekuj starości”, a także: „Nigdy nie zestarzeje się serce, które kocha”. Ludzie przebywający w środowisku sobie życzliwym, otoczeni rodziną, jeżeli żyją do późnych lat, czują się szczęśliwi. Człowiek chce być komuś potrzebny, chce kochać i być kochany. Teraz panuje trend życia w pojedynkę, mamy ponadto wiele rozwodów. Życie w rozbitych rodzinach niejednokrotnie negatywnie wpływa na samopoczucie, zwiększa ryzyko izolacji, osamotnienia. Niektórzy wycofują się z relacji z innymi osobami, bo np. poczuli się zranieni. A jeżeli człowiekowi brakuje wsparcia drugiej osoby, nie ma do kogo zwrócić się o pomoc, gdy jest w potrzebie, czuje się samotny. Osamotnienie prowadzi do stanów depresji. Konsekwencją jest spadek aktywności psychicznej i fizycznej, utrata zdolności do aktywności życiowej. Wycofywanie się z życia społecznego przyspiesza starzenie się i niedołączenie. Człowiek coraz gorzej radzi sobie w codziennym życiu. Niektórzy preferują ciszę, spokój i wolą samotność. To zależy od osobowości człowieka. Na starość jednak, kiedy coraz bardziej ubywa sił, pragnie się mieć kogoś bliskiego. Bywa też tak, że mimo przebywania w środowisku bliskiej rodziny, zajętej własnymi sprawami, człowiek stary czuje się dla niej zawadą, przeżywa osamotnienie. Z natury człowiek jest jednak istotą stadną i lubi przebywać w większej grupie społecznej.

Czy istnieje zależność między stylem życia, dbałością o własne ciało a późniejszym stanem zdrowia?

Ruch, uprawianie sportu, taniec, różne inne metody aktywności fizycznej poprawiają naszą sprawność, gibkość, zdolność utrzymywania równowagi, co sprawia, że lepiej się poruszamy, korzystniej wyglądamy, a także lepiej radzimy sobie w życiu. Poprawia się nasza samoocena, poczucie własnej wartości i w konsekwencji – czerpiemy więcej radości z życia. Człowiek z wiekiem jednak zmienia swój wygląd,



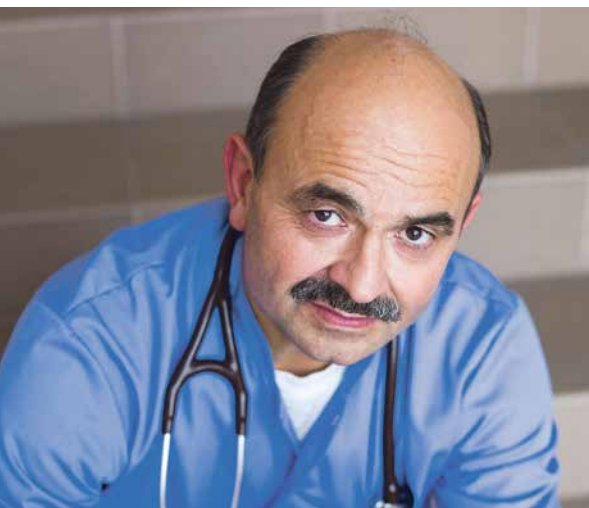
Zawroty głowy to jeden z objawów starzenia się organizmu.

FOT. 123RF

sposób poruszania się. Nie czuje się już taki piękny i wolałby się czasami wręcz skryć. Niekorzystnie na naszą kondycję wpływają choroby. Najbardziej przykre są zespoły geriatryczne, objawiające się w postaci pogarszającej się sprawności ruchowej, intelektualnej, narządowej. Mogą to być: niewydolność krążenia, stany po udarach mózgu, artroza stawów, osłabienie siły mięśniowej, zawroty głowy, zaburzenia pamięci itp.

Doktor Maria Laskowska-Szcześniak – specjalista chorób wewnętrznych i geriatry, były konsultant wojewódzki (lubelskie) ds. geriatry, współzałożycielka Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego, współpracująca z Lubelskim Uniwersytem Trzeciego Wieku. Od 40 lat pracuje z pacjentami w wieku dorosłym i podeszłym, szczególnie koncentrując się na pomocy osobom w wieku starszym. Autorka wielu prac poświęconych tematyce senioralnej, m.in. „Uwarunkowania pomyślnego starzenia”.

Aktywność to element leczenia



Doktor Krzysztof Czarnobilski

Jeden z częstych powodów, dla którego osoby starsze nie podejmują aktywności fizycznej, stanowi lęk przed upadkiem. Faktem jest, że wraz z wiekiem zmniejsza się siła mięśniowa, pogarsza zakres ruchu i mobilność stawów. Pojawiają się także problemy ze wzrokiem. Ekspert podkreśla jednak, że choć nie da się zupełnie wyeliminować zmian pojawiających się z wiekiem, możemy minimalizować ich skutki. Doktor Krzysztof Czarnobilski, geriatra, zaznacza, że aby uniknąć upadków, należy wdrożyć działania prewencyjne, zadbać o trening siły i równowagi. „Regularna i dobrze zaplanowana aktywność pozwala zmniejszyć lub wyeliminować utratę masy kostnej i mięśniowej. Proste ćwiczenia pomogą zachować ruchomość stawów i zmniejszą ryzyko upadków. Nawet jeśli osoba aktywna upadnie, konsekwencje zazwyczaj będą mniej dolegliwe”.

W razie upadku nie warto się poddawać. Zaprzestanie aktywności fizycznej wcale nie jest dobrym rozwiązaniem. „U seniorów często mamy do czynienia z tzw. zespołem poupadkowym: osoba po upadku zaczyna się obawiać – zwykle niewspółmiernie do sytuacji – że incydent się powtórzy. W efekcie ogranicza swoją mobilność i przestaje być aktywna. Staje się

coraz mniej sprawna i powstaje błędne koło. Im mniejsza aktywność, tym mniejsza sprawność i większe ryzyko upadku. Dlatego po upadku należy możliwie szybko powrócić do aktywności. Staram się przekonywać seniorów, że aktywność to element leczenia, a nie coś, co jest ryzykowne” – mówi dr Krzysztof Czarnobilski.

Dla wielu ludzi, którym choroba odebrała sprawność, ważne stają się nowoczesne technologie. Z jednej strony mamy więc osoby starsze, które odrzucają wszystko, co nowe, są poirytowane zmianami, nie lubią ich, a z drugiej – ludzi zafascynowanych nowościami, które przynosi świat. Czy ciekawość i otwartość na zmiany wpływa na to, jak się starzejemy?

Rozwój cywilizacji, techniki był dla nas do pewnego momentu bardzo korzystny, poprawiał warunki życia. Niestety od pewnego czasu zaczął nam szkodzić, bo wszystkie ułatwienia oferowane przez nowoczesne technologie ograniczają nasz wysiłek. Zamykamy się w domu, w samochodzie. Słabną mięśnie, kości, mniejsza jest wydolność narządów, płycej oddychamy – oczywiście jeżeli nie uprawiamy sportu w wersji choćby rekreacyjnej. Dawniej człowiek był zmuszony do wysiłku, ruch w zasadzie ratował życie. Ludzie musieli zdobywać żywność, uciekać przed niebezpieczeństwami, ciągle przemieszczać się i budować nowe schronienia. To wszystko sprawiało, że człowiek wzmacniał się, rósł w siłę. Co prawda przeżywały tylko najsilniejsze jednostki, ale te zdrowe i silne geny przekazywano następnym pokoleniom.



Zajęcia prowadzone przez uniwersytety trzeciego wieku umożliwiają seniorom prowadzenie aktywnego trybu życia.

FOT. 123RF

Dziś musimy dbać o kondycję, by nie osłabnąć. To niezbędne! Od wielu lat prowadzone są różne akcje informacyjne promujące aktywność fizyczną, różne metody dbania o zdrowie. W latach 80. powstała Karta Ottawska, swoista konstytucja promocji zdrowia, ale ciągle przemiany polityczno-społeczne sprawiały, że temat stale odsuwano. Przełomowy okazał się dopiero rok 2012, rok aktywizacji seniorów. Wtedy problem ludzi starych, ich sprawności i dobrostanu zaczęto nagłaśniać. Odbływały się liczne akcje społeczne, powstawały odpowiednie programy poprawy sprawności fizycznej i intelektualnej w domach kultury, punkty rehabilitacji dla osób starszych. Wzmocniły swoją działalność także uniwersytety trzeciego wieku, które są prawdziwym błogosławieństwem dla seniorów w Polsce i na całym świecie.

Jeszcze ponad dekadę temu uniwersytety trzeciego wieku działały jedynie przy prestiżowych uczelniach wyższych, a dzisiaj nie ma w Polsce powiatu bez UTW.

Poczytuję sobie za wielki zaszczyt, że specjalizację z geriatry robiłam u pani profesor Haliny Szwarz, prekursorki tego ruchu w Polsce. Jej ambicje usprawniania

społeczeństwa, zmieniania oblicza starości i stereotypu starego człowieka stały mi się bliskie dzięki naszej współpracy.

Jaką rolę w promowaniu aktywnej starości może odgrywać rodzina?

Ogromną! Chęć do ruchu, do podejmowania wysiłku należy wpajać każdemu od dziecka, a właściwie już od momentu, kiedy kobieta nosi dzieciątko pod sercem. Matka od pierwszych chwil musi dbać o swoje zdrowie, kondycję fizyczną i otaczać maleństwo miłością. Potem, w miarę rozwoju dziecka, musi przyzwyczajać je do ruchu, do zabaw, gier – początkowo z rodzicami, z rodzeństwem, później na podwórku z rówieśnikami. Kolejnym etapem powinna być szkoła promująca ruch.

Niewątpliwie warto mieć sportowego idola. W mojej rodzinie fascynowano się sportem, szczególnie podobały się nam siatkówka, koszykówka, gry zespołowe, ale również lekkoatletyka. Sukces sportowca to dobry sygnał dla młodego człowieka, że warto być systematycznym w ćwiczeniach, bo regularna praca prowadzi do zwycięstwa. Sportowcy, olimpijczycy, medaliści powinni mieć więcej kontaktu z młodzieżą, opowiadać o swojej pracy i jej zaletach, o radości, jaką mają z tego, co zdobywają, i o satysfakcji ze swojego wyglądu, swojej sprawności, kondycji fizycznej i psychicznej.

Przesiadywanie przed smartfonami, komputerami tylko pozornie wypełnia życie. Tak naprawdę oddala młodych ludzi od życia w grupie, od aktywności na rzecz drugiego człowieka. Tymczasem trzeba się dzielić dobrem z innymi, spotykać się, rozmawiać. Czytanie książki jest czymś o wiele bardziej rozwijającym niż obejrzenie filmu na tablecie. Młodzieży, także swoim wnukom, zalecam czytanie książek, bo słowo pisane pozostaje dłużej w pamięci niż takie, które przemknie szybko w telewizji czy w smartfonie.

W książce „Uwarunkowania pomyślnego starzenia” napisała pani, że na pomyślne starzenie trzeba pracować całe życie.

A jednak na każdym etapie życia popełniamy podobne błędy. Nadopiekuńcze dbanie o dzieci nie jest dla nich korzystne. Od dzieci trzeba wymagać, trzeba je stymulować do pracy, do systematycznego wysiłku. Jest przecież dużo możliwości – gry, zabawy, narty, pływanie, biegi, jazda na rowerze, na rolkach. Ale nie wszyscy są chętni, by z tego korzystać. Myślę, że to zadanie dla rodziców, rodziny, czasem



” Chęć do ruchu, do podejmowania wysiłku należy wpajać każdemu od dziecka.

FOT. 123RF

kolegów, by zachęcić do uprawiania jakiegoś sportu rekreacyjnego, poprawiającego kondycję, ale też wpływającego na rozwój intelektualny – bo przecież niektóre sporty wymagają wiedzy i jej poszerzania. Trzeba strzec się lenistwa!

Pandemia mocno popsowała wszystkim szyki. Wiele osób wcześniej było aktywnych, słuchacze UTW korzystali z pływalni, gimnastyki, spacerów grupowych, nordic walkingu, ćwiczeń tai chi. Wszystko to wpływa pozytywnie na kondycję, płynność ruchu, stabilność postawy, utrzymanie równowagi, a także poprawia stan psychiczny. I nagle to się urwało.

Sama to odczułam, mimo że jestem lekarzem i pozostaję aktywna. Dużą część mojej aktywności zawodowej stanowią wizyty domowe u pacjentów. To bardzo cenne doświadczenie, kiedy widzi się, w jakich warunkach żyje pacjent, na kogo może liczyć, jaką ma opiekę. Geriatra patrzy całościowo na pacjenta, szerzej niż na przykład kardiolog czy nefrolog, skupiający się na danym zagadnieniu. Jeżeli widzimy pacjenta w jego środowisku, możemy mu więcej pomóc, doradzić zależnie od jego możliwości i potrzeb. Możemy zachęcić do ruchu, zaproponować

skuteczny zestaw ćwiczeń adekwatny do stopnia niesprawności, zasugerować zmiany celem likwidacji barier architektonicznych w domu. Wizyta domowa to możliwość połączenia diagnostyki medycznej z psychologiczną.

Niestety mamy w Polsce niewielu geriatrów, którzy przyglądają się pacjentom w tak holistyczny sposób.

Pacjenci niejednokrotnie pokazują mi osobne zestawy lekarstw: od kardiologa, od neurologa, od psychiatry. Często są to te same leki, tylko inaczej się nazywają. Pacjenci dublują je, zdarza się też, że stosują leki, które wzajemnie się niwelują albo potęgują swoje działanie. Wątroba i nerki w późnym wieku nie są już tak wydolne w zakresie eliminacji szkodliwych substancji. Często dochodzi do zaburzeń polekowych, braku oczekiwanej poprawy, gorszego samopoczucia lub nawet pojawia się nowa jednostka chorobowa. Pierwszy ruch geriatry to zwykle uporządkowanie przyjmowanych leków, oczywiście po uprzedniej rozmowie, zdobyciu zaufania, dokładnym zbadaniu pacjenta. Obserwujemy, że seniorzy nadużywają preparatów leczniczych reklamowanych w telewizji. Tych komunikatów jest za dużo, a dla wielu starszych ludzi, zwłaszcza mało mobilnych, telewizja stanowi jedyną rozrywkę. Bombardowani reklamami, ulegają im. Bywa, że dzieci lub wnuki, chcąc zrobić swoim ukochanym rodzicom lub dziadkom przyjemność, kupują takie suplementy w prezencie. Z reguły nie sprawdzają, czy te drogie prezenty nie wchodzą w kolizję z lekami, które są podstawą leczenia.

Czy ma pani poczucie spełnienia zawodowego, wynikające ze świadomości, że praca z ludźmi starszymi pomaga im, podnosi jakość ich życia?

Aby mieć satysfakcję z pracy z seniorami, trzeba ich po prostu kochać. To jest podstawa lepszych efektów w pracy. Należy starać się ich rozumieć, cierpliwie ich wysłuchać. Wysłuchać i pomóc. Dziś lekarz ma bardzo ograniczony czas dla pacjenta, musi się spieszyć, nie jest w stanie w krótkim czasie wytłumaczyć, który lek do czego służy, jakie można mieć oczekiwania po jego zażyciu, na czym polega proponowany zabieg i tak dalej. Do tego dochodzi mnóstwo biurokracji, która lekarzowi ten bezcenny czas dla pacjenta zabiera.

Ja nie szcędzę czasu swoim pacjentom. Wiem, że jeżeli wysłucham ich cierpliwie i z chęcią niesienia pomocy, będzie to korzystne w procesie leczenia. Kiedy zrozumie się człowieka, to – mając pełny obraz choroby i wyniki badań – łatwiej leczyć. Dlatego bardzo cieszy mnie każda następna wizyta.



FOT. IZ3RF

” Pacjenci niejednokrotnie pokazują mi osobne zestawy lekarstw: od kardiologa, od neurologa, od psychiatry. Często są to te same leki, tylko inaczej się nazywają. Pacjenci dublują je, zdarza się też, że stosują leki, które wzajemnie się niwelują albo potęgują swoje działanie.



Ruch może pomóc uśmierzyć ból

FOT. ANNA RUDE OKO KOWALEWSKA

Rozmowa
z **Izabelą Zając-Gawlak**,
adiunktem w Instytucie Nauk o Sporcie
w Akademii Wychowania Fizycznego
im. Jerzego Kukuczki w Katowicach

Jednym z obszarów pani pracy zawodowej jest promocja aktywności ruchowej jako niezbędnego warunku pomyślnego starzenia się. Dlaczego ruch jest tak istotny w naszym życiu?

Moje doświadczenie wyniesione z pracy z ludźmi w różnym wieku, a także prowadzone przeze mnie badania naukowe dały mi podstawę do przekonania o zbawiennej roli aktywności fizycznej. Osoby starsze, bo przede wszystkim na nich chciałybym się skupić, dzięki regularnym ćwiczeniom doświadczają poprawy stanu zdrowia. Profesor Wiktor Dega, pionier polskiej ortopedii, opisywał ruch jako lek, który podany z sercem, charyzmą, jest niezastąpiony. W dodatku nie ma efektów ubocznych! I chociaż hasło Alfreda Sengera: „Ruch jest życiem – życie jest ruchem”, czy słowa profesor Ewy Kozdroń: „Ruch jest życiem, a bezruch śmiercią”, wydają się sloganami, jest w nich sama prawda.

Potwierdza to wiele badań.

Tak, na przykład te, które prowadziłam we współpracy z profesorem Barbarą Kłapcińską z naszej akademii i profesorem Karemlem Frömelem z Uniwersytetu Palackiego w Ołomuńcu. W projekcie brali udział głównie słuchacze uniwersytetu trzeciego wieku, osoby powyżej 60. roku życia, ale też mające powyżej 70, 80 lat. Obserwowaliśmy poprawę ich stanu zdrowia dzięki podstawowej, codziennej aktywności fizycznej. Te osoby zmniejszyły ryzyko chorób metabolicznych, czyli chorób układu krążenia i cukrzycy, cholesterolemii. Poprawiły się parametry glukozy, cholesterolu, trójglicerydów. To namacalne przykłady, potwierdzone badaniami laboratoryjnymi!

Czy w projekcie uczestniczyli ludzie, dla których ruch już wcześniej był istotny, czy tylko osoby, które dopiero wówczas, za państwa namową, rozpoczęły aktywność?

Wśród uczestników nie było żadnych sportowców weteranów. Byli tacy, którzy zdolali już docenić zalety aktywnego trybu życia, i wiele osób z nadwagą, czasem wręcz z otyłością, także otyłością trzeciego stopnia, a więc realnie zagrożone utratą zdrowia, a nawet życia!

Doktor Izabela Zając-Gawlak – doktor nauk o kulturze fizycznej, magister fizjoterapii oraz wychowania fizycznego. Adiunkt w Instytucie Nauk o Sporcie AWF im. Jerzego Kukuczki w Katowicach. Pełnomocnik rektora do spraw uniwersytetów trzeciego wieku. Ekspert Śląskiej Rady ds. Seniorów w latach 2015–2018, kierownik projektu naukowego „Aktywność ruchowa jako niezbędny element pomyślnego starzenia się człowieka”. Współpracuje z uniwersytetami trzeciego wieku w ramach promocji zdrowego starzenia się człowieka.



FOT. 123RF

” *Moje doświadczenie wyniesione z pracy z ludźmi w różnym wieku, a także prowadzone przeze mnie badania naukowe dały mi podstawę do przekonania o zbawiennej roli aktywności fizycznej.*

W jaki sposób udało się namówić uczestników do regularnej aktywności?

Bardzo cenna jest umiejętność zarażania innych ludzi chęcią ruchu. Wraz z przyjacielem, Darkiem Pośpiechem, stosowaliśmy schemat: spotkanie, wykład, tłumaczenie i zachęta. Oczywiście pojawiało się wiele pytań, obaw, trzeba było na nie odpowiedzieć. Warto zauważyć, że nie każdy może prowadzić zajęcia dla

osób starszych. Konieczne są wiedza i doświadczenie, dlatego w AWF-ie kształcimy w ramach specjalności funkcjonalny trening zdrowotny osób w średnim i starszym wieku. Istotna jest praktyka. Wychodzimy do różnych miejsc, do mniej lub bardziej sprawnych osób; uczymy naszych studentów uważności. Ona jest zawsze kluczowa, bez względu na to, ile lat ma osoba, z którą pracujemy. W przypadku ludzi starszych szczególnie ważne jest wysłuchanie ich.

Co jeszcze trzeba brać pod uwagę?

Amerykańskie badania potwierdzają, że korzystny dla stanu zdrowia jest nie tylko sam ruch, ale też aktywność fizyczna połączona ze społeczną, z kontaktami międzyludzkimi. Poza pracą nad koordynacją ruchową, kontrolą postawy ciała, odczuwamy po prostu radość z bycia ze sobą.

Jedna z uczestniczek naszego projektu miała zaawansowane reumatoidalne zapalenie stawów. Mimo stwierdzonego schorzenia tylko w okresach rzutu choroby decydowała się na ćwiczenia. Gimnastyka i regularna aktywność pojawiły się dopiero dzięki kontaktowi z nami i udziałowi w projekcie. Pani sama przyznała potem, że trudno jej było znieść – także psychicznie – czas zaostrzenia choroby. Natomiast zainteresowanie innych, życie w grupie pomogły jej zmobilizować się.

To piękny przykład, jak można wspierać innych w walce o zdrowie.

Podczas wykładów często opowiadam historię mojej babci, Heleny Rejmańskiej, która ma 96 lat. Opowieścią o jej aktywności ruchowej porywam tłumy! Choć nie zawsze jest dla nich oczywiste to, co mam na myśli. Kiedy mówię „aktywność fizyczna”, widzę, jak niektórzy kulą się w sobie. Ruch kojarzy się z wysiłkiem, a ten pojmowany jest jako trud. Starość większości społeczeństwa wydaje się okresem, w którym powinniśmy głównie odpoczywać. Niestety wciąż zwycięża stereotyp, że należy wyręczać babcię, dziadków, rodziców.

Patrząc na zdjęcia z 96. urodzin pani babci. Widać, że jest w imponującej formie.

Babcia regularnie się gimnastykuje. Stworzyłam całe zestawy ćwiczeń na podstawie jej doświadczeń, a ponieważ pozwoliła mi się fotografować, mogę pokazywać jej zdjęcia innym ludziom. Dzięki temu często przekonuję osoby dużo młodsze od babci Heleny, że można i warto!



Helena Rejmańska, babcia dr Izabeli Zając-Gawlak.

FOT. MONIKA KOCZUR

Widząc pani zaangażowanie, można przypuszczać, że odziedziczyła pani geny po babci!

Mam taką nadzieję! Ale trzeba wyraźnie powiedzieć, że właśnie ruch ma wpływ na to, że czujemy się młodziej i wyglądamy młodziej.

Babcia Helena urodziła siedmioro dzieci. Na pewno obecność wnucząt i prawnucząt, radość z uczestnictwa w życiu rodzinnym wzmagają motywację do aktywności. Odczuliśmy to także w naszej społeczności, którą stworzyliśmy w trakcie trwania projektu. Organizowaliśmy okolicznościowe spotkania, mikołajki, na które przychodzili także studenci. Właśnie kontakt oparty na międzypokoleniowej integracji był przyczynkiem do stworzenia na uczelni specjalizacji, o której wspomniałam wcześniej. Młodzież zyskała fantastyczne doświadczenie, widząc seniorów, którzy przeczyli stereotypowi zrzędlonego staruszka, pełnego pretensji do młodego pokolenia. Zobaczyli ludzi skorych do wspólnych żartów, czasem tańców, pragnących być ze sobą. Dzięki temu mamy dziś młodych specjalistów – entuzjastów, a także starszych wolontariuszy.

Czy może pani opowiedzieć o tych wolontariuszach?

Pan Franciszek Pendolski był zawodowym kierowcą. Przeszedł na emeryturę i wtedy zaczął biegać. Wziął udział w naszym projekcie już po tym, jak rozpoczął aktywny tryb życia. Był lekko wychudzony, bo spalał za dużo kalorii, źle się odżywił. Otrzymał od nas wskazówki dotyczące nie tylko samej aktywności, ale też żywienia. Dziś zbliża się do osiemdziesiątki, jest bardzo aktywny, a poza tym w ramach wolontariatu działa w Parku Śląskim, namawiając innych do ruchu.

Wspomnę jeszcze o charyzmatycznej osobie, jaką jest profesor Jan Ślęzyński z naszej uczelni, ikona aktywności fizycznej, nauczyciel wielkich sportowców, na przykład Roberta Korzeniowskiego. Ma teraz 90 lat i na swoim koncie rekordy Guinnessa w stójkach na rękach, wiele medali mistrzostw Polski w pływaniu masters. Na pewnym etapie życia miał udar. Właśnie dzięki temu, że wcześniej był aktywny, bardzo szybko wrócił do formy, nadal pływa i startuje w zawodach.

W pani słowach jest dużo entuzjazmu, tymczasem wielu ludzi, którzy zaczynają być aktywni, szybko się zniechęca. Szczególnie jeśli coś zacznie ich boleć lub przydarzy się przykry wypadek.

Panuje stereotyp, że jak coś boli, trzeba to odciążać, przestać używać. Na szczęście ortopedzi coraz częściej przepisują, oprócz tabletek przeciwbólowych, właśnie



Profesor Jan Ślęzyński ma na swoim koncie wiele rekordów i medali. FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

ćwiczenia. Ludzie po urazach i operacjach nie chcą ćwiczyć, boją się, że coś się jeszcze pogorszy. Tymczasem często konsultacja u fizjoterapeuty to początek przygody, której towarzyszy odkrycie, jak wiele może dać aktywność fizyczna. Wątpliwym pomaga obserwacja innych ludzi w podobnych sytuacjach, również na dobrze prowadzonych oddziałach geriatrycznych w szpitalach.

Zwykle nie zdajemy sobie sprawy z tego, że podczas aktywności fizycznej wydzielane są endorfiny zwane hormonami szczęścia. Są to hormony, które wygaszają



FOT. 123RF

” Najprostszą formą jest wspólny spacer – aktywność fizyczna opierająca się na naturalnym ruchu, lokomocji, nie generuje dodatkowych utrudnień czy nakładów finansowych.

reakcję organizmu na stres, działają przeciwdepresyjnie, przeciwbólowo, przyspieszają przemianę tłuszczów, korzystnie wpływają na pracę umysłu i wygląd skóry. Przykładem może być DHEA – dehydroepiandrosteron, który korzystnie wpływa na kondycję fizyczną i intelektualną, lub IGF1 – insulinopodobny czynnik wzrostu, który stymuluje metabolizm kości i mięśni. Nie wdając się w szczegóły: ruch naprawdę może się przyczynić do uśmierzenia bólu.

Samotność osób starszych wzmaga choroby, głównie depresję, choć ta choroba może dotknąć osoby w każdym wieku. Utrata bliskich, żaloba zniechęcają, powodują, że

człowiek zamyka się na świat. Tu dostrzegam, jak wielką rolę mogą odegrać wolontariusze. Nie muszą to być młodzi ludzie, ale na przykład sąsiedzi, członkowie klubu seniora, którzy namówią do aktywności.

Wydaje się, że pandemia bardzo utrudniła działania na rzecz aktywizacji osób starszych.

Niestety to prawda, mimo to udało nam się dotrzeć do sporej grupy ludzi, choćby za pomocą mediów społecznościowych. Pomocni byli wolontariusze, uniwersytety trzeciego wieku, które od dawna mają własne strony internetowe. Za ich pośrednictwem docieraliśmy do ludzi z ćwiczeniami, które mogli wykonać w domu. Ta działalność spotkała się z szerokim odbiorem, choć mam świadomość, że była to tylko namiastka.

Myszę, że pandemia najbardziej dotknęła młodzież i seniorów. Odebrała im to, co dla nich ważne. Pozostały izolacja i osamotnienie.

To bardzo pesymistyczny obraz.

Tak, ale paradoksalnie dostrzegam pewną korzyść. Otóż ludzie zamknięci w czterech ścianach zateęsknili za ruchem na świeżym powietrzu – za zakazanym owocem. Jak wynika z sondażu IPSOS i wielu innych badań, przez COVID, zdalną pracę i zajęcia szkolne około 42 procent społeczeństwa zwiększyło swoją masę ciała o blisko sześć kilogramów. To na pewno wpłynęło na pogorszenie stanu zdrowia całej populacji, a szczególnie dzieci i osób starszych. Teraz jednak w parkach, w górach i lasach widać więcej ludzi chętnych do aktywnego wypoczynku. Chcemy w ten sposób poprawić stan zdrowia, nadrobić stracony czas. Oczywiście w wieku średnim i starszym trudno o spektakularny efekt, co może zniechęcić do wysiłku. Ważne jest motywujące działanie rodziny i przyjaciół.

Czy aktywność fizyczna może mieć charakter rodzinny i międzypokoleniowy, skoro w każdym wieku mamy inne możliwości ruchowe, inną sprawność?

Najprostszą formą jest wspólny spacer – aktywność fizyczna opierająca się na naturalnym ruchu, lokomocji, nie generuje dodatkowych utrudnień czy nakładów finansowych. Oczywiście czas i intensywność takiego ruchu należy dostosować do możliwości danej osoby – inaczej będziemy motywować mamę w średnim wieku, inaczej babcię. Spacer pozwala na rozmowę, co jest istotne z punktu widzenia

budowania relacji, sprzyja kontaktowi z przyrodą. Ważne, by nie ścigać się, nie rywalizować, jedynie pokonywać małymi krokami kolejne słabości. Z czasem spacer warto wydłużyć, zmienić jego natężenie, choćby przez wybór innego ukształtowania terenu lub pokonywanie niektórych jego odcinków marszem. Osobom starszym można zaproponować spacer z wnukami, włączyć ćwiczenia przy ławce, przy drzewie. Wystarczą proste aktywności poprawiające kontrolę postawy, stanie na jednej nodze czy – podczas siedzenia na ławce – prostowanie nogi w kolanie, które wzmacnia mięsień czworogłowy, odpowiedzialny za wyprost w stawie kolanowym i za stabilizację tego stawu. To łatwe rzeczy, ale na tyle ważne, że warto znaleźć na nie czas i siłę.

Aktywność dla początkujących



Profesor Tomasz Zdrojewski

Od czego zacząć aktywność ruchową, by osiągnąć jak najwięcej korzyści? Prof. dr hab. med. Tomasz Zdrojewski zaleca m.in. nordic walking, jogging, spacer, pływanie i taniec. „Rozpoczynając treningi, trzeba przede wszystkim zachować zdrowy rozsądek i zaczynać krok po kroku, od niewielkich, ale regularnych wysiłków. Zbyt intensywny wysiłek bez odpowiedniego przygotowania, zamiast pomóc, może wyrządzić wiele szkód, w tym doprowadzić do kontuzji i urazów o charakterze ortopedycznym” – podkreśla ekspert.

„Grunt, by do aktywności podejść rozważnie, pod okiem specjalistów, a po drugie podejmować umiarkowany wysiłek, a nie bardzo intensywny, zwłaszcza że na początku, gdy zdecydujemy się na aktywność fizyczną, często kieruje nami podświadoma chęć, by sprawdzić swoje możliwości. W efekcie łatwo o kontuzje, urazy czy niepotrzebne powikłania. Aby tego uniknąć, warto zachować odpowiednią kolejność w trakcie aktywności: każdy trening powinien zacząć się od rozgrzewki, a zakończyć na stretchingu, czyli rozciąganiu mięśni. Podczas ćwiczeń należy pamiętać o oddychaniu. Zachowanie poszczególnych etapów treningu sprawi, że przyniesie on największe korzyści”.

Pracuje pani na uczelni, która wychowała wielu znakomitych sportowców wyczynowych. Czy na korytarzach akademii słychać wspomnienia o idolach sprzed lat, bohaterach, którzy mogą być wzorem do naśladowania?

Mój tato biegał, mama skakała w dal, więc mam genetycznie uwarunkowane zacięcie do sportu. Rodzice są po 70. roku życia i wspominają bohaterów swojej młodości, ludzi, którzy inspirowali ich do uprawiania sportu. Wręcz lubią się chwalić sukcesami swojego pokolenia. Ja też wracam myślą do osiągnięć



”
Wystarczą proste ćwiczenia poprawiające kontrolę postawy

FOT. I23RF

kolegów i koleżanek, z którymi kiedyś startowałam. Moją specjalnością były biegi na długich i średnich dystansach. To dla mnie radość, że jako naród mamy się czym i kim pochwalić. Widzę, że młode pokolenie chętnie nawiązuje relacje z osobami starszymi. Te spotkania, wieczory wspomnień mają ogromne znaczenie. Pomagają budować międzypokoleniowe relacje: uaktywniają starszych, podnoszą morale młodych.

Maciej Zdziarski

Prezes Fundacji Instytut Łukasiewicza

Dziennikarz, fotografik, działacz społeczny, menedżer i przedsiębiorca. Absolwent Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Pracował w Radiu Zachód, Radiu Kraków, PR1 i PR3 oraz w TVP Info i TVP1, gdzie prowadził programy publicystyczne, m.in. „Kwadrans po ósmej” i „Rozmowa dnia”. Współpracował z „Życiem Warszawy” i „Rzeczpospolitą”.

Współtworzy Krakowską Akademię Profilaktyki, kierując kampaniami społecznymi „Postaw na rodzinę!” i „Przeciw pijanym kierowcom!”. Autor publikacji popularyzatorskich, m.in. „Starsi rodzice. Recepty na dobrą starość” (2012), dwóch tomów książki „Uzależnienia behawioralne. Rozmowy z ekspertami” (2013, 2015) oraz pięciu tomów publikacji „Seniorze, trzymaj formę!” (2015–2019). Współautor książki reportażowej „Dobranoc, Auschwitz” (2016, razem z Aleksandrą Wójcik). W 2020 r. opublikował zbiór „Gdy milkną oklaski. Życie na sportowej emeryturze – wywiady z mistrzami”, a w 2021 – „Dziewczynyn z brązu, chłopaki ze złota. Rozmowy o siatkówce i nie tylko z medalistami igrzysk olimpijskich z Tokio (1964), Meksyku (1968) i Montrealu (1976)”.

Jako konsultant i pracownik dużych organizacji biznesowych (m.in. Banku Pekao SA) prowadził projekty z obszaru społecznej odpowiedzialności biznesu, budowania tożsamości historycznej firmy, kultury korporacyjnej i wolontariatu pracowniczego. Doradzał również w Grupie PZU w zakresie zmian wynikających z demograficznego starzenia się społeczeństwa. Członek rządowej Rady ds. Polityki Senioralnej II kadencji (2020–2024).



www.gdymilknaoklaski.pl

www.instytutlukasiewicza.pl



Publikacja współfinansowana
ze środków Ministerstwa Kultury,
Dziedzictwa Narodowego i Sportu



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.

Partnerzy projektu

